

Zającówna Janina

Dom schadzek

Bez płaszcza wyglądała o wiele lepiej. Miała małe, sterczące piersi, cienką talię i słabo zarysowane wąskie biodra...

- Nie garb się! Trzymaj się prosto! O tak! - Maria wygięła jej ramiona do tyłu. - Tak. Jeszcze raz podejdź do drzwi i wróć! I nie miej takiej przerażonej miny.

- Myśli pani, że się nadam? - odważyła się spojrzeć w twarz gospodyni.

— Jeszcze nie podjęłam decyzji... A czy ty wiesz, co to za praca?

— nie spuszczała z niej wzroku.

— Kasia mówiła.

- I co?

— Jeżeli się nadam, to ja bardzo chętnie.

- Lepiej się zastanów, ja nikogo nie namawiam. Jeżeli ci się nie spodoba, będziesz mogła w każdej chwili odejść. Ale stawiam jeden warunek i ten musi być bezwzględnie spełniony... O swojej pracy ani pary z ust, nigdy nikomu, choćby cię obdzierano ze skóry. Pamiętaj!

— Maria wymierzyła w nią wskazujący palec.

- Ależ, oczywiście, to się rozumie — Agata złożyła na piersiach zaniedbane dłonie i patrzyła na nią z pokorą.

— Będziesz musiała solidnie popracować nad swoim image

— w dalszym ciągu przyglądała się jej smukłym nogom i kształtnym stopom wciśniętym w rozchłapane sandaalki z czerwonej imitowanej skóry. - Rozumiesz? — Przestraszona Agata przelknęła nerwowo ślinę, wstydząc się, że nie zna tego obcego słowa.

M aria uśmiechnęła się przepraszająco jak do dziecka, które niechący postawiła w kłopotliwej sytuacji.

— Będziesz musiała zmienić swój wygląd, twarz i w ogóle stworzyć siebie od nowa. Ja ci pomogę. W tej chwili wyglądasz na cierpiętnicę, a to najgorsze. Nikt nie lubi biednych i nieszczęśliwych. Pamiętaj o tym... Uśmiechnij się, no już lepiej! Nie uciekaj spojrzeniem w bok! I słuchaj uważnie, co się do ciebie mówi! Patrz prosto w oczy — Agata pokonując nieśmiałość uśmiechnęła się szerzej ustami w kształcie serduszka.

Zmrok zapadał, powoli wsiąkając w ziemię. Po zachodzie słońca długo jeszcze trwał dzień, lecz tego wieczoru nie czuło się lata, chłodny przenikliwy wiatr przyszedł nagle po fali upałów i wzbijał słupy kurzu na warszawskich ulicach.

Marię ucieszyło gwałtowne ochłodzenie, cieszyłaby się jeszcze bardziej, gdyby spadł deszcz. Powietrze oczyściłoby się z piasku, a trawa i drzewa odzyskałyby soczystą zieleń. Upały tym razem znosiła nie najlepiej. Pewnie dlatego, że od kilku dni nie wychodziła z domu. Co jakiś czas podchodziła do okien i zza spuszczonej żaluzji obserwowała ulicę, potem podwórko, potem znowu ulicę i znowu podwórko. Ani tu, ani tam nic szczególnego się nie działo. Ten sam kulawy pies obwąchiwał śmietnik, ci sami chłopcy, ignorując krzyki dozorczyń, kopali pod oknami piłkę i te same dziewczynki prześlizgiwały się między nimi na wrotkach. Podwórko otulone domami, z niewielkim rąbkiem trawnika i jedną rozłożystą lipą tchnęło spokojem. Nikt obcy nie kręcił się po nim, nie zaglądał do okien, strach szedł od poczciwej dobrze znanej ulicy, która siała się nagle niebezpieczna i groźna. Maria z rosnącym przerażeniem przeczesywała ją wzrokiem. Nie dostrzegła żadnych istotnych zmian. Ulica była taka sama jak wczoraj, jak przed tygodniem i jeszcze wcześniej. Strach krył się w niewiadomej. Każdy przechodzień stanowił zagrożenie.

— Zagalopowałam się — powiedziała do siebie. — Nie każdy.

Staruszek, wyprowadzający psa na wieczorny spacer, z pewnością nie. Kobiety również nie wchodziły w rachubę. Z listy podejrzanych skreśliła wszystkich emerytów zamieszkałych w sąsiedztwie i męża dozorczyń, chociaż nad nim należałoby się zastanowić. Poza tym każdy mężczyzna zasługiwał na maksimum uwagi, zarówno biznesmen z pobliskiej spółki, jak i urzędnik z przeciwka, czy sąsiad-alkoholik, a nawet właściciel sklepu mięsnego i chłopak handlujący rajstopami na rogu.

Ostry dźwięk telefonu zmusił ją do opuszczenia punktu obserwacyjnego przy oknie,

— No, jeżeli to on — powiedziała podnosząc pięść. Nie wypowiedziana groźba wypełniła nowoczesny salon z włoskim kompletem wypoczynkowym na czołowym miejscu. Maria przycupnęła na brzeжку fotela i wierzchem dłoni otarła pot z czoła. Mieszkanie było nagrzane od upałów, a podniecenie i ciągły niepokój wyduszały z niej hektolitry potu.

— Halo! — rzuciła gniewnie do słuchawki. I nagle głos jej zmiękł, pojawiły się w nim cieplejsze tony. łącząc się wdzięcznie z rzeczową uprzejmością. — Tak, oczywiście — uśmiechnęła się do słuchawki.

— Z czyjego polecenia pan dzwoni? Jak nazwisko? Proszę powtórzyć! Tak, znam Dębskiego, bard/o miły pan, ale chodzi o pańskie nazwisko. Proszę się nie obawiać! Tylko do mojej wiadomości. Proszę pana, we własnym interesie dbam o dyskrecję. Ma pan zaufanie do Dębskiego, więc o co chodzi?

Rozumiem! Pan występuje w roli pośrednika? Ale to pan za nią odpowiada... Zna angielski, nie przesadzajmy! Wystarczy jeden. Nauka teraz drogo kosztuje. Dwóch? Co pan powie? Nie wiem, czy się zgodzi. Chwileczkę...

Jolu! Pozwól do mnie! — rzuciła w głąb mieszkania. Jej dźwięczny głos dotarł przez uchylone drzwi do sąsiedniego pokoju, skąd natychmiast wybiegła rośła blondynka o wyrazistych rysach i długim kształtnym nosie. Jej wielkie oczy, nasycone ultramaryną, zahaczyły o Marię i szybko uciekły w bok. Usiadła naprzeciw niej i patrzyła przed siebie ze spokojną obojętnością.

— Słuchaj — zwróciła się do niej Maria, przykrywając słuchawkę dłonią — ich jest dwóch. Nie musisz się zgadzać, możesz odmówić.

— Co mi tam! Niech będzie. W porządku — odpowiedziała obojętnie Jola, jej twarz pozostała niezmieniona, oczy patrzyły z łagodnym spokojem na Marię, która dziękowała jej uśmiechem.

— Jola się zgadza — powiedziała do telefonu. — Warunki pan zna? — Widocznie usłyszała potwierdzenie, gdyż ciągnęła dalej

— Podwójna taryfa plus dodatek za język. Bardzo pana przepraszam

— jej głos stał się stanowczy — ja nie mam zwyczaju się targować. U nas obowiązują stałe ceny. Proszę podać telefon i adres, sprawdzę za chwilę. Tak, już notuję... trzydzieści trzy, czterdzieści jeden... Nie możemy sobie pozwolić na żadne ryzyko. Pan wie, co się teraz

wyprawia. Proszę odłożyć słuchawkę — Maria przytrzymała widelki ręką i po chwili wykręciła zanotowany numer... Pan Maciejczuk? Tu Maria... Proszę tylko jej nie upić! Życzę milej zabawy. Do widzenia panu — odłożyła słuchawkę i obserwowała Jolę, która przebierała się w bluzkę, szczelnie zapiętą pod szyją, oderwała na chwilę od niej wzrok i wpisała adres oraz telefon do notesu, a kartkę z tym samym adresem wręczyła Joli. — Ale sknera — pokręciła z dezaprobatą głową — uważaj, żeby cię nie nabrał! — Niech pani będzie spokojna, dam sobie radę — powiedziała Jola i przeniosła się do łazienki.

Maria znów wyjrzała przez okno. lecz i tym razem nie zauważyła niczego szczególnego. Jola już gotowa do wyjścia wybiegła do przedpokoju i sięgnęła po torebkę.

— Chodź tutaj! — przywołała ją Maria, obejrzała krytycznie, po czym ligninową chusteczką wytarła jej twarz.

— Mówiłam ci tyle razy, że makijaż ma być dyskretny, a ty swoje... No, teraz dobrze. Wyglądasz, jak cukiereczek. Palce lizać! Pamiętasz o moich zaleceniach?

Jola potwierdziła znudzona. Maria uznała jednak za stosowne przypomnieć jej. — Pamiętaj! — powiedziała z naciskiem — żebyś nie wierzyła żadnemu mężczyźnie, choćby wyglądał jak święty Franciszek z Asyżu, a nawet jak sam pan Jezus. Pewnie bluźnię, chociaż czy ja wiem? On też był mężczyzną i sądząc po tym, jak potraktował świętą Magdalenę, lubił kobiety... — spostrzegła, że Jola się niecierpliwi i wypchnęła ją łagodnie z powrotem do przedpokoju. — No, idź już, idź! I nie gódź się na nadgodziny, chyba, że zapłacą uczciwie — pomachała jej na pożegnanie i zamknęła drzwi na trzy zamki, jeszcze raz wyjrzała przez okno i znów niczego podejrzanego nie dostrzegła. Ułożyła się więc wygodnie w fotelu, przymknęła oczy marząc o tym, żeby mogła, tuk jak to czyniła do niedawna, wychodzić na ulicę, kiedy jej się zamarzy, cieszyć się słońcem, łaźnić bez celu po Starym Mieście, jeść frytki i popijać piwem. Jola pełniłaby dyżur przy telefonie, a w całym mieszkaniu, które Maria urządziła wygodnie i nowocześnie nie oszczędzając środków, okna byłyby otwarte, a słońce wraz z zapachami lata przechadzałoby się po pokojach, płosząc ponure cienie. Jeszcze przed tygodniem było to możliwe i tak samo

zwyczajne jak oddychanie. Wtedy jeszcze w każdej cząsteczce ciała czuła nieprzebrane zasoby energii, przymierzała się do wielkich zadań, myślała serio o otwarciu restauracji z orkiestrą i parkietem do tańca wokół fontanny. Prowadziła wstępne rozmowy o wynajmie lokalu, rozglądała się za współnikiem, sama na takie przedsięwzięcie nia miała gotówki. I nagle wszystkiego jej się odechciało. Czuła się znużona i stara. Panowała jeszcze nad głosem, który zachował dźwięczność i dawną zmysłowość, lecz strach przed nieznanym paraliżował jej ruchy, usztywniał mięśnie twarzy, które były napięte jak po wstrzyknięciu parafiny. Chodziła na palcach, jakby się bała, że ten ktoś o nieznannej twarzy siedzi ukryty pod podłogą, wsłuchuje się w jej kroki i repetuje broń.

— Nie. od takich myśli można zwariować — powiedziała do siebie i mimo jawnej niechęci do wysiłku podniosła się z fotela, podeszła do barku, naląła sobie pół kieliszka koniaku, upiła jeden łyk i przyciągana niewidocznym magnesem znalazła się znowu przy oknie, przytknęła oczy do szpary w żaluzji i z bojaźliwą uwagą przyglądała się przechodniom.

Zbliżała się godzina dziewiętnasta, chodniki ożywiły się nieco. Słońce lizało pieśczołtliwie dachy domów i targane wiatrem tuliło się do pożółkłych ścian. Sąsiad z narożnego budynku, wymachując torbą pędził do pobliskiego sklepiku. Kulawy pies opuścił podwórko i obsikawszy usychającą lipę prostował zżarte przez reumatyzm kości. Dwaj chłopcy, bawiący się piłką, skęcili w Narbutta. Młody mężczyzna w modnej mrynarce wysiadł z golfa i pewnym krokiem zmierzał do przeciwległej bramy. Po chwili z tej samej bramy wyszła dzinsowa para, oboje identycznego wzrostu, dobrze zbudowani, o opalonych twarzach i jasnych włosach. Wyglądali tak, jakby przed chwilą zeszli z ekranu, oboje mieli na ustach słodkie uśmiechy rodem z amerykańskich filmów. Idąc w stronę Rakowieckiej, omal nie zderzyli się z dziewczynkami zajęтым opasłym i niesfornym bokserem.

— Ciągłe nie to — westchnęła Maria i zniechęcona odeszła od okna.

I właśnie wtedy na ulicy pojawił się młody człowiek o sportowej sylwetce i energicznych ruchach. Włosy miał jasne, w kolorze kawowych lodów, które spadały mu plastrami na wysokie czoło,

twarz okrągłą, dziecinną. Szedł niebytnie szybko i jakby od niechcenia obserwował ulicę. Jego wzrok zatrzymał się na moment na oknach Marii, następnie ześliznął się na bramę i powędrował na sąsiednie domy. Chłopiec minął bez pośpiechu dom oznaczony numerem piętnaście i przeszedł na drugą stronę, słońce na moment usiadło na jego gładkiej twarzy, oślepiło go i zabarwiło złotem policzki, oświetlając równocześnie czerwone od niewyspania i trawione gorączką oczy. Sprawdził godzinę na dużym, ręcznym zegarku i przyspieszając kroku dotarł do narożnego budynku, zatrzymał się i nacisnął przycisk domofonu. Po chwili usłyszał zaniepokojony kobiecy głos.

— Kto tam?

— To ja, Rafał. Przepraszam, chyba zgubiłem klucz.

— Otwieram, proszę, już się o pana niepokoiłam - odezwała się miękko kobieta — Nic się panu nie stało?

— A co się miało stać — odburknął nieprzyjemnie. Pchnął drzwi z całej siły. po czym już mniej energicznie zatrzasnął je za sobą i przeskakując po dwa stopnie wbiegł na trzecie piętro.

W przedpokoju dużego przedwojennego mieszkania powitała go pani Beata — jeszcze młoda kobieta z wyraźnymi skłonnościami do tycia. Od trzech lat. kiedy to w sposób podstępny i okrutny odszedł mąż, zostawiając ją niemal bez środków do życia, pani Beata zdecydowała się wynajmować pokoje. Sama wraz z matką przeniosła się do salonu, dorastającego syna upchnęła do służbówki, a z wynajmu dwóch pokoi łątała dziury w domowym budżecie. Pensja, którą po dwudziestu latach pracy na stanowisku redaktora technicznego otrzymywała w renomowanym wydawnictwie, starczała zaledwie na opłacenie świadczeń i magła, zaś emerytura jej matki i alimenty od byłego męża pokrywały zaledwie połowę wydatków na jedzenie, a jadało się skromnie, mięso tylko w niedzielę, w tygodniu zaś kluchy o różnych nazwach z sosem lub serem, naleśniki, zupy mleczne, trochę warzyw, rzadko owoce. I gdyby nie mieszkanie odziedziczone po dziadkach trzyosobowa rodzina pani Beaty przymierałaby głodem. Na szczęście lokatorzy płacili regularnie nie tylko za pokoje, ale i za dwa posiłki dziennie, które często pozostawały nietknięte. Jeden wracał do domu późnym wieczorem tak zmordowany, że nie był w stanie nic przełknąć. Przed dwoma tygodniami wyjechał na trzymiesięczny staż do Stanów Zjednoczonych zapłaciwszy z góry za

pokój. Natomiast Rafał dużo czasu spędzał u siebie, nie zapalając nawet światła, nie słuchał radia i ignorował telewizję. Na śniadanie pod czujnym okiem pani Beaty zjadał zupełną mleczną i wypijał kubek kawy „Inki”, wieczorem rzadko udawało się jej namówić go na naleśniki czy ruskie pierogi. Nie miał apetytu i marniał w oczach. Niezdrowe rumieńce oraz oczy płonące tajemniczym blaskiem coraz bardziej niepokoiły panią Beatę, zaczęła go podejrzewać o różne złe rzeczy i któregoś dnia podczas jego nieobecności zrobiła mu kipsisz. Przeszukała dokładnie pokój i odetchnęła. Rafał żył jak asceta, ubrań prawie nie miał, kilka par podniszczonych bielizny, sweter, kurtkę, parę książek z zakresu prawa, dwa czy trzy kryminały, podręcznik do angielskiego i nic poza tym, żadnych zdjęć, listów, pamiętek. Był jak biała nie zapisana karta.

Teraz, po powrocie z pracy wyglądał gorzej niż zwykle, pot lał mu się z czoła, oczy latały niespokojnie, na spieczonych ustach potworzyły się pęcherze.

— Przeziębził się pan — orzekła, oglądając go w przedpokoju przy zapalonym świetle. — Założę się, że ma pan gorączkę. Mamo! Gdzie jest termometr? Starsza kobieta zamamrotała coś niewyraźnie, pani Beata pociągnęła go za rękę do kuchni.

— Nic mi nie jest — tłumaczył się mętnie, — jestem zmęczony, dużo pracuję. Pójdę się położyć — wyrwał rękę, lecz pani Beata nie chciała go wypuścić. — Niech pan siada — rozkazała zdecydowanie — weźmie pan aspirynę na noc. Proszę poczekać! — nie pozwalając mu się ruszyć, wycisnęła sok z cytryny, rozcieńczyła go ciepłą wodą i doprawiła miodem. — Jutro będzie pan zdrow jak rybka. Co mama dawała panu w takich wypadkach? — spytała, pokazując w uśmiechu zaniedbane zęby.

— To samo, dziękuję — chwycił szklanekę, aspirynę i czym prędzej umknął do swojego pokoju.

Pani Beata już nie próbowała go zatrzymać, przeszła do pokoju matki i z rezygnacją zasiadła przed nie milknącym ani na minutę telewizorem, zaś Rafał zamknawszy za sobą drzwi na klucz od razu zapomniał o aspirynie i miodzie, odstawił kubek na półkę i wyjął z walizki lornetkę, którą dostał kiedyś od ojca na gwiazdkę, chodził z nią do lasu i obserwował ptaki, myślał, że zostanie

ornitologiem. Po maturze zmienił nagle zdanie i złożył papiery na prawo, zdał egzamin, lecz z braku miejsc nie został przyjęty. Z lornetką jednak nie rozstawał się nigdy. Teraz obserwował przez nią dom, mieszczący się po drugiej stronie ulicy, lecz niewiele mógł dojrzeć. Interesujące go okna zamieniły się w ścianę. Opuszczone żaluzje broniły wstępu wścibskim spojrzeń, mimo to wpatrywał się w nie aż do bólu, nakazując w myślach jednej z lokatorek, aby je odsłoniła i wpuściła łyk powietrza do środka. Nie miał widocznie zdolności telepatycznych, gdyż nikt go nie usłuchał i żadna z żaluzji nie drgnęła. Słońce wtapiało się w bezduszne szkła, nie będąc w stanie rozsunać przylegających do siebie plastikowych pasków, i denerwowało go swoim bezwładem. Wiedział już, że źle rozegrał tę partię. Należało przed tym zobaczyć ją, spojrzeć jej w oczy, a dopiero potem rzucić wyzwanie i ogłosić wyrok...

Gdy słońce opadło na domy, a okna na drugim piętrze pokryły się cieniem, wypił miód z cytryną i wybiegł z domu. Pani Beata wyskoczyła za nim wołając:

- Panie Rafale! Co się dzieje? Miał pan leżeć w łóżku! Znalazłam termometr. Nie odpowiedział, a przecież jeszcze nie tak dawno należał do lepiej wychowanych młodych ludzi. Do starszych odnosił się z należnym im szacunkiem, wysłuchiwał do końca, co mieli do powiedzenia, nigdy im nie przerywał, w środkach lokomocji ustępował miejsca kobietom, w przejściach przepuszczał je przed sobą, kłaniał się, przeproszał i zawsze był gotów do usług, jednak ostatnio niemal do wszystkich, niezależnie od wieku, odnosił się wrogo, był opryskliwy, niegrzeczny, momentami wręcz agresywny i nawet tego nie zauważał.

Wybiegł na ulicę, przeleciał na drugą stronę i dopiero pod numerem 15. zwolnił, odszedł kaw ałek, a polem przystanął, zadarł do góry głowę i westchnął z rozpaczą. Na szybach drżało jeszcze odbite światło dnia, jedno z okien było uchylone i przez wąską szparkę dojrzał rąbek białej firanki. Wymacał w kieszeni kilka żetonów i uspokojony tym faktem dotarł do skrzyżowania, po kilku minutach wszedł do autobusu numer 114. dojechał nim do Śródmieścia. Tam od razu skierował swe kroki do budki telefonicznej.

Kieliszek koniaku Remy Martin w sposób prawie niedostrzegalny usuwał znużenie i lęk. Maria przestała się bać. Wyprostowała się i stwierdziła, że ma w sobie dość siły do odparcia niespodziewanych ciosów. Podeszła do okna i otworzyła je na całą szerokość. Przyjemny prąd powietrza, przesycony zapachem ziemi wpłynął do pokoju. Ogarnęło ją radosne podniecenie, dopiła ostatni łyk i przeciągnęła się z zadowoleniem.

— Dam sobie radę — szepnęła do siebie i uśmiechnęła się pełnymi wargami. I wtedy jakby na złość bzyknął złowieszczo dzwonek telefonu, twarz Marii skurczyła się. W oczach pojawił się gniew, zaciskając pięści podeszła do stolika i szarpnęła za słuchawkę.

— Tak — syknęła hamując gniew — tak — zmieniła raptownie ton na rzeczowy. — Proszę bardzo, może być średnie lub wyższe, jak pan sobie życzy. Wiem, wiem — roześmiała się drwiąco — intelektualistki nie cieszą się powodzeniem. Owszem, umie się zachować, pochodzi z dobrego domu, sa voire vivre i bon ton... Wszystko, co pan chce. Nie będzie się pan nudził... Ręczę moim słowem, cenę pan zna? Wysoka blondynka, na imię ma Kasia, długie proste włosy, anielska twarz, łagodne spojrzenie. Będzie ubrana elegancko i skromnie, czarna, długa spódnica, biała bluzka, klipsy, czarne lakierki... Jaki hotel? Już zapisuję, sprawdzę, czy pan rzeczywiście tam jest... Tak, zna pana numer? Dobrze, dwadzieścia jeden trzydzieści cztery..., pokój trzysta dziesięć... Nie szkodzi. Muszę wiedzieć wszystko o panu. Opiekuję się dziewczętami i nigdy nie narażam ich na ryzyko... Na razie... Zaraz zadzwonię... — nacisnęła palcem widełki i po chwili słysząc sygnał wykręciła numer hotelu...

— Poproszę z recepcją — powiedziała do telefonistki, a gdy uzyskała połączenie, powiedziała uprzejmym, dźwięcznym głosem. — Dzień dobry pani... Mówi Maria Jędraszek... Chciałam zapytać, czy u was zatrzyma! się hrabia Januszewski... Tak, w którym pokoju? Może mnie pani połączyć? Dziękuję... Pan hrabia? — zapytała po chwili... — Tu Maria. Wszystko się zgadza. Kasia będzie o dwudziestej w restauracji na dole... Powodzenia... znowu nacisnęła widełki, lecz nie odkładała słuchawki, w zamyśleniu przyglądała się szczupłej dziewczynie, która wyłoniła się z pokoju i przysłuchiwała się rozmowie. Maria przywołała ją ruchem ręki i uśmiechnęła się do niej.

— Słuchaj Kasiu — powiedziała, myślami będąc najwyraźniej

gdzie indziej. — Pan hrabia się nudzi, wyobrażasz sobie, do czego to doszło?
— Hrabia! — pokręciła głową — przedstawia się taki i mówi. Dzień dobry...
Tu hrabia Januszewski...

— Pewnie fałszywy — skrzywiła się dziewczyna wyglądająca na studentkę, o szczupłej twarzy, niewielkim nosie, wąskich ustach i mocno zarysowanej brodzie, przepołowionej pośrodku. Uśmiechała się, patrząc z roztargnieniem na Marię.

Bardzo możliwe — potwierdziła Maria. — Niedługo dojdzie do tego, że tylko my będziemy prawdziwe.

— Mnie się zdaje, że już do tego doszło — odpowiedziała z ponurą powagą Kasia.

— Kto wie. czy nie masz racji — zgodziła się Maria, kręcąc głową. — Wszystko takie załgane. A ty mi wyglądasz na zmęczoną. Chodź! Położę ci trochę różu na policzki. Arystokraci zawsze lubili hoże. zdrowe dziewczuchy... Przed wejściem do hotelu nie zapomnij zdjąć okularów... Jeżeli ten facet jest prawdziwy, to... — przeszła do sypialni z dużym, stylowym łóżkiem, toaletą, szafą w ścianie i z małym sekretarzykiem pełnym szufladek i schowków, wzięła z toaletki pędzel i pudełko z różem, wróciła do salonu... Pod wpływem jej zabiegów blade policzki Kaśki nabrały ponętnych rumieńców.

— Od jutra przechodzisz na zupełną mleczną, jesz podwieczorki i obiady z trzech dań.

— Nie rozumiem... — zdziwiła się Kaśka.

— Musisz przytyć.

— Och! Nie! — wykrzyknęła z przestraczem — większość mężczyzn woli chude,

— Nie opowiadaj głupstw! Większość woli coś wziąć do ręki... No... teraz dobrze... Jak było na bankiecie? Poznałaś kogoś godnego uwagi?

Kaśka z obojętną miną wyjęła z torebki kilka wizytówek i podała je Marii bez słowa.

— No. nieźle, nieźle — poklepała ją po ramieniu. — Dałaś im nasze namiary?

— Tak. oczywiście — potwierdziła skwapliwie Kaśka.

— Bardzo dobrze. Należy ci się pochwała. Po spotkaniu z hrabią wracaj do siebie. Być może zatrzymam tutaj twoją protegowaną. Skąd ją znasz?

— Chodziłyśmy razem do szkoły.

— To jeszcze o niczym nie świadczy. Myślisz, że można jej zaufać?

— Przyjaźniłyśmy się...

— Nie o to chodzi. Pytam, czy można jej zaufać? Czy ręczysz za nią?

— Tak, oczywiście — odpowiedziała bez wahania Kaśka. — Nie wiem tylko, czy się nada.

— O tym ja zdecyduję. A ty pamiętaj, żeby się dobrze wyspać i ładnie wyglądać. Jutro będzie duży ruch... O, znowu — rzuciła się do telefonu, ale tym razem dzwonek odezwał się przy drzwiach.

— To pewnie ona — ucieszyła się Kaśka i pobiegła otworzyć, Maria zaś wycofała się bojaźliwie do sąsiedniego pokoju.

— To ona. Proszę pani — wołała uradowana Kaśka. — Agata Szopówna, moja przyjaciółka... — wciągnęła na siłę do salonu zalęknioną dziewczynę, ubraną w podniszczony płaszcz i zakurzone pantofle, która skromnie spuszczała fioletowe oczy. przesłonięte długimi rzęsami. Brwi miała gęste i ciemne, cerę wychłostaną wiatrem i opaloną, włosy wypłowiałe od słońca i zniszczone trwały przypominały pianę z białek na przypalonej szarlotce.

Dygnęła przed Marią jak mała dziewczynka i przeniosła bezradne spojrzenie na Kaśkę, która uśmiechem dodała jej odwagi, po czym poszła do drugiego pokoju przebrać się. Maria sprawdziła, czy Kaśka zamknęła drzwi wejściowe, zawiesiła na nich łańcuch i wróciła do salonu.

— A więc jesteś przyjaciółką Kaśki? — spytała prześlizgując się po niej szybkim spojrzeniem.

— Tak. ale nazywam się teraz inaczej. Agata Barbasiowa, to po mężu. Kaśka go zna... Jest starszy od nas. Zgwałcił mnie, jak miałam szesnaście lat. Wzmianka o gwałcie nie zrobiła na Marii żadnego wrażenia, zdawać by się mogło, że jej nie usłyszała.

— Przejdź się po pokoju! — poleciała szorstko. — Niech ci się przyjrzę. Zdcjm płaszcz i wynieś tę okropną walizkę do przedpokoju. Co ty tam przytaszczyłaś?

— Ubrania — wychrypiała zawstydzona Agata i postawiła walizkę tam. gdzie jej kazano.

Bez płaszcza wyglądała o wiele lepiej. Miała małe, sterczące piersi, cienką talię i słabo zarysowane wąskie biodra...

— Nie garb się! Trzymaj się prosto! O tak! — Maria wygięła jej ramiona do tyłu. — Tak. Jeszcze raz podejdź do drzwi i wróć! I nie miej takiej przerażonej miny.

— Myśli pani, że się nadam? — odważyła się spojrzeć w twarz gospodyni.

— Jeszcze nie podjęłam decyzji... A czy ty wiesz, co to za praca?

— nie spuszczała z niej wzroku.

— Kasia mówiła.

— I co?

— Jeżeli się nadam, to ja bardzo chętnie,

— Lepiej się zastanów, ja nikogo nie namawiam. Jeżeli ci się nie spodoba, będziesz mogła w każdej chwili odejść. Ale stawiam jeden warunek i ten musi być bezwzględnie spełniony... O swojej pracy ani pary z ust. nigdy nikomu, choćby cię obdzierano ze skóry. Pamiętaj!

— Maria wymierzyła w nią wskazujący palec.

- Ależ, oczywiście, to się rozumie — Agata złożyła na piersiach zaniedbane dłonie i patrzyła na nią z pokorą.

— Będziesz musiała solidnie popracować nad swoim image

— w dalszym ciągu przyglądała się jej smukłym nogom i kształtnym stopom wciśniętym w rozchlapane sandałki z czerwonej imitowanej skóry. -

Rozumiesz? — Przestraszona Agata przełknęła nerwowo ślinę, wstydząc się, że nie zna tego obcego słowa.

Maria uśmiechnęła się przeproszająco jak do dziecka, które niechcący postawiła w kłopotliwej sytuacji.

— Będziesz musiała zmienić swój wygląd, [warz i w ogóle stworzyć siebie od nowa. Ja ci pomogę. W tej chwili wyglądasz na cierpiętnicę, a to najgorsze.

Nikt nie lubi biednych i nieszczęśliwych. Pamiętaj o tym... Uśmiechnij się. no już lepiej! Nie uciekaj spojrzeniem w bok! I słuchaj uważnie, co się do ciebie mówi! Patrz prosto w oczy — Agata pokonując nieśmiałość uśmiechnęła się szerzej ustami w kształcie serduszka.

— Zrobię wszystko, co pani każe — pochyliła głowę w wier-nopoddańczym skłonie.

— Nie stój tak jak jakieś cielę, siadaj! — wskazała jej krzesło, a sama chodząc po pokoju mówiła jakby do siebie. — Mimikę, gesty.

spojrzenia i ruchy będziesz musiała poćwiczyć przed lustrem. Prze stań ciągle się wstydzić! To wpływa deprymująco na innych — pokręciła z niezadowoleniem głową. — Nic wiem. czy opłaci się inwestować w ciebie? — zastanawiała się głośno — pierwsza rzecz, to kosmetyczka, polem fryzjer, jakieś ciuchy... nie możesz się w tym pokazać na ulicy — odniosła się z pełną dezaprobatą do chabrowej, błyszczącej bluzki i wytartej dżinsowej spódnicy. — Moi znajomi lubią dziewczyny ładnie ubrane, domyte, umiejące się zachować...

— Ja odpracuję — uniosła ręce w błagalnym geście. — Niech pani pozwoli mi tu zostać. Nie mam dokąd pójść, zresztą mogę nawet pracować za darmo.

— No wiesz! Tego jeszcze brakowało! — oburzyła się Maria.

— Co ty sobie myślisz, że ja jestem jakimś krwiopijcą? Potworem, co żeruje na ludzkim nieszczęściu? Nie. Tu się nikogo nie wykorzystuje i do niczego nie zmusza. Chcesz pracować? Proszę bardzo. Pożyczę ci na pierwsze wydatki bez żadnych procentów, oddasz, jak zarobisz... Musisz tylko się starać „nie zrażać” do siebie klientów.

— Och! Dziękuję. Jaka pani dobra złożyła ręce i patrzyła na Marię z uwielbieniem.

— Nie przesadzajmy z tą dobrocią — ostudziła ją Maria.

— Jestem człowiekiem interesu i tak mnie trzeba traktować, ale gram uczciwie, pamiętaj! I tego samego wymagam od innych. A teraz opowiadaj o tym mężu. on cię rzucił, czy ty jego?

— Bił mnie — Agacie zwilgotniały oczy. zaczęła trzeć je kułakiem i pociągać nosem. — On nie mógł tak zwyczajnie, jak człowiek, przed tym musiał zawsze mi przyłożyć i dopiero jak płacząc padałam bez sił. on robił swoje.

— Długo z. nim byłaś?

— W sierpniu będą dwa lata — odpowiedziała pochlipując.

— Kochałaś go?

Agata wzdrygnęła się i wytarła oczy. Na jej twarzy pojawił się wyraz zaciętości i obrzydzenia. — Nic, nigdy, nigdy — powtórzyła z niezwykłą zaciętością.

— Dlaczego wyszłaś za niego?

— Byłam na przymusie. Po tym jak mnie zgwałcił, zaszłam w ciążę i. prawdę powiedziawszy, byłam w siódmym niebie, kiedy powiedział, że się chce ze mną ożenić.

— Co z tym dzieckiem? U kogo jest teraz? — spytała zaniepokojona Maria.
— Urodziło się nieżywe, na szczęście dla mnie i dla niego. Jakie miałyby życie z takim ojcem? To była dziewczynka — Agata od nowa zalała się łzami.
— To straszne, wiem — pochyliła się nad nią Maria. — Płacz tu niczego nie zmieni, w niczym nie pomoże. Uspokój się! Już dobrze, było, minęło, nie trzeba o tym myśleć, jesteś młoda, ładna, będą z ciebie ludzie — przytuliła ją do swoich miękkich piersi, na których wyplakiwało się wielu mężczyzn. Ich bliskość działa na nich kojąco. — A co na to twoi rodzice, pozwalają lak cię krzywdzić?

— Ojciec nie żyje, matka ma drugiego, a z nim kupę bachorów. Co ją tam ja obchodzę? — Agata rozmazywała łzy po poiezkach.

— Kiedy uciekłaś? — spytała Maria.

— Tydzień temu. W poniedziałek. Poszłam do lasu. nazbierałam grzybów, udusiłam w śmietanie z cebulką. Do prawdziwków dorzuciłam dwa szatany. Nie muszę się przecież znać na grzybach? No nie? Nikt by mi niczego nie udowodnił. No nie? Postawiłam w kuchni garnek na stole i mówię: udusiłam grzybki, tak jak lubisz, w śmietanie, a on spojrzał na mnie tak jakoś przeszywająco i mówi: Siadaj i jedz razem ze mną. Może chcesz mnie otruć, kto cię tam wie. Zwariowałaś? — mówię z uśmiechem — przecież wiesz, że ja od dziecka grzybów do usł nie biorę. Mam uczulenie... Teraz weźmiesz, weźmiesz — zaśmiał się dziko — a jak nie, to cię siłą nakarmię. Spróbuj tylko, no — podsunął mi łyżkę. — Dobra — mówię — zjem. na twoją odpowiedzialność, niech będzie, wezmę sobie talerz... Wyciągnęłam z kredensu największy talerz i buch go w łeb. Huk był jak od bomby... Skurwiel zwałił się z krzesła, a ja chwyciłam walizkę, którą wcześniej przygotowałam sobie, i w nogi...

— Zabiłaś go? — przeraziła się Maria.

— Niestety, nie — westchnęła ze szczerym żalem - skurwiel ma łeb z żelaza. Dzisiaj rano dzwoniłam do sąsiadki. Powiedziała, że go zeszyli, jest już w domu, odgraża się skubany, że mnie zabije...

— Nic wyrażaj się! — skarciła ją Maria — u mnie to zabronione.

— Przepraszam — Agata spuściła oczy.

Maria popatrzyła na nią jeszcze raz i pokręciła głową, jakby poddając w wątpliwość jej słowa, nic jednak nie powiedziała.

zawołała Kaśkę, gotową do wyjścia, obejrzała ją uważnie i nie miała zastrzeżeń do jej wyglądu.

— Masz jeszcze czas — spojrzała na zegarek — zaprowadź ją do siebie, a jutro z samego rana do pana Jurka. Niech zajmie się jej włosami, a pani Jadzia niech popracuje nad jej twarzą. Zaczyna pracę od jutra wieczór. Niech się wyśpi — mówiła o Agacie do Kaśki jak o kimś nieobecnym. — Mam dzisiaj ważne spotkanie, nie chcę, żeby się tu ktoś kręcił. Dobrze? Walizkę możesz zostawić. Schowaj ją tylko do szafy — dopilnowała, żeby jej polecenia zostały wykonane, odprowadziła dziewczyny na klatkę schodową, zazdroszcząc im, że mogą chodzić swobodnie po mieście i zatrzasnęła drzwi. Weronika zajęła jak zwykle stolik przy oknie. Rozłożyła na nim zeszyty i rozejrzała się po sali, witając z uśmiechem kelnerkę, ubraną w czerwoną spódniczkę mini i różową jedwabną bluzkę z długim rękawem. Kelnerka odpowiedziała jej uśmiechem i, chcąc podkreślić swoją z nią zażyłość, uniosła rękę w życzliwym geście. Po chwili bez pytania postawiła przed nią puszkę coca-coli i szklankę...

— Nie było go lulaj? — spytała zaniepokojona Weronika.

— Nie — odpowiedziała kelnerka i odeszła przywoływana przez kilku młodzieńców w drugi koniec sali... Weronika otworzyła puszkę coli i nalała ciemnego płynu do szklanki. Z zadowoleniem upiła łyk. Lubiła tę kawiarnię, czuła się tutaj jak u siebie w domu. Z kelnerką Lidką znały się jeszcze ze szkoły, Lidka była trzy lata starsza, nie miało to żadnego znaczenia. Tutaj wszyscy byli sobie równi.

W Wysłuchowicach oprócz „Stokrotki” były jeszcze dwie kawiarnie.

Wszystkie przy rynku, serwowały mniej więcej to samo: kawę, herbatę, piwo, zimne napoje, chipsy, lody i ciastka od tego samego cukiernika, a jednak istniały między nimi różnice. W „Stylowej” zbierali się zamożniejsi emeryci, grali w szachy i w brydża, pili herbatę z grubych filiżanek i objadali się podwójnymi kremówkami, wspominając dawne czasy. W cafe „Margot” pocrzepiali się kawą z koniakiem pracownicy urzędu gminnego i najlepiej uposażeni w mieście urzędnicy bankowi, czasem zaglądał tu nawet burmistrz w asyście któregoś z zastępców i podkręcając strzelistego wąsa, który czynił jego twarz groteskową i śmieszoną, raczył się kawą z mlekiem

i włoskim cherry. Natomiast „Stokrotkę” omijali z daleka stateczni mieszkańcy Wysłuchowic, a garnęła się do niej młodzież.

Było tu. prawdę mówiąc, niezbyt czysto, ciemno od papierosowego dymu i bardzo głośno. Wieczorami dwa potężne głośniki trzeszczały rockiem i heavy metalem. Kwaśny zapach piwa, pomieszany z dymem nie najlepszych papierosów unosił się nad wejściem niczym grzyb atomowy, odstraszać skutecznie nie zahartowanych klientów. Dla Weroniki „Stokrotka” miała swój styl. Sala przecięta na pół wspartym na dwóch kolumnach łukiem była dla niej najpiękniejszym miejscem na świecie. Tutaj w sylwestrowy wieczór poznała Michała, całowała się z nim w tańcu, stąd też po raz pierwszy odprowadził ją do domu. Wracając po upojnym balu zaglądali do pozostałych kawiarni przy rynku. Nikt się już nie bawił. W „Stylowej” i „Margot” pościągano obrusy i na gołych stołach ustawiono krzesła do góry nogami. Jakieś zapóźnione pary obściskowały się na rynku. Ktoś śpiewał „sto lat”. Oni również podchwycili melodię. Nie wiedzieli, kto ma żyć sto lat. Nowy Rok, czy jakiś Mietek, obchodzący w tym dniu swoje imieniny. Nie miało to żadnego znaczenia. Ważna była tylko ta noc, rozświetlona sztucznymi ogniami, przepełniona radością, pulsującą w każdej cząsteczce ciała, drzewa oblepione białym lukrem, śnieg pod stopami i ciepła ręka Michała na jej ramieniu.

Szli środkiem jezdnii i śpiewali, a kiedy nie mogli sobie przypomnieć jakiejś zwrotki, stawali i całowali się nieprzytomnie. Weronice kręciło się w głowie, zataczała się, słabła i gdyby nie silne ramię Michała obleczone w puchową kurtkę, pachnącą wiatrem, upadłaby na środku ulicy. Tylko jemu zawdzięcza, że dotarła szczęśliwie do domu.

Od tej roztańczonej nocy i białego poranka, kiedy to ulice i domy wynurzające się z mroźnych oparów wyglądały jak tajemnicze zamki, spotykali się prawie codziennie. Michał miał oczy płonące jak węgle, ciemną cerę i czarne smoliste włosy, które spadały mu prostymi pasmami na ezelo i zakrywały uszy. Ciągłe były w ruchu niespokojne, żywe niczym drzewa na wietrze, tak samo jak jego ręce, szukające oparcia, ciągle coś w nich trzymał, a to zapalniczkę, a to ołówek, kawałek sznurka, papierosy, scyzoryk lub gumę, a jak niczego nie

miał, to chwytu! się za guzik i kręcił nim lak długo, dopóki go nie oberwał. Weronika lubiła wymawiać jego imię bez żadnych zdrobnień czy spieszczeń. po prostu Michał. Michał. Z nie znaną jej dotąd radością biegła na każde spotkanie z nim. czując jak rosną jej skrzydła. Świat oblekał się w jasne barwy, a wszystko, co żyło. oddychało radością. Szkoła schodziła na drugi plan. stanowiła jedyną ciemną plamę w jej życiu. Dzwonki, lekcje, kartkówki, pytania profesorów majaczyły gdzieś w tle, nie myślała o nich. Nie wagarowała tylko dlatego, że on w tym czasie był zajęty. Pracował w firmie swojego ojca, coś tam sprzedawał, kupował, reklamował, zamawiał i odwoływał. W związku z tym wyjeżdżał nieraz na kilka dni. Wracał stęskniony i pukał do jej drzwi. Nigdy nie wchodził do środka, bał się jej babci, czekał przed domem, aż Weronika się ubierze i wyjdzie.

— No. jesteś, wreszcie jesteś — tulił ją do siebie na oczach przechodniów i zabierał do „Stokrotki”, fundował jej ciastka, lody. wino. Chwalił się nią przed kolegami, nazywając ją swoją dziewczyną.

Babcia Weroniki spotykając go na ulicy udawała, że go nie zna, nie odpowiadała na jego ukłony. Z wnuczką nie rozmawiała o nim, wygodniej było udawać, że on nie istnieje, lecz któregoś dnia, gdy zastukał w szybę, podeszła do drzwi i zmierzyła go surowym spojrzeniem, skinęła głową w odpowiedzi na jego ukłon i powiedziała:

— Wejdz!

— Nie. nie. nie chciałbym przeszkadzać — stracił nagle pewność siebie. — Ja do Weroniki. Czy może ją pani poprosić?

— Nie ma jej. No wejdz! Czego się boisz? Przecież cię nie ugryzę. Nie mając wyboru, przekroczył próg drewnianej chałupy, stojącej u wylotu peryferyjnej uliczki o wiejskiej zabudowie, i dał się wprowadzić do reprezentacyjnego pokoju, który zimą służył Weronice i babci za sypialnię i salon, latem zaś pełnił funkcję gościnnego pokoju. Matka Weroniki podczas swoich rzadkich pobytów w miasteczku sypiała tu na wersalce, przykrytej łoświckim pasiakiem i ustawionej na wprost telewizora Sony z 25-calowym ekranem. Michał usiadł w fotelu, przykrytym takim samym pasiakiem, a babcia zajęła miejsce na wersalce. Była to kobieta jeszcze w sile wieku, do sześć-

dziesiątki brakowało jej paru lat i gdyby nie włosy szczesane gładko z czoła i upięte z tyłu w staromodny koczek, wyglądałaby znacznie młodziej. Cerę miała różową z nikłymi zmarszczkami przy oczach i na szyi. pełne usta. jasne podłużne oczy obwiedzione wyraźnymi kreskami ciemnych rzęs i gęstymi rozrośniętymi brwiami.

Przez chwilę patrzyła w milczeniu na Michała, który skubał palcami wzorzysty pasiak, przykrywający fotel, jego niespokojne ręce raz po raz zmieniały pozycję. Oczy wlepione w czubki adidasów uciekały przed światłem,

— Powiedz mi dziecko, ile ty masz lat? - zaczęła łagodnie babcia.

— Dziewiętnaście — odpowiedział cicho.

— Weronika nie ma jeszcze siedemnastu.

— Wiem.

— Chodzi do szkoły i do tej pory uczyła się dobrze.

— Wiem — powiedział zniecierpliwiony, odrywając oczy od adidasów.

— To po co zawracasz jej głowę? — podniosła głos.

— Nie rozumiem - dostosował się do jej tonu. — Chodzimy ze sobą. Co w tym złego? Ona mnie lubi. ja ją.

— Lubicie się? — spytała z chytrym uśmieszkiem.

— No tak, przecież mówię — odpowiedział zdeorientowany.

— Więc jej nie kochasz? — ucieszyła się niespodziewanie. — To dobrze, właśnie to chciałam wiedzieć.

— Tego nie powiedziałem — wtrącił zaczepnie.

— Jak to nie? Powiedziałeś, że ją lubisz.

— No tak — westchnął i spuścił oczy — tak się mówi, sam nie wiem...

— A co jej powiedziałeś? — Oczy pani Antoniny cięły go jak brzytwy.

— Nic jej nic mówiłem — skłamał i wiedział od razu, że ona wyczuła kłamstwo. I chociaż nadawali na innych falach, potrafił odczytać jej myśli, ona jego pewnie też.

— To dobrze — uchwyciła się tego kłamstwa jak dobrej w ieści. — Niech tak zostanie. Nic jej nic mów. ona musi skończyć szkołę, a potem studia albo jakieś kursy, nauczyć się czegoś... Chciałabym, żeby wyjechała siąd. Jej dziadek ma własny biznes, mogłaby się

u niego zaczepić, ale musi coś umieć, na czymś się znać. Teraz człowiek bez wykształcenia może co najwyżej szorować kible w cudzych domach... Takie czasy. Ty też powinieneś wziąć się za naukę, Rodziców' chyba stać?

— Tak. tak od września mam zamiar — bąknął zdawkowo. Naprawdę to co innego miał w głowie... własny biznes, firmę, warsztat, czy choćby sklep. Wszystko jedno co. byleby przynosiło dochód, dawało pieniądze, a jak już będzie je miał, kupi sobie sportowy wóz i zacznie używać życia. Co to miało oznaczać, jeszcze nie do końca wiedział, w marzeniach jednak widział siebie za kierownicą szybkiego wozu w ostrym, zwracającym uwagę kolorze, obok dziewczyna z długimi jasnymi włosami, z pięknymi równymi zębami i jej opalone gładkie udo pod ręką. Natomiast ojciec — stary doświadczony przedsiębiorca — uważał, że syn do własnego biznesu jeszcze nie dorósł. Trzymał go krótko, dawał mu pieniądze na drobne wydatki, żądał posłuszeństwa i nie przejmował się jego iluzorycznymi planami.

— Zostaw ją w spokoju — nakazała ostro. — Zajmij się kim innym. Weronika popłacze, pomartwi się i zapomni. Ty leż zapomnisz.

— Jak to? Mam przestać się z nią widywać? Tak nagle, bez powodu? — wydawał się szczerze zdziwiony.

— Powód jest, ona jest za młoda dla ciebie.

— Nie lubię starych, a ją kocham, tak, kocham — wykrzyknął zdziwiony, że z taką łatwością wymawia to słowo.

— Zawracanie głowy. Miłość to złudzenie, wymysł szatana - przeżegnała się z lękiem. — Zostaw ją w spokoju, to dziecko nie ma nikogo prócz mnie.

Proszę cię. błagam! Unieszczęśliwisz ją, jesteście za młodzi. Znam twoich rodziców, oni mierzą wysoko, dla nich Weronika jest niczym, zapytaj ich, a przekonasz się. że mam rację... Ty sam też nic nie znaczyś, nic nie umiesz, nie masz nawet zawodu. Jesteś na ich lasce, w ich rękach... Jeżeli zależy ci na niej. naucz się czegoś, ona powinna zdać maturę... Możesz się z nią spotykać, chodzi o to, żebyś jej nie skrzywdził. Pamiętaj. Bóg wszystko widzi, jego nie oszukasz... No idź, już idź. wiem. że jej nie skrzywdzisz. Będę się za ciebie modlić — uśmiechnęła się ciepło, ze zrozumieniem.

— Proszę się o nic nie martwić — wyszeptał wzruszony — będę się nią opiekował, nie zrobię jej krzywdy, innym też nie pozwolę.

— Jesteś dobrym chłopcem — zrobiła znak krzyża. — Bóg cię wynagrodzi. Wyszedł od niej skruszony, pełen dobrej woli. gołów spełnić jej wszystkie życzenia i wytrwać w tym twardym i trudnym postanowieniu.

Pech chciał, a może zły duch, ktoś przecież musiał to sprawić, że przy rynku spotkał Weronikę. Szła wprost na niego, zarumieniona od mrozu i z płatkami śniegu we włosach wyglądała jak Królowa Śnieżka, dumna, wspaniała, nieziemsko piękna. Serce wyskoczyło mu do niej, zapomniał o całym świecie, musiał ją objąć, przytulić, zanurzyć się w nią całym jestestwem i pozbyć się wreszcie tego straszliwego napięcia, które spędzało mu sen z powiek i odbierało apetyt. Nie chciał innej dziewczyny, bogatszej i ładniejszej, musiał mieć ją. tylko ją. Zapomniał o rozmowie z babcią, o swoim przyrzeczeniu, porwał Weronikę do samochodu i zawiózł do ojcowskiego biura, w którym o tej godzinie nikogo nie było, i tam wśród miłosnych szeptów, wyznań, przysiąg i obietnic wtargnął do jej wnętrza i znalazł się nagle w innym wymiarze, w jakimś cudownym, błogosławionym śnie, w którym pragnął zostać na zawsze.

Krzyk Weroniki sprowadził go na ziemię. Ręcznik tonął we krwi, Weronika płakała, bała się, że umrze. On też się przestraszył, na szczęście woda była pod ręką. umył ją i wytarł papierowym ręcznikiem, całując każdy centymetr jej kruchego ciała, przysięgał miłość i wierność aż po grób.

Nie przychodził więcej pod okna. spotykali się w kawiarni, skąd, gdy to było możliwe, jechali do biura jego ojca. a gdy zrobiło się ciepło — do lasu.

Weronika przyrzekła wprawdzie babci na obrazek Świętej Rodziny, że nie pójdzie z Michałem do łóżka, nie przywiązywała jednak wagi do tego przyrzeczenia. Po pierwsze: było ono wymuszone, a więc siłą rzeczy nieważne, po drugie, to czego miała nigdy nie robić, stało się przed godziną. Uznała więc, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Dziewczyny z jej klasy kochały się z kilkoma chłopcami narazi nic robiły z tego problemów. Być może one również składały jakieś przyrzeczenia, coś komuś obiecywały, nigdy o tym nie

wspominały, za to lubiły się chwalić swoimi wyczynami seksualnymi, rozprawały o nich rzeczowo i ze znanstwem jak sportowcy o pobitych rekordach.

Weronika o swoich przeżyciach nic mówiła nikomu. Michał był jedynym chłopcem, z którym się kochała. Niezwykle poważnie traktowała jego obietnice i wyznania. Była pewna, że gdy skończy osiemnaście lat, a nastąpi to dopiero za półtora roku, wyjdzie za niego za mąż i już do końca życia będzie przepełniona tym wielkim stanem łaski trudnym do określenia, który towarzyszy jej od pierwszych dni roku. Prawdę mówiąc, niewiele czasu poświęcała rozmyślaniom o przyszłości. Nie wymagała od życia zbyt wiele. Była szczęśliwa, gdy o godzinie 16.00 Michał czekał na nią w „Stokrotce”. Zjadała lody lub ciastko i wsiadała z nim do malucha. Lubiła kochać się w lesie wśród śpiewu ptaków i szumu drzew. Czuła się wówczas częścią natury. Natomiast w te dni, kiedy Michał nie zjawiał się o 16.00 w „Stokrotce”, czekała na niego kwadrans, tak jak to uzgodnili, i wychodziła bez żalu. Wiedziała, że wyjechał w sprawach fomy i nie zdążył wrócić. To było normalne. Nic miała o to pretensji, wiedziała, że następnego dnia zastanie go jak zwykle przy stoliku pod oknem. Ufała mu bezgranicznie i nie dopuszczała myśli o zdradzie. Do tej pory nie zawiódł jej ani razu. Był miły, serdeczny, dobry, troskliwy i odnosił się do niej z szacunkiem. Ceniła to bardziej, niż jego hojność oraz starania, żeby jej sprawić przyjemność.

Wiosenne dni były wyjątkowo ciepłe i suche, a wyprawy do lasu ekscytujące i romantyczne. Jednak myśl o tym, że grzeszą, psuła trochę smak szczęścia.

- Nie powinniśmy tego robić — mówiła tulącsiedoniego. — To grzech.
- Przecież się kochamy — uspokajał ją. — Miłość nic jest grzechem.
- Ale ja jestem za młoda.
- Nie jesteś. Masz szesnaście lat.
- Szesnaście i pół — dodawała gwoli ścisłości. To było niezmiernie ważne. Czyniło ją niemal dorosłą, ale gdy się nad tym zastanawiała, nie chciała wcale nią być. Dorośli, według niej, wiedli życie monotonne i szare. Nie było do czego się śpieszyć. Zresztą wołała niczego nie planować, czekała z otuchą aż życie otworzy się

przed nią niczym wielka księga i ofiaruje jej wszystkie barwy nieba i ziemi. Minęła połowa czerwca. Zrobiło się zimno. Po upalnych wiosennych dniach zostały okruchy wspomnień. Michał wyjechał na dwa dni. Weronika czekała, gryząc ze zdenerwowania paznokcie. Jednak po namyśle doszła do wniosku, że nie ma co zwlekać i poszła do przychodni. Lekarz po zbadaniu jej był niemal pewien, lecz dla zupełnej jasności kazał porobić analizy. Na razie Michałowi nic nie mówiła. Chciała mieć pewność. Wyniki badań rozwiały wątpliwości. Lekarz podtrzyma! wstępną diagnozę. Nie rozumiała, jak mogło do tego dojść, sprawdzała w kalendarzyku dni bezpłodne, robiła wykresy, on też uważa!, zawsze pytał, czy można... Z bijącym sercem pobiegła do „Stokrotki”, modląc się w duchu, żeby on przyszedł. Spóźni! się o kilka minut, przeprosił i widząc smutek na jej twarzy przywitał ją czulej niż zwykle.

— Wczoraj byłem w Maleszycach — usprawiedliwiał się.

— Wróciłem późnym wieczorem.

— Wiem,

— Czekaaś? Skinęła głową.

— Przepraszam. Tęskniłaś za mną?

— Zawsze tęsknię.

— Ja leż. Bardzo, bardzo — ujął jej dłoń, całował. Jego wilgotne oczy patrzyły na nią z pokorą.

Nabrała powietrza do płuc. wypuściła. Mimo wszystko zatykało ją w piersiach. Głos przyklejony do krtani trzeszczał jak łamiąca się gałąź.

— Słuchaj! — pochyliła się nad stołem — byłem u lekarza. Jestem w ciąży.

— Co? — odsunął się od niej i zrobił taką minę, jakby nie zrozumiał.

— Jestem w ciąży — powtórzyła bliska płaczu.

Milczał, wczepiony palcami w blat stołu. Jego twarz zamieniona nagle w gipsową maskę nie wyrażała niczego,

— Słyszałeś, co powiedziałam?

— Tak — próbował zrzucić gips, rozetrzeć zasychające usta

— zastanawiam się. jak mogło do tego dojść.

— Byliśmy nieostrożni.

— Byliśmy? — zdziwił się nieprzyjemnie. — Ty byłaś.

— Ja? — zdumienie zatamowało jej oddech. Zachłysnęła się własną śliną i zaczęła pokasływać.

— Zawsze cię pytałem...

— No tak — zgodziła się z poczuciem winy — ale skąd mogłam wiedzieć? Liczyłam, sprawdzałam...

— Wiem — gips roztrzaskał się pod wpływem głośnego śmiechu, którym wybaczał jej wszystkie winy. Swoboda i beztroška powróciły do niego. — Wiem, skarbie — przechylił się przez stół i ścisnął jej rękę. — Nie martw się, bardzo cię proszę. Coś wymyślę. Daj mi czas do jutra, dobrze? — Był niezwykle czuły, serdeczny, objął ją ramieniem i poprowadził do auta. idąc szeptał: Kocham cię. Kocham. Całował ją na oczach kolegów. Nic sobie nie robił z otoczenia. Istniała tylko ona.

— Dokąd jedziemy? — spytała widząc, jak zapuszcza motor.

— Tam, gdzie zwykle. Nie chcesz?

- Tak — zgodziła się z radością, czując, jak jej ciało z napiętego luku staje się elastyczne i miękkie. Opadły z niej cierpienia i udręka ostatniego tygodnia. Jego słowa rozproszyły mrok, wywiodły ją z ciemnego tunelu w jasne światło dnia.

— Chyba będziemy musieli się pobrać — oznajmił wpatrzony w drogę. — Co ty na to?

— Ja się zgadzam.

— Żałuję, że nie mam pierścionka zaręczynowego, ale skąd mogłem wiedzieć?

— Niepotrzebny mi pierścionek. Najważniejsze, że jesteś przy mnie. Tak się bałam, nie wiedziałam, jak zareagujesz. Jesteś cudowny. Nie wiem, jak ja bez ciebie żyłam. Wiesz, to nie było życie, a jakaś ponura wegetacja.

— Wiem — pogłaskał ją po głowie — czuję to sarno.

— Naprawdę? — uśmiechnęła się do niego.

Widział ją kątem oka. Była piękna, jasna i świeża. Pragnął jej jak nigdy dotąd. W lesie nie mogli się od siebie oderwać, parę razy szykowali się do odjazdu, pakowali rzeczy do samochodu i znów je wyładowywali. Pod wieczór wracali wyczerpani, znużeni, nie mieli

siły rozmawiać, zresztą nie potrzebowali słów. Wystarczały im uśmiechy, spojrzenia, uściski.

— A więc do jutra — rzucił, zatrzymując się na bocznej uliczce w pobliżu jej domu. Wolał nie pchać się przed oczy jej babci, która i tak była nieobecna. Po nabożeństwach majowych zaczęły się czerwcowe, a ona uczestniczyła w jednych i drugich.

Do zamknięcia sklepu zostało niewiele czasu. Popołudniowy ruch skończył się przed godziną. Teraz panował błogi spokój, toteż Dorota, która za sklepową ladą spędzała najlepsze lata swego życia, mogła sobie wreszcie pozwolić na chwilę wytchnienia. Utarg miała już obliczony, raport przygotowany. Z prawdziwą rozkoszą usiadła w niezbyt wygodnym krześle i wyciągnęła nogi, nabrzmiałe w kostkach. Nie chciało jej się czytać pism kolorowych ani „Skandali”. Gdy była zmęczona, lubiła przyglądać się ludziom, a najbardziej psom. Dzisiaj zmieniła upodobania i nie zwracała uwagi nawet na psy. Interesowały ją auta, przede wszystkim maluchy. Ciągle miała nadzieję, że z jednego z nich wysunie się niewysoki mężczyzna o załęcznionych oczach i nieśmiałym uśmiechu, wejdzie do sklepu i położy na ladę skromny bukietek wraz z listem, w którym znajdą się słowa wyjaśnienia i przeprosin.

— Ale ze mnie idiotka — skarciła się w myślach. — Nie ma co liczyć na cud — a jednak nie była w stanie oderwać myśli od niego. Przychodził przecież codziennie, kupował niewiele, żyletki, mydło, najtańszą pastę do zębów. Widać było, że mu się nie przelewa. Gdy prosił o tanie mydło, rumienił się jak panienka, jękał się, przestępował z nogi na nogę i nie wiedział, gdzie podziąć oczy.

Któregoś dnia zjawił się w sklepie z niewielkim bukietem stokrotek i stał z nim przy oknie, czekając aż wszyscy wyjdą. Wtedy z jakąś determinacją, nie podnosząc oczu, rzucił go na ladę i wybiegł na ulicę. Następnego dnia zjawił się odświeżony, pachnący, w białej koszuli i jasnych płóciennych spodniach, kurtkę trzymał w ręku. gniótł ją i miętosił ze zdenerwowania. Przez chwilę wpatrywał się w nią oczami utkanymi z drżących kropelek rosy. Wreszcie jękając się i rumieniąc zapytał, czy pójdzie z nim nad Zalew.

- Nie znam pana — odparła Dorota, połechtana mile tym

zaproszeniem — nie mogę iak z pierwszym lepszym jechać, nie wiadomo dokąd.

— Nic jestem pierwszy lepszy — odparł urażony.

Dorota nie chciała robić mu przykrości, powiedziała więc, że chętnie napije się z nim kawy w pobliskiej kawiarni, posiedzą sobie w ogródku, pogadają. Tak będzie rozsądniej a i bezpieczniej, dla niej oczywiście — dodała ze śmiechem. On jednak, nie przestając się jąkać i rumienić, upierał się przy Zalewie, pokazywał na niebo lśniące od słońca i twierdził, że szkoda takiego dnia na kawiarnię. Jest sobota. Dorota może zamknąć sklep wcześniej. I tak nie ma żadnego ruchu. W końcu chwycił się ostatniego argumentu, wyjął portfel i podał jej dowód osobisty.

— Niech pani zadzwoni do domu i powie, że jedzie ze mną, Proszę, tu jest mój adres i wszystkie dane. Wrócimy przed zmrokiem. Obiad zjemy po drodze. Odwiozę panią, dokąd pani zechce. Jest pani bardzo blada, przyda się trochę słońca i świeżego powietrza.

Dorota nie tęskniła za słońcem, świeże powietrze miała u siebie, pragnęła jednak odmiany, więc zadzwoniła do sąsiadki i poprosiła, żeby powiadomiła jej matkę o planowanej wycieczce, podała nazwisko nieśmiałego młodzieńca, adres i numer dowodu osobistego. Obiecała wrócić na kolację.

Nieznajomy uśmiechnął się z zadowoleniem, podziękował jej oczami i wyszedł. Czekał na nią w samochodzie. Utarg tego dnia był niewielki, zamknęła go w szafie pancерnej, włączyła alarm, klucze oddała dozorczy. Jadąc na wycieczkę, nie chciała się nimi obciążać, mogła przecież łatwo je zgubić. Nieśmiały młodzieniec pochwalił ją za przezorność i skrupulatność.

— To są właśnie cechy, których mnie brakuje — wyznał, starając się opanować jąkanie. — Podziwiam panią — dodał błyskając mocnymi zębami. Jego dziwny uśmiech zaskoczył Dorotę.

— Pan się ze mnie śmieje — mruknęła niezadowolona.

— Ja? No wie pani, gdzieżbym śmiał, gdzieżbym, och proszę mi wybaczyć — oblał się czerwienią i spuścił oczy.

— Jedźmy już! — dotknęła jego ramienia. Ruszyli.

Po drodze w jakimś bistro zjedli flaki, napili się coca-coli. on był milczący, lękliwy, uśmiechał się do niej oczami, jakby bał się słów, ale

samochód prowadził z dużą wprawą, momentami szarżował, co było dziwne i niepojęte, zważywszy jego nieśmiałość i brak zdecydowania.

Zatrzymali się w lesie, z dala od ludzi i Zalewu. Było ciepło, lecz niezbyt gorąco. Dorota wysiadła pierwsza, nucąc coś pod nosem. Była zadowolona, że dała się namówić na wyjazd. Wyciągnęła ramiona i odetchnęła pełną piersią. On rozścielił koc i podszedł do niej, ściskając coś w dłoni. Cofnęła się przerażona. W jego oczach ujrzała mord.

— Co pan tak na mnie patrzy? — spytała, nie przestając się cofać. Latała mu grdyka, ręce zaciskały się nerwowo, z otwartych ust sączyły się kropelki śliny, charczał nie mogąc mówić z przejęcia.

— Rozbieraj się! -- wychrypiał w końcu, machając przed nią ostrzem żyłki. Zamarła w pół kroku. Uciekać nie było dokąd. Drzewa szumiały łagodnie, bzykały pszczoły, z rzadką odzywały się niespokojne nawoływania ptaków, ludzkich głosów nie było słyhać. On wpatrywał się w nią z r., pięciem, strużki potu spływały mu z czoła, żyłka w jego dłoni błyszczała złowieszczo, czekał, przesuwając się nieznacznie do przodu.

— Szybciej. szy...b...ciej! — popędzał. Zdjęła spódnicę, potem bluzkę i zawahała się.

— D.. Da., lej! — rozkazał wściekle. Szybko odpięła stanik, zsunęła majtki i znieruchomiała w ciepłym cieniu szumiących w górze sosen. Przez chwilę napawał się jej widokiem, nikły, aprobujący uśmiech pojawił się na jego twarzy. Naga Dorota wyglądała znacznie lepiej niż w ubranu. miała jędrne duże piersi, wyraźnie zarysowaną talię, wąskie biodra, koliste pełne ramiona i szczupłe choć niezbyt długie nogi. Skórę miała różową z lekkim nalotem opalenizny i gdyby nie ostry makijaż, wyglądałaby najwyżej na swoje lata. Figurę miała dziewczęcą i to go mile zaskoczyło, sycił oczy jej ciałem, ślizgał się po nim, dotykał go w myślach, bil i rozrywał na części. A jednak nic zrobił tego. mimo. że czuł się wyzwolony, zdolny do wszystkiego i miał ochotę dać upust swoim najgorszym instyktom. Coś go jednak trzymało w ryzach, nie był w stanie przekroczyć pewnych granic. Chciał się tylko zabezpieczyć przed ryzykiem i ewentualnymi niespodziankami. Sięgnął do kieszeni i wydobyl sznur. Dorota jęknęła rozpaczliwie. Była przekonana, że chce ją powiesić.

— Nie krzycz! — powiedział pojednawczo. — Nic ci nie zrobię.

Związał jej ręce sznurem. - Muszę się zabezpieczyć — wyjaśnił. I przestał się jąkać.

Pchnął ją lekko na ziemię i wziął od tyłu. Dorota nie krzyczała i nie próbowała się bronić. Myślała tylko o tym, żeby jej nie zabił. Była zaszokowana, gdy zaczął ją całować i pieścić, a jeszcze bardziej, gdy zachwycił się jej ciałem, był delikatny, czuły, lecz gdy w nią wchodził, zamienił się w bestię, gniótł jej piersi do bólu, szarpał zębami i gryzł.

Zostawił ją nagą ze związanymi rękami w środku lasu. a sam wsiadł do malucha i odjechał. Bez większego trudu udało jej się wysupłać ze sznura, chyba celowo nie zaciągnął go zbyt mocno. Ubrała się pośpiesznie i nasłuchiwała. Z daleka doleciał do niej pogłos jadących samochodów, pobiegła co sił w tamtą stronę. Po pół godziny udało jej się dotrzeć do szosy, lecz nauczona złym doświadczeniem, obawiała się kogokolwiek zatrzymać. Na najbliższym przystanku wsiadła w autobus i dojechała do Warszawy. Tam zgłosiła się na policję i złożyła zawiadomienie o gwałcie, podała rysopis napastnika, nazwisko, imię adres a nawet numer rejestracyjny jego wozu. Wszystko okazało się lipą. pod wskazanym adresem mieszkały dwie samotne kobiety — zaś mężczyzn o nazwisku Mielnicki było w Polsce kilkuset, samochód należał do pewnego emeryta i został skradziony przed dwoma tygodniami.

Teraz siedząc przy oknie wyobrażała sobie, że człowiek, który ją zgwałcił, nagle zjawia się w sklepie i trzęsąc się ze strachu prosi o najtańszą pastę do zębów. Dorota patrzy na niego zza lady, gdzie czuje się bezpieczna, uśmiecha się. mówi mu coś miłego i gdy on się niczego nie spodziewa, unieszkodliwia go gazem. Za te godziny strachu, które przeżyła w lesie, i za to straszliwe upokorzenie, nie mówiąc o gwałcie, należała jej się rekompensata. Nie chciała jego śmierci, ale kilkunastoletnie odosobnienie byłoby ze wszech miar wskazane, jeżeli oczywiście istniała na tym świecie jakaś sprawiedliwość, a przecież wiedziała, że nie.

Pan Siwek — dozorca domu — o posturze gladiatora, byczym karku i końskiej twarzy uchylił drzwi.

— Gotowa? - spytał, lustrując czujnym spojrzeniem podjazd i wejścia do pobliskich sklepów, po czym otworzył malucha i wjechał nim na podwórko. Dorota opuściła kraty, zamknęła je od środka

i wyszła na zewnątrz. Woreczek z pieniędzmi umieściła za stanikiem pod bluzką, wyjęła go dopiero na poczcie, gdzie wypełniła przekaz. Pieniądze wysłała na konto Marii.

Przed ósmą, gdy zadzwoniła do niej, miała przy sobie jedynie pokwitowanie, raporty kasowe oraz dwieście tysięcy złotych na drobne wydatki. Nigdy nie nosiła większej sumy. Po tragicznej w skutkach wycieczce nad Zalew, wolała nic prowokować losu.

Dorota pozwoliła wyściskać się pani Marii, sama również z ufnością przytuliła się do niej. Lubiła pachnące gorącym żelazkiem bluzki Marii i oszałamiający wprost, laskotliwy i podniecający zapach perfum o perwersyjnej nazwie „Poison”. Kosztowały majątek. Dorota, handlując kosmetykami, nie mogła sobie na nie pozwolić.

— Zmizemiała pani — stwierdziła zatroskana, patrząc na pozbawioną zwykłych rumieńców twarz Marii. — Źle się pani czuje?

— Głowa... Od kilku dni wiem, że ją mam — uśmiechnęła się smętnie. — A ty jak się miewasz?

— Och! Nogi odpadają mi od tego stania za ladą.

— No to siadaj! Siadaj! I łyknij coś na wzmocnienie — przysunęła do niej szklany barek na kółkach z rozlicznymi trunkami. — No, czego się napijesz?

— Czegoś słodkiego.

— Cherry?

— Może być.

— Wszystkie moje dziewczyny piją to świństwo. Nie sądziłam, że ty również — zdziwiła się Maria, nalewając do kieliszka gęstawy płyn w landrynkowym kolorze.

— Mam słabą głowę — Dorota spuściła skromnie oczy.

— Nie musisz mówić, wiem — stwierdziła obcesowo Maria. — No, co tam masz? — wyciągnęła rękę po papiery, które Dorota wyjęła z torebki.

— Tu są rozliczenia, tu kwity... Należałoby zamówić trochę szminek i kremów, gdyby pani mogła... Przepraszam, ale nie daję sobie rady bez telefonu. Kiedy go wreszcie naprawią?

— Po następnej podwyżce — parsknęła gniewnie Maria. — Ile tych szminek? Napisałaś?

Dorota skinęła głową i podała jej zeszyt z zamówieniami.

— Wypisałam dokładnie nazwy, ilość, kolory... Przepraszam, że panią tym obciążam... Pani bez tego ma urwanie głowy.

Jakby na potwierdzenie tych słów nieprzyzwoicie głośno zapiszczał telefon. Maria zamachała rozpaczliwie rękami i rzuciła się w jego stronę.

— O Boże! Ja zwariuję — jęknęła z rozterką. — Wszystkie dziewczyny w robocie. Co za dzień! — podniosła słuchawkę...

- Tak. tak... Są trudności... Jasne, od tego jestem — z nagłym błyskiem w oczach spojrzała na Dorotę. — Chwileczkę, proszę zostawić swój numer. Zaraz do pana zadzwonię. Tak... — Zapisała numer w notesie, wyrwała kartkę i wachlując się nią podeszła do Doroty. — Nie chciałabyś zarobić? Co? — patrzyła na nią wyczekująco.

— A jest ktoś taki. kto by nie chciał? — spytała retorycznie Dorota, racząc się cherry.

— Jeżeli tak, to zadzwoń pod ten numer — Maria podała jej kartkę.

— I co mam powiedzieć?

— Że przyjedziesz do niego za pół godziny.

— A co ja tam będę robić? — W jasnych oczach Doroty odbijała się naiwność całego świata.

— Nie wiesz? Facet się nudzi... Żona za granicą. Dokucza mu samotność.

— Może to jakiś zboczeniec? — przeraziła się Dorota.

— Bardzo możliwe. Wszyscy oni są trochę pieprznięci — parsknęła krótkim śmiechem Maria — ten, jak zdołałam się zorientować, jest bardzo nieśmiały... Jąka się...

— O. tacy są najgorsi — posmutniała nagle Dorota. — Nie pójdę...

— Jak chcesz. Ja cię nie namawiam. Nikogo nie namawiam. Zadzwonię i powiem, że nie przyjdiesz.

— Zaraz, chwileczkę. Niech pani zaczeka... Potrzebuję forsy jak diabli. Wie pani. ile ja wydaję na lekarstwa dla matki? Dwie bańki miesięcznie. Skąd na to brać? Niech mu pani powie, że zaraz tam będę

— oświadczyła z determinacją.

Maria skinęła ze zrozumieniem głową, lecz nie wykręcała numeru, czekała, chcąc się upewnić, czy Dorota nie zmieni decyzji.

— Zastanów się jeszcze — poradziła życzliwie. — Z własnego doświadczenia wiem, że nie takie to proste.

— Jadę - Dorota zdecydowanie uderzyła ręką w stół. — Niema się co obcyndalać. Niech mu pani powie, że będę za pół godziny.

— Tu masz cennik — Maria podała jej kartkę. — Dla mnie 50% jak w każdej spółdzielni.

Dorota przyjęła jej warunki aprobującym uśmiechem. Maria wykręciła numer.

— Poproszę o adres — powiedziała do słuchawki. — Dziewczyna już jedzie. Tak. notuję — zapisała adres na kartce, a potem naniósła go do notesu. Kartkę podała Dorocie.

— Bądź ostrożna — popatrzyła na nią z powagą. — I nie pij! On już zaczął tankować. Musi się rozluźnić. Najpierw forsa, pamiętaj! Gdyby był brutalny, wał w czule miejsce i w nogi. Weź lo! — podała jej dyskretnie zapakowane kondomy. Jutro opowiesz mi, jak było. a gdyby coś. dzwoń bez względu na godzinę. No... — otoczyła ją ciepłym ramieniem, wyściskała i odprowadziła do przedpokoju. W drzwiach Dorota zderzyła się z tęga wym mężczyzną, który nawet w mieszkaniu chował twarz za ciemnymi szklami okularów . I chociaż dzień był pochmurny, spocił się wchodząc na drugie piętro, wycierał twarz chustką do nosa.

— Przepraszam — mruknął zdawkowo, starając się niezbyt zręcznie wyminąć Dorotę, która zagroziła mu sobą przejście i bezczelnie wlepiła w niego pozbawione pigmentu oczy krótkowidza.

— O matko! To pan? — wykrzyknęła uradowana. — W pierwszej chwili nie poznałam. Tak się pan zmienił. Nie wyjechał pan za granicę?

— A powinienem? — zapytał śmiejąc się mężczyzna.

— W telewizji pokazywali pańskie zdjęcie i mówili o panu...

— Dobrze czy źle? Dorota spuściła oczy,

— A więc źle — zaczął się śmiać. — Czy pani jest pewna, że to o mnie była mowa? Nazywam się Polkowski Jerzy — skłonił się i podał jej rękę.

— Bardzo mi miło, Dorota Dudkiewicz. przez dwa d — zapłonila się jak niewinna panienka, a wypowiadając swoje nazwisko

ledwie poruszała ustami, tak była przejęta niespodziewanym spotkaniem z człowiekiem, bądź co bądź, znanym.

— Jest pani pewna? — dopytywał się Polkowski. — Może mnie pani z kimś myli?

— Ależ nie. Dawniej często występował pan w telewizji, pamiętam, był pan zdaje się ministrem.

— Owszem. Byłem.

— A teraz ma pan przykrości?

— Czy ja tak wyglądam?

— Nie wiem. Jest pan blady, mizerny...

— Ty też tak uważasz? — Polkowski skłonił się przed Marią, która zdążyła poprawić makijaż i wyszła mu na spotkanie. — Dzień dobry — pochylił się nad jej dłonią i ucałował ją.

— Nie wiem. Dawno cię nie widziałam. Faktycznie wyglądasz na zmęczonego.

— Gdyby pan chciał odpocząć, to proszę przyjechać do nas. Mieszkam w Falenicy. tylko z matką. Mamy dom z wygodami. Z największą przyjemnością odstawimy panu górę. Będzie pan mógł odpocząć, nabrać sił.

— On tam z pewnością się niecierpliwi. Idź już — ujęła ją za rękę Maria i popychała ku drzwiom.

— Ja bym woląла posiedzieć tutaj. Pogadać z panem. Może już nie nadarzy się taka okazja.

— Nie dla psa kiełbasa — syknęła Maria. Dorota udała, że nie słyszy. W dalszym ciągu wdzięczyła się do Polkowskiego.

— Powietrze u nas nic skażone, a moja mama świetnie gotuje. Proszę, tu jest adres — podała mu wizytówkę. — Przygotuję pokój. Może pan przyjeżdżać bez uprzedzenia. Nie mamy, niestety, telefonu.

— Dziękuję — skłonił się Polkowski. Kto wie. czy nie skorzystam z zaproszenia. Jest pani bardzo miła.

— Idź już! Bardzo cię proszę — błysnęła złym okiem Maria i Dorocie nie pozostawało nic innego, jak się pożegnać. Ruchem dystyngowanej damy. podpatrzonym zapewne na filmach, wyciągnęła do Polkowskiego rękę, nie przestając powtarzać: — Tak się cieszę. Kto by pomyślał, no, no — po czym jak uskrzydłona wyfrunęła na klatkę schodową.

— Uważaj na siebie! — rzuciła Maria wychylając się za nią. Czujnym spojrzeniem zlustrowała schody, a ponieważ niczego podejrzanego nie zauważyła, cofnęła się z powrotem do przedpokoju, zamknęła drzwi na dwie zasuwy, zawiesiła na nich łańcuch i wskazała Polkowskiemu drzwi do salonu. — Wejdz, bardzo cię proszę, i zdejmij wreszcie te okulary. Nie do twarzy ci w nich.

— Nie do twarzy? No, no — zaśmiał się rubasznie — a ta jak jej tam, Dorota? Była zachwycona. Widziałaś? Jeszcze robię wrażenie na kobietach.

— Powiedziałabym, że raczej twoje zdjęcie w telewizorze

— stwierdziła uszczypliwie Maria. — Siadaj! — wskazała mu fotel przy niskim stoliku — i obsłuż się sam. Przepraszam, ale nie najlepiej się czuję.

— Co ci jest? — przyglądał jej się z niepokojem.

— Och! Nic takiego — westchnęła ciężko. — Po prostu boli mnie głowa. O czym to mówiliśmy? Acha! O twoim zdjęciu w telewizorze. Tak, telewizja to siła, jakiej nie posiadał żaden czarnoksiężnik, a nawet Mefisto.

— Co ty wiesz o Mefiście? — zapytał z lekceważącym zdziwieniem, nalewając do pękatego kieliszka Remy Martin.

— Tyle ile trzeba — odpowiedziała spokojnie. — Mnie też nalej!

— Proszę bardzo — podsunął jej kieliszek i nalał do drugiego.

— Jeżeli mi jeszcze powiesz, że czytałaś Fausta, padnę trupem na miejscu.

— Padaj! I to już! — wskazała mu palcem podłogę. — Wielkie mi mecyje Faust. Taki sam skurwiel jak wszyscy. Chciał się popieprzyć z młodą dziewczyną, a że był stary i nic już nie mógł, musiał wezwać na pomoc diabła.

— No, no — roześmiał się ubawiony. — Ciekawych rzeczy się dowiaduję. Myślę, że napisałaś przebojową historię literatury.

— Żebyś wiedział. Przynajmniej nie byłaby nudna...

— Stałaś się zarozumiała — popatrzył na nią z nagłym zaciekawieniem i umoczył usta w koniaku, smakując go z zadowoleniem.

— A co? — wyprężyła się dumnie. — Może nie mam powodów? Jestem samorządna, samodzielna i niezależna...

— Zmieniłaś się — przestał nagle się śmiać i posmutniał.

— Za to ty wcale — uśmiechnęła się kąśliwie — wcale — powtórzyła z satysfakcją — tyle, że się postarzałeś, przytyłeś...

— Zaczęłaś mi mówić ty — stwierdził z niejakim zdumieniem i przetarł zmęczone oczy dłonią.

— A co? — zaśmiała się pogardliwie. — Masz coś przeciwko temu?

— Nie. Nigdy nie miałem... To tobie brakowało odwagi...

— Dawniej ty wszystkich tykałeś, teraz moja kolej. A może chcesz, żebym ci mówiła towarzyszu albo ekscelencjo?

— Prawdę mówiąc, wolałbym ekscelencję.

— Już nią nie jesteś.

— Ale byłem, byłem ambasadorem, to się wtedy nazywało wygnanie.

— Wróciłeś stamtąd jak triumfator...

— Co to był za triumf... — machnął ręką.

— Zostałeś ministrem...

— A ty skąd o tym wiesz? — przyjrzał jej się nieufnie.

— Z gazet.

— No wiesz? — parsknął śmiechem. — Coraz bardziej mnie zdumiewasz. Nigdy bym nie pomyślał, że czytasz gazety.

— Widzisz, zawsze byłeś słaby w prognozowaniu, na ludziach też się nie znałeś... A ja po prostu chciałam wiedzieć, co się z tobą dzieje.

— Więc jednak?... Ty mnie naprawdę?... — wykrzyknął uradowany. Podniósł się, wyciągnął ramiona, jakby chciał ją przygarnąć do siebie, objąć i przytulić. Speszyło go widać ironiczne spojrzenie Marii, bo szybko wrócił do poprzedniej pozycji i sięgnął po koniak.

— Niepodobnego — zaprzeczyła stanowczo. — Interesowałam się tobą z głupiej, babskiej ciekawości.

— Musisz jednak przyznać, że miałem na ciebie duży wpływ — stwierdził chępliwie.

— Miałeś władzę — prychnęła nieprzyjemnie.

— Miałem — westchnął żałośnie. — Miałem. Co to za okrutne słowo.

— Tęsknisz za nią?

— Jeszcze jak!

— Bardziej niż za Robaczewską? — spytała ściszym głosem i przyglądała mu się uważnie.

Polkowski otrząsnął się jak po wypiciu czegoś gorzkiego.

— Robaczewska! O czym ty mówisz, złotko? Władza! Czy cokolwiek albo ktokolwiek może się z nią równać? Ona jest jak narkotyk, cholernie mocny. Rujnuje ci zdrowie, siły, a ty nadal go pragniesz, nie możesz po prostu bez niego żyć. Jestem uzależniony, wiesz o tym, więc po co pytasz? Zresztą nie tylko ja. wszyscy, nie wyłączając tych cholernych świętoszków, co to trują o wzniosłych ideałach, wszyscy czyhają na tę panienkę, chcą ją rznąć, obłapiać i...

— Nie bądź wulgarny — skrzywiła się z niesmakiem. Polkowski spojrział na nią zaskoczony, a widząc powagę na jej twarzy przeprosił zdawkowo i ciągnął dalej.

— Dla niej wyrzekają się Boga i siebie samych, dla niej popełniają największe zbrodnie, tracą fortuny, o nią walczą na śmierć i życie, do ostatniego tchu.

— Ty już nie walczysz?

— Ja? — zaśmiał się hałaśliwie i śmiejąc się wymachiwał rękami, aż szklanki i kieliszki, stojące na podłużnym stoliku, przy którym siedzieli zabrzączały ostrzegawczo. — Ja już wydałem ostatnie tchnienie — przestał się nagle śmiać.

— Jak na nieboszczyka całkiem dobrze wyglądasz, a teraz serio — zmieniła ton z żartobliwego na poważny. — Powiedz mi. ale szczerze, czy ty kogoś zabiłeś?

— Nie. możesz mi wierzyć — odparł rozbawiony. — Nikogo nie zabiłem, bardzo żałuję. Nie było takiej potrzeby, ale gdyby była, kto wie? Tak, myślę, że nie wahałbym się ani przez chwilę. Z tobą mogę sobie pozwolić na szczerłość, a zresztą, kogo obchodzą moje wyznania? Przejechało po mnie koło historii.

— Nie roztkliwiaj się nad sobą — ofuknęła go ostro. — Miałeś swoje pięć minut. Nachapałeś się, naoglądałeś, nawypinałeś piersi po ordery i starczy... Przy okazji paru ludziom zrobiłeś dobrze na przykład mnie załatwiłeś mieszkanie...

— To był dla mnie drobiazg — machnął ręką, wyraz rozmarzenia pojawił się na jego pomarszczonej i postarzałej przedwcześnie twarzy.

— Dla mnie nie... Dla mnie to była sprawa życia i śmierci. Byłam i jestem ci wdzięczna — popatrzyła na niego wzruszona. — Naprawdę. Gdybym potrafiła się modlić, modliłabym się za ciebie codzien-

nie. Dwa pokoje z kuchnią na Sadybie. To było coś. Wykupiłam je za grosze, a sprzedałam za prawdziwe pieniądze, dołożyłam, nie powiem, nawet sporo, ale mam to, co chciałam... Ładne, prawda, punkt też nie najgorszy, mieszkam nareszcie jak człowiek. Dlatego jestem ci wdzięczna. Dolać? — spostrzegła pusty kieliszek i sięgnęła po butelkę.

Nie odpowiedział. Niewesołe wspomnienia przypląnęły do niego wraz z falą brudnej piany. Oczy mu zgasły, bruzdy na policzkach pogłębiły się, zrezygnowane usta opadły ku dołowi, poruszał nimi nieznacznie nieświadom tego odruchu.

Maria naląła koniaku do dwóch kieliszków, podsunęła mu orzeszki w kryształowej miseczce i wstała.

— Idę zrobić sobie kawy. Ty leż chcesz? — spytała zmierzając do kuchni.

— Tak, poproszę — odpowiedział cicho i zamknął oczy. Wspomnienia kotłowały się w mózgu z brutalną natarczywością, opryskiwały go słoną wodą i piaskiem. Maria zdarła niechcący zasłonę z czasów, które uważał za martwe. Taksówkarz skrupulatnie odliczył resztę i wręczył Dorocie. Podziękowała mu z roztargnieniem, lecz nie wysiadała. W taksówce i na ulicy czuła się bezpieczna, a tam na VI piętrze w cudzym mieszkaniu, z obcym mężczyzną wszystko było niewiadome, należało się spodziewać, że nieprzyjemne, i z całą pewnością niebezpieczne. Pani Maria powiedziała o nim „nieśmiały jąkała”. Czyżby los wystawiał ją znowu na próbę? Co powinna zrobić, jeżeli to właśnie on otworzy drzwi? Wejść i dać się zamordować, czy też narobić wrzasku na cały dom, nim wejdzie. Maria ma jego dane, telefon i adres, nazwisko może się okazać fałszywe, chociaż figuruje w książce telefonicznej. W razie konfrontacji on wszystkiego się wyprze, zapewne na ten dzień, kiedy ją wywiózł do lasu skradzionym samochodem, przygotował żelazne alibi. Był z mamą w kościele, jadł z nią obiad, a potem poszli razem do Łazienek karmić łabędzie.

— Nie wysiada pani? — zapytał uprzejmie kierowca, gotów wieźć ją z powrotem.

— Tak, tak, zamyśliłam się, przepraszam — wysiadła trzymając

w rękę kartkę z adresem, którą przytykała do oczu. Dawno powinna nosić okulary, sama nie wie, dlaczego do tej pory tego nie zrobiła. To żaden wstyd, nie wiedziała tylko, czy w tym nowym fachu, w którym stawiała pierwsze kroki, będzie to możliwe. Dotąd kobiety lekkich obyczajów znała tylko z filmów, prezentowały się rozmaicie, nie wszystkie odznaczały się wielką urodą, ale żadna nie demonstrowała przed klientami swoich wad wzroku. Zresztą ona nie ma zamiaru stać się jedną z nich. Wystarczy jej jeden facet, który zapłaci, musi zarobić na lekarstwa dla matki.

Na sztywnych nogach dotarła do drzwi wejściowych i nacisnęła dzwonek domofonu.

— Pan Jaskólski? — upewniła się konspiracyjnym szeptem.

— Tak — wykrzyknął radośnie. — Dzień dobry, dobry wieczór, już otwieram — wykrzykiwał podochocony. Wraz z jego słowami odezwał się zachęcająco dzwonek.

Jeszcze się wahała, lecz długie buczenie dzwonka przesądziło sprawę, pchnęła drzwi. Głos wydał jej się znajomy, tylko że nie uchwyciła charakterystycznych dla jąkałów zacięć i przystanków. Weszła i rozejrzała się po holu. Służew nad Dolinką, niegdyś podwyższony standard mieszkań, większy metraż, solidniejsze wykończenie. Nie mogła uwierzyć, że miała tu mieszkać śmietanka towarzyska stolicy, dziennikarze, muzycy, młodzi naukowcy, inżynierowie. W holu sterczały poodrywane płyty z dziurkami, a z od lat nie odnawianych ścian sypał się tynk, z sufitu zwisało groźne kłębowisko rur. posadzka była zachlapana i brudna, drzwi do wind porysowane i odrapane. „Jesteśmy we własnym domu” — przypomniawszy sobie wzruszające hasło artystów i uśmiechnęła się gorzko. Nie zajmowała się polityką, ale podzielała razem z matką ich entuzjazm, z nadzieją powitała wolność wkraczającą do tych domów, na Narodowy Fundusz oddała złotą obrączkę mamy i zaraz potem straciła pracę. Spółdzielnia o tchnącej optymizmem nazwie „Świt” podzieliła los wielu polskich przedsiębiorstw i, po prostu, zbankrutowała. Było to zjawisko nowe, niewiarygodne i szokujące, a jednak prawdziwe. Personel biurowy, do którego miała zaszczyt należeć jako początkująca księgowka, z dnia na dzień znalazł się na bruku. Na odprawy dla pracowników zabrakło pieniędzy. Majątek spółdzielni dzięki pomysłowej działalności likwidatorów zniknął w jakiś cudo-

wny sposób, a może go nigdy nie było. Tak czy inaczej „własny dom” nie zapewniał środków do życia, a ona miała na utrzymaniu chorą matkę z groszową rentą i dom w Falenicy z przeciekającym dachem. Nie wiedząc, co z sobą począć, dała anons do gazety: „Młoda, uczciwa, wykształcenie średnie handlowe szuka intratnej posady”. Koleżanki pukały się w czoło. Kto w dzisiejszych czasach rozdaje intratne posady anonimowym facetkom bez żadnych znajomości i wyższych studiów. Wszędzie kolesie, układy, znajomości, w najgorszym razie trzeba znać języki obce.

Dorota, poza polskim, nie znała żadnego. W szkole nie należała do prymusek i w ogóle z nauką miała raczej problemy. Ogłoszenie ukazało się w niedzielnym „Życiu”. Dorota poszła do sąsiadki i odbierała telefony.

Dzwonili przeważnie faceci ze świńskimi propozycjami lub jakieś zwariowane staruszki, które chciały sobie pogadać, dopiero pod wieczór odezwała się pani Maria Jędraszak i zaproponowała jej pracę w perfumerii. Posada, jak nie trudno się domyśleć, nie należała do intratnych, ale Dorota nie miała wyboru. Zdecydowała się ją przyjąć. Niestety, lekarstwa pochłaniały gros jej zarobków. Nie starczało nawet na światło i ogrzewanie.

— Boże! Jak nisko upadłam — powiedziała do siebie, przeglądając się w kieszonkowym lusterku. Winda, kołysząc się niczym okręt na morzu, wiozła ją ku jej przeznaczeniu. Zatrzymała się z ciężkim tupnięciem na VI piętrze, Dorota wyszła, lecz trzymała otwarte drzwi zastanawiając się, czy nie zjechać z powrotem w dół. Pisk uchylanych drzwi z prawej strony położył kres jej wahaniom. W obramowaniu futryny ukazał się wysoki mężczyzna z poważną łysiną. Powitał ją konspiracyjnym uśmiechem i szerokim gestem zapraszał do mieszkania. Weszła, choć nogi ugiwały się pod nią ze strachu. Mężczyzna miał na sobie białą, czystą koszulę, pachniał „Old Spice*em” i w niczym nie przypominał jakaś z lasu. To ją usposobiło do niego życzliwie. Wyglądał bardzo męsko, łysina dodawała mu powagi, twarz długa, pociągła, ze śladami ciemnego zarostu. Jedyne co zaniepokoiło Dorotę, to wąskie usta. Szczupli mężczyźni o takim wykroju ust przejawiają skłonności sadystyczne, czytała o tym w jakimś piśmie kobiecym.

Pan Jaskólski uśmiechnął się nerwowo, jego piwne oczy z żółtawym odcieniem unikały zderzenia z jej wzrokiem, wytarł ukrad-

kiem wilgotną dłoń i dopiero wówczas ustawił się przed nią z pochyloną głową i całując ją w rękę powiedział: — Jaskólski Radosław. Znajomi mówią do mnie Sławek.

Dorota zaskoczona tym ceremoniałem bąknęła swoje nazwisko:

— Dudkiewicz. Przez dwa d — próbowała zażartować.

— W szkole tak właśnie o mnie mówiono. Dwa d. Chłopcy, wie pan. lubią świńskie dowcipy.

Wbrew oczekiwaniom, nie udało jej się rozładować dosyć sztywnej i naładowanej grozą atmosfery.

Jaskólski przestał się uśmiechać, podał jej szklankę, w której brzęczały przyjemne kostki lodu.

— Co to jest? — spytała z niepokojem, z góry wiedząc, że odpowiedź nie przyda się na nic.

— Koktajl, proszę pani — zachęcał skąpym uśmiechem. Dorota pełna najgorszych przeczucí wahała się, pokrywając zmieszanie uśmiechem, wahała koktajl, oglądała go pod światło. Trudno, zaryzykuję — zdecydowała się. — Przecież mnie nie otruje — pomyślała uspokojona. — Pani Maria zna jego adres. — Wypiła parę łyków.

— Dobry ten koktajl, wie pan?

— Proszę mi mówić po imieniu. Sławek.

— Dorota — stuknęli się szklankami.

— Dorota — powtórzył z niedowierzaniem i jego wąskie wargi rozciągnęły się w szyderczym uśmiechu. — Znasz Jarzębskiego?

Zaprzeczyła stanowczo.

— Więc nie ty byłaś u niego?

— Nie. nigdy u nikogo nic byłam. Ty jesteś pierwszy. Zaśmiał się sardonicznie.

— Po co te kłamstwa?

— Mówię prawdę, przysięgam. Potrzebuję forsy na leki dla matki.

— Wszystkie tak mówią, to zdaje się należy do waszego repertuaru? Zresztą, mów co chcesz. Cieszę się, że tu jesteś. Nie wyglądasz na... przepraszam, zdaje się, że to też wasza specjalność, nie wyglądać. Jarzębski mówił, że obracacie się tylko w lepszych sferach... Tylko kto to wie, co to dzisiaj są te lepsze sfery... Usiądź tu bliżej — przyciągnął ją do siebie na kanapę. — Rozluźnij się,

widzę, że jesteś spięta. Proszę cię. napij się. to pomaga przełamać lody
— wypila drugą szklanę różowego koktajlu do dna i osunęła się na kanapę.
W głowie narastał szum, kanapa usuwała się spod niej. białe pantofle na
długich cienkich szpilkach spadły z łoskotem na podłogę.
— Najpierw forsa — wyszeptała niewyraźnie, przypominając sobie zalecenia
pani Marii... — Zabezpiecz się, nigdy nie wiadomo, kto ma hiva...
— Nie musisz mówić, wiem — rzucił dwa banknoty na stół.
— I przestań gadać! Lubię to robić w milczeniu. Rozumiesz? Dlatego płacę.
Gadulstwo kobiet działa na mnie przygnębiająco, weź sobie to do serca,
bardzo cię proszę, słuchaj i rób co każe...
Skinęła głową gotowa spełnić każde jego życzenie, ale on niczego nie żądał.
Nie chciał nawet, żeby się rozebrała, wsunął jej rękę za bjuzkę, szarpał mocno
i gniótł jej piersi, potem wysupłał je ze stanika, przywarł do nich ustami,
gryzł, jego zęby wbijały się w skórę, czuła ból i obrzydzenie i nie miała
odwagi zaprotestować, przecież zapłacił. Czekala, kiedy wedrze się w nią,
zmiażdży ją. zdepcze, stratuje i zajęczy w końcu triumfalnie z rozkoszy.
Chciała to mieć jak najszybciej za sobą, wziąć forszę, poprawić włosy i odejść.
Pozwoli jej chyba zadzwonić po taksówkę... I nagle on osłabł, zakwili!
cichutko jak dziecko i osunął się na podłogę. A ona przymknęła oczy. nie
chciała o niczym myśleć tylko spać, spać... Bolały ją piersi, głowa wymagała
podpórki, coś dziwnego działo się z całym ciałem, kręciło się jak na karuzeli,
spadało w dół, wzbijało się do góry, pływało w morzu, zwisało z gałęzi
ułożone niewygodnie w hamaku. Gałąź kołysała się, trzeszczała, urwała się, a
ona spadła z hukiem na ziemię.
Kiedy otworzyła oczy. on pochyłał się nad nią z jasną, pogodną twarzą, na
jego wąskich wargach spoczywał serdeczny uśmiech.
— Wstań! — powiedział miękkiem głosem, z którego wyłowiła lękliwą nutę
czułości. — Przygotowałem ci kawę. Z cukrem czy bez?
— Z cukrem.
Objął ją, pomagając wstać, zapiął jej stanik, pomógł włożyć bluzkę.
— Wezwałem taksówkę — powiedział. — Będzie za dwadzieścia minut —
przyniósł grzebień i przyczesał jej włosy. — Nie schowałaś

pieniędzy — ujął w palce dwa banknoty i podał jej, następnie przyniósł osłodzoną kawę w filiżance i postawił na stoliku.

— Jak się czujesz? — spytał uciekając spojrzeniem w bok. — Nie boli cię głowa?

— Nie.

— A to? Boli? — dotknął delikatnie jej piersi stojących pod bluzką w postawie na baczność.

Zaprzeczyła, chociaż czuła się jak po walce na ringu.

— Gdzie mieszkasz? — spytał nie przestając się uśmiechać.

— W Kalenicy.

— W Palenicy — powtórzył ze zgrozą. - I chcesz wracać do domu o tej godzinie?

- A co mam zrobić?

— Zostań ze mną do rana.

— Nie mogę. Mama pewnie już odchodzi od zmysłów. Nie mamy. niestety, telefonu...

— Zapłacę za taksówkę, ale musisz mi obiecać, że jeszcze do mnie przyjdiesz...

Niecierpliwy dzwonek telefonu przerwał Marii parzenie kawy, zostawiła włączony w kuchni ekspres i wybiegła do przedpokoju, potykając się o porozstawiane krzesła.

— Hallo! Słucham. Hallo — powtórzyła uprzejmie z wyrazem oczekiwania na twarzy — tak — wyszeptała cicho i zbladła. W jej oczach pojawiła się wściekłość. — Możesz próbować — syknęła gniewnie. — Nikt cię tu nie wpuści. Odczep się! Dobrze ci radzę — trzasnęła słuchawką i przetarła palcami mokre czoło. — Pieprz-nięty gnojek — powiedziała do siebie, szukając papierosów, znalazła je na stoliku w salonie, rozbieganymi palcami chwyciła zapalniczkę i prychając ze złości pomknęła do kuchni, wyszła stamtąd niebawem, niosąc na tacy dzbanek z kawą, filiżanki, cukier, śmietankę w proszku i domowe herbatniki, w pieczeniu których wyspecjalizowała się Kasia.

— Proszę — naląła mu kawy — słodzisz? — podsunęła secesyjną cukiernicę z wytłoczoną w srebrze piękną twarzą dziewczyny. Wszyscy zachwycali się nią, a Polkowski nie zwrócił na nią uwagi.

wziął ją do ręki, wyjął łyżeczkę, chciał osłodzić kawę, zreflektował się i z żalem odsunął cukier.

— Lekarz mi zabronił — wyjaśnił z zażenowaniem.

Maria przyjęła tę informację ze zrozumieniem. Już się opanowała, jej twarz odzyskała barwę dojrzałej moreli, z oczu zniknęła złość, na pełnych ustach pojawił się uprzejmy uśmiech.

— Byłeś więc ekscelencją — wróciła do przerwanej wątku.

— Tylko nie pamiętani, gdzie? W Irlandii czy w Islandii?

— W Indonezji.

— Gdzie to jest?

— Daleko. Mogłaś się podciągnąć z geografii do cholery. Mówiłem, żebyś poszła do szkoły,

— Owszem, mówiłeś — potwierdziła spokojnie — wiele rzeczy mówiłeś, lecz zamiast posłać mnie do szkoły, wydałeś za mąż za świra.

— Nie miałem wyjścia — przetarł wierzchem dłoni pomarszczone czoło. — Bóg mi świadkiem. Zrobiłem to z bólem serca, ale to twoja wina. Zawsze pytałem, czy można, a ty odpowiadałaś „no chyba”. Skąd mogłem wiedzieć, do cholery, że z ciebie takie ciele?

- podniósł głos. — Umiałaś tylko rozkładać nogi. Wystarczyło na ciebie spojrzeć, a miękłaś jak wosk, oczy zachodziły ci mgłą, Chryste Panie! — chwycił się nagle za głowę. — Co za diabeł w tobie siedział?

— Płaciłeś mi za to — stwierdziła obojętnie.

— Tak — potwierdził - lubiłem obdarowywać kobiety. Czułem srę wtedy ważniejszy, bardziej pewny siebie, natomiast ciebie było mi po prostu żal, Wyglądałaś jak jakaś bagienna roślinka, cienka, wiotka, przezroczysta i lepka... Człowiek chcąc nie chcąc musiał się do ciebie kleić. Miałaś takie dzikie płonące oczy z ogromnymi sińcami.

— Sińce miałam po każdym popołudniu spędzonym z tobą... Kurde! Ależ ty miałeś krzepę... Nie spotkałam już później nikogo, kto by się mógł z tobą równać... Byłeś nienasycony...

Polkowski uśmiechnął się z zadowoleniem. Podeszedł do okna i odsłonił je.

— Nie cierpię tego półmroku — wyjaśnił. — Chcę cię obejrzyć w pełnym świetle.

— Nie, nie — Maria przesiadła się na inny fotel. — Od kilku dni szczególnie się czuję, boli mnie głowa, źle sypiam.

— Wcale tego nie widać — stwierdził obejrzawszy ją w pełnym świetle. — Wyglądasz pierwsza klasa, ale jeżeli boli cię głowa

— zasłonił z powrotem okno, wrócił na miejsce i uśmiechnął się do niej.

— Musisz jednak przyznać, że rozwinęłaś się przy mnie?...

— Dużo by mi z tego przyszło, gdybym nie miała forsy — zakończyła z sarkazmem.

Polkowski nie dostrzegając ironii w jej słowach ciągnął swoją myśl:

— Zaczęłaś nawet czytać gazety...

— Tylko artykuły o tobie - uściśliła. — Prawdę mówiąc, nie było ich tak wiele, dziennikarze niezbyt cię lubili, za to twoja Robaczewska była wszędzie, udało jej się nawet wepchnąć do telewizji. Myślałby kto!

Największa żurnalistka od stworzenia świata, kurczę. Miała nawet swój program. Pamiętasz? Miłośniczka zwierząt i ptaków, kurde... Ostatnio widziałam ją w towarzystwie księży na Jasnej Górze, w Świętej Lipce i gdzieś tam jeszcze... Wyglądała jak stara zdzira... Nie obraż się. ale kurestwo jest jak oliwa, zawsze na wierzch wypływa...

— Nie bądź wulgarna, bardzo cię proszę — wziął ją za rękę, którą ona wyszarpnęła ze złością.

— Dlaczego nie? — roześmiała się dziko. — W moim lachu to nawet wskazane.

— A cóż to za fach? — zdziwił się szczerze.

— Nie udawaj! Dobrze wiesz — ofuknęła go ostro.

— Nie wiem, jak Boga kocham — uderzył się w piersi. — Nie widziałem cię tyle lat... Pojęcia nie miałem, gdzie mieszkasz...

— Nie wiedziałeś, bo nie chciałeś... teraz też nie musisz. Kto ci dał mój telefon?

— Jeden z ochroniarzy, który kiedyś kręcił się przy mnie.

— Ochroniarzy? Jaki ochroniarz? — powtórzyła zaniepokojona.

— Nie znam nikogo z tej branży. Nie wiesz, dla kogo on pracuje?

— Zawsze dla tych, co są u władzy.

— Ach tak? — walnęła pięścią w stół i wstała. — Cholera! Szlag by ich...

Znów depczą mi po piętach. Kto by pomyślał, no. Miało być inaczej, prawda?

Jest demokracja, czy nie? Pewnie założyli mi podsłuch, sukinsyny — rozejrzała się z rozterką po pokoju, podniosła

słuchawkę i wsłuchiwała się w monotonne brzęczenie. — Znasz się na tym? Posłuchaj! Powinno być takie cichutkie pik... pik... Polkowski roześmiał się ubawiony.

— Daj spokój! - skarcił ją łagodnie. — Przy tej nowej technice nie słysząc żadnego pik. pik...

— A nie wiesz, jak to sprawdzić?

— Nie.

— Maszchyba jakieś możliwości? — spytała z pretensją w głosie.

— Żadnych — odpowiedział stanowczo — jestem na emeryturze. Myślałem, że ty? — spojrzał na nią wyczekująco.

— Ja? Nie bądź śmieszny! — z trudem powstrzymywała złość.

— Ciągłe udajesz, że nie wiesz, kim jestem...

— Bywasz na różnych uroczystościach, zebraniach... — odpowiedział niepewnie.

— Bo daję forszę na chore dzieci.

— Naprawdę? — wykrzyknął zdumiony i kręcił głową, nie mogąc w to uwierzyć.

— Co cię tak dziwi? — prychnęła ze złością. — Daję, bo mam. Płacę podatki, daję łapówki... mam sklep w dobrym punkcie. Myślisz, że dostałam lokal na ładne oczy? Może kiedyś bym dostała, ale dziś? Dzisiaj nikt niczego nie daje za darmo. Takie czasy. Wszędzie trzeba płacić. Ten twój ochroniarz też pewnie na to liczy.

— On cię bardzo lubi.

— Ach tak? — skwitowała jego słowa szyderczym śmiechem.

— Wszyscy mnie lubią. Ty pewnie też?

— Nie. Ja cię nie lubię... ja cię kocham.

— Tak? — zasyczała nieprzyjemnie, jej twarz stężała z gniewu.

— Nie kłam! Nie ma takiej potrzeby — powiedziała już spokojniej.

— Może bliższy prawdy byłby czas przeszły...

— Daj spokój! — popatrzyła w bok pustymi oczami. — Dostyc nasłuchałam się kłamstw, dostyc sama ich nagadałam, ale teraz nie muszę, już nie muszę... A może ty chcesz — zwróciła się gwałtownie w jego stronę — żeby to ja tym razem zapłaciła za twoją miłość? Potrzebujesz forsy, co? Zapłacę, jeśli chcesz, chociaż nigdy tego nie robiłam, dotąd mnie płacono. I płacono by nadal, gdybym nie wycofała się z zawodu. Więc jak? Mam płacić? Ile sobie życzysz?

— Przestań drwić sobie ze mnie — skrzywił się z niesmakiem

— mam inną propozycję. Napijmy się! — zdecydowanym ruchem podniósł kieliszek — i porozmawiajmy...

— Jak starzy przyjaciele, którzy nigdy nie byli przyjaciółmi

— wzięła również kieliszek. — No bo czy w twoim świecie było do pomyślenia, żeby dyrektor, a potem wiceminister przyjaźnił się z panną goniec? W żadnym wypadku. Mógł co najwyżej przesypiać się z nią. To było do przyjęcia. Sypia się przecież z byle kim. Czy po to przyszedłeś? Chcesz się ze mną przespać?

Umknął przed jej zaborczym spojrzeniem i zaczął się wiercić w fotelu.

— Najpierw porozmawiajmy — wyciągnął niepewnie rękę.

— Więc jedna'u nie? — zmarszczyła z niezadowoleniem brwi,

— a przecież wyglądam lepiej niż Robaczewska. Popatrz na mnie

— wstała i zakreśliła się przed nim na jednej nodze — ani grama tłuszczu, zmarszczek też nie za wiele. Prowadzę higieniczny tryb życia, basen, aerobik, nie jem mięsa, nie nadużywam alkoholu... Przysłałbyś do mnie Robaczewską na wywiad... Niech umieści moje zdjęcie na okładce z podpisem: Nowa businesswoman... Zasłużyłam na to bardziej niż te piosenkareczki i prezenterki... Dzięki moim pieniądzom żyje pięcioro dzieci. Uratuję ich jeszcze więcej, jeżeli nie będą mi deptać po piętach. Da Bóg, a dojdę do setki... Widzisz, jak człowiek popatrzy na to z tej strony, dochodzi do wniosku, że jednak warto było dawać dupy...

— Znowu jesteś wulgarna — zauważył z niesmakiem.

— Nie bądź hipokrytą, lubiłeś przecież tę robotę a teraz zachowujesz się jak ksiądz proboszcz... No — klepnęła go w ramię.

— Teraz przynajmniej wiesz, kim jestem.

— Nie wiem — popatrzył na nią z rozterką. — Nic z tego, co mówisz, nie składa się do kupy.

— A czy w twoim życiu cokolwiek się składa? — roześmiała się dźwięcznie, nic sobie nie robiąc z jego srogiej miny.

— Lepiej nie mówić — machnął ręką i napił się koniaku.

— Chciałbym jednak wiedzieć, od kiedy uprawiasz ten proceder.

— Proceder! — roześmiała się ubawiona — ładne słowo, niech skonam.

Proceder — powtórzyła z przyjemnością. — Uprawiam go od zawsze, gdybyś mi nie płacił, nie wyrobiłby się we mnie ten odruch, jak mu tam?

— Warunkowy — odpowiedział Polkowski.
— Jak u psa Pawłowa — uzupełniła, nie przestając się śmiać.
— Idziesz z kimś do łóżka, jest ci przyjemnie i forsa leci. Nieźle pomyślane, co?
— Mówiłaś, że tylko ze mną...
— Ty byłeś numer jeden na liście... Inni też mnie lubili, wyobraź sobie.
— Kto był po mnie? Możesz powiedzieć?
— To żadna tajemnica. Wszyscy o tym wiedzieli.
— Pytam się. kto? — potrząsnęła ją za ramię. Twarz mu poczerwieniała, w oczach pojawiła się wściekłość.
— Twój zastępca, małpował cię we wszystkim...
— A po nim?
— Czy to takie ważne? Wszyscy na poziomie, z wyższym wykształceniem, doktorzy, docenci, profesorowie zwyczajni, nadzwyczajni — jednym słowem utytułowani faceci. Ty też masz tytuły, prawda?
— Wszystkie o dupę potłuc.
— I kto tu jest wulgarny? — popatrzyła na niego ze smutkiem.
— Przepraszam - pochylił się nad jej ręką i ucałował ją z wielką czułością...
— Nie sądziłem, nie myślałem, że to lak wyglądało, nie myślałem... Nikt mi nic nie mówił.
— Sądziłem, że wiesz.
— Ty też. milczałaś jak grób.
— Nie było się znowu czym chwalić.
— Mogłaś napisać. Pomógłbym ci. Miałem duże możliwości.
— Załatwiłaś mi mieszkanie, wydałaś za męża. Czy to mało? Daj spokój! Przecież wiedziałam, że nie rzucisz dla mnie Robaczewskiej. Wszystko OK. Jestem niezależna, rozkręciłam biznes, mam forszę...
— uśmiechnęła się z zadowoleniem. — Powiedz, ile potrzebujesz?
— spytała patrząc z niepokojem na drgającą w oknie aksamitną zasłonę. Taki sam aksamit spowijał trzy nowoczesne fotele pozbawione podpórek na ręce i wygodną kanapę z wysokim oparciem pod plecy.
— O nie, nie! — zamachał rękami. — Co ty sobie wyobrażasz, że straciłem resztki honoru? - twarz poczerwieniała mu z oburzenia, kropelki śliny leciały z ust. Przypominał drapieżnika, miotającego

się w klatce. Biegał po pokoju i krzyczał coraz głośniejsze.

— Przepraszam. Nie chciałam cię obrazić — Maria złożyła ręce jak do modlitwy. Gotowa była nawet uklęknąć, byle jej wybaczył.

— Jestem głupia, przecież wiesz. Myślałam, że potrzebujesz pomocy.

— Pomocy! Owszem, lecz nie wsparcia — pogroził palcem.

— Rozumiesz różnicę?

— Staram się. Nic krzycz! Usiądź i powiedz wreszcie, o co chodzi?

Posłuchał. Usiadł naprzeciwko niej i otarł chusteczką spocone czoło. Czuł ciężar w piersiach i lepka mgłę przed oczami, która zamazywała kształty przedmiotów, a także twarz Marii nie drażnioną przez czas, a mimo to odmienioną.

Dwadzieścia lat temu, kiedy jego wzrok otarł się o nią w sekretariacie na Krakowskim Przedmieściu, miała gładkie czoło nieskażone myśleniem, patrzyła ufnie przed siebie i uśmiechała się wdzięcznie. Pracowała już prawie miesiąc, kiedy wreszcie ją zauważył.

— Ty jesteś tą nową pomocą sekretarki? — zapytał unikając nie wiadomo dlaczego słowa goniec.

— Tak. panie dyrektorze — spuściła skromnie oczy i czując, jak policzki zachodzą jej czerwienią, usunęła się w cień.

— No i co? Podoba ci się u nas? — pytał oglądając ją jak eksponat z wystawy. Spostrzegł jej rumieniec, jasną cerę, duże kocie oczy, umykające przed światłem czy też przed jego palącym spojrzeniem, grube wargi rozchylone nieco, a w ich wycięciu równe białe zęby. Włosy w jasnych pasemkach miała ściągnięte gumką na czubku głowy, równo przyciętą grzywką zasłaniała wysokie czoło, jakby się go wstydząc. Była dość ładna, lecz przede wszystkim miała w sobie to coś. co przyciąga mężczyzn jak magnes. Zastanawiał się, co to było? Dziecięca naiwność, połączona ze zmysłowością dojrzałej kobiety? Czy coś innego? Ojej zmysłowości nic jeszcze nie wiedział, dostrzegł w niej przede wszystkim dziecko, pachniała nawet mlekiem i w jakiś dziwnie ponętny sposób oblizywała mięsiste wargi, przytykając do nich biały wskazujący palec z różowym paznokciem, W średniowieczu skazano by ją na spalenie na stosie. Szły od niej ogniste prądy. Jeden z nich na trwałe go poraził.

— Dziękuję. Wszyscy są tacy grzeczni, mili — odpowiedziała mrużąc w uśmiechu zielonkawe oczy.

— Tak? — zdziwił się. Nigdy nie myślał w tych kategoriach o swoich współpracownikach. Byli leniwi, niedokładni, niedbali, urywali się z pracy, wyklócali o premię, donosili, kłamali, prześcigali się w podlizywaniu. — Widocznie cię lubią. Jak masz na imię?

— Maria.

— Bardzo ładnie... Pani Jadziu! — zwrócił się do sekretarki,

- Ile Maria u nas dostaje?

Pani Jadzia wymieniła jakąś śmiesznie niską sumę.

— Tylko? — znowu się zdziwił. - Na co to ma wystarczyć? Na kawę i ciastka? A jaka jest górna granica?

— To właśnie jest górna granica na tym stanowisku — wyjaśniła z powagą pani Jadzia.

— W Jakim razie proszę zmienić jej stanowisko — polecił.

— Jak to? Panie dyrektorze? — Nie zrozumiała pani Jadzia.

— Jakie masz wykształcenie? — zwrócił się do Marii.

— Niespełna średnie — wyszeptała rumieniąc się od nowa.

— Świetnie — ucieszył się. — Możesz zostać księgową. Proszę przygotować wniosek do kadr, ja podpiszę... — polecił pani Jadzi.

— Acha! Pani również należy się awans i premia... Te dwa wnioski chciałbym mieć jeszcze dzisiaj na biurku — posłał życzliwy uśmiech pani Jadzi i wyszedł.

I tak będąc faktycznie gońcem. Maria awansowała na młodszą księgową i czasem, żeby jej nowa umowa, a co za tym idzie i pensja nie stały się fikcją, liczyła coś na maszynie, częściej jednak przepisywała przez kalkę raporty kasowe, arkusze inwentaryzacyjne i tak jak dotąd jeździła z pismami po mieście, chodziła na pocztę.

Któregoś dnia doszło wreszcie do tego, o czym wiedziała, że stać się musi... Było lato. Dzień duszny przed burzą. Ona miała na sobie dżinsową spódnicę i cienką bluzkę z hinduskiej bawełny, z półokrągłym dekoltem, który odsłaniał wszystko co trzeba. Nie mając nic do roboty snuła się po ministerialnych korytarzach i wyglądała przez okna.

Spotkała go na pierwszym piętrze, gdy biegł łącznikiem do drugiego skrzydła, spiesząc się na ważną naradę, przeglądał w biegu papiery. Mimo to zatrzymał się na jej widok, obejrzał ją sobie

i odszedł. Nagle zawrócił i ściszym głosem zapytał, jakie ma plany na dzisiejsze popołudnie.

Wzruszyła ramionami. Nie miała żadnych i lak mu odpowiedziała.

— Bądź o szesnastej w sali posiedzeń! — polecił szorstko i, nie czekając na jej odpowiedź, odwrócił się i odszedł.

Ucieszyła się, chociaż nie miała wątpliwości, o co mu chodzi. Bała się tylko jednego, że go rozczaruje.

Przed szesnastą, nie zauważona przez nikogo wśliznęła się do sali posiedzeń, usiadła przy długim stole przykrytym zielonym sukniem. Czekwała. Poprzez gęste firanki do sali wpadało letnie słońce, było ciepło i parno. Dostojne, ciemne krzesła z wysokimi oparciami rzucały długie cienie na dywan pokryty geometrycznymi wzorami. Pachniało papierosami i kawą. Siedziała na brzeжку krzesła i paliła, usiłując zapanować nad nerwami. Trudno jej było uwierzyć we własne szczęście, wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego ten ważny i przystojny dyrektor wybrał źle ubraną dziewczynę z prowincji, która nic miała nawet matury. Już wtedy, kiedy podwyższył jej pensję, wiedziała, że do tego dojdzie, potem jednak, gdy mijały tygodnie, a on nie zwracał na nią uwagi, ogarnęły ją wątpliwości, uznała, że ulitował się nad jej biedą.

Popłakała się ze złości i przestała na cokolwiek liczyć. Zgasła papierosa.

Zegar wskazywał pięć po czwartej, jego nie było, dziesięć po czwartej, piętnaście. Postanowiła poczekać jeszcze pięć minut wiedząc już, że zakpił sobie z niej. I nagle drgnęła kotara, drzwi wiodące do jego gabinetu uchylły się lekko, ukazała się w nich jego głowa, gęste, zmierzwiłone włosy w kolorze biurowych teczek, na jej widok twarz mu pojaśniała, przeszedł szybko wzdłuż stołu, minął ją i własnym kluczem zamknął drzwi, oddzielające ich od korytarza. Wstała, a on chwycił ją w ramiona bez żadnych wstępów, tulił, całował, uwalniał z bluzki, z obcisłej spódniczki, która opinała jej biodra, a w wycięciu z tyłu ukazywała nogi sięgające niemal do pachy, nosił ją nagą po olbrzymiej sali, całował namiętnie, zachwycał się każdym szczegółem jej ciała, wzruszały go jej białe niewyrośnięte piersi, płaski brzuch, szczupłe ramiona. Szeptał coś, czego nie rozumiała, drżał z podniecenia, w końcu wziął ją na podłogę, na białym obrusie, przygotowanym przez zapobiegliwą intendentkę na jakieś biurowe przyjęcie, obrus

pachniał krochmalem i domem. Nagle gorąca iskra przeszła jej ciało, zapiszczała cichutko przestraszona, a on z miną zwycięzcy zapytał, czy boli. — Nie, nie — skłamała szybko ze strachu, że on odejdzie i przylgnęła twarzą do jego piersi.

Nie mógł uwierzyć, że ona nigdy, z nikim... Żona miała przed nim kilku kochanków, inne dziewczyny też.

— Musisz mi ułatwić kontakt z Dębskim — powiedział cicho.

— Przeskrobałś coś? — spytała, zapalając papierosa.

— Nie ja. Mój syn jest w spółce „Bendon”. Słyszałaś o niej?

— No wiesz? Kto by się rozeznał w tych wszystkich spółkach. Nakradł się, co?

— Nie sędzę — zaprzeczył bez przekonania. — Chociaż co to można wiedzieć? W dzisiejszych czasach człowiek niczego nie jest pewien...

— Słuchaj! — głos mu drgnął. — Będziesz musiała poprosić Dębskiego, żeby zniszczył donos. Nic więcej... Donos, o ile wiem, jest anonimowy. Nie popełni więc żadnego przestępstwa... Widzisz, mój gówniarz opowiadał przy wódce jaką to forszę zrobi! na kałasznikowach, no i jeden z koleśków doniósł. Dębski się tego chwycił, chce się odegrać na mnie — odstawił kieliszek, tarł palcami skronie i ciężko wzdychał.

— Nie denerwuj się! — Maria z czułością dotknęła jego ręki. — Nie zostawię cię przecież w potrzebie... Przypuszczam, że Dębski mi nie odmówi, a gdyby nawet, to i na niego coś się znajdzie.

— Zwariowałaś? Chcesz go szantażować? — poruszył stołem i rozlał kawę.

— Przepraszam... Przepraszam — podniósł filiżankę nie wiedząc, co zrobić z kałużą powstałą na podstawku.

— Nic się nie stało — Maria podłożyła kilka papierowych serwetek pod filiżankę i dołała mu z dzbanka kawy — a dlaczegożby nie? — popatrzyła na niego lodowato. — Dlaczegoż to ja mam być ciągle lepsza od innych? Ani mi się śni... Słuchaj! — szeptnęła nagle. — Czy zanim tu przyszedłeś, wiedziałeś, że znam Dębskiego?

— Tak.

— Od tego ochroniarza?

— Zgadza się. od niego... Jesteś bardzo domyślna — stwierdził z uznaniem. Maria zbyła jego komplement machnięciem ręki.

— Może oni łązą za Dębskim, a o mnie dowiedzieli się przypadkowo? — zastanawiała się głośno.

— Bardzo możliwe — potwierdził Polkowski.

— Jak ten twój syn ma na imię? — sięgnęła po bloczek i długopis.

— Artur Robaczewski — odpowiedział, uciekając spojrzeniem w bok.

— Robaczewski? — wykrzyknęła z oburzeniem. — Nie nosi twojego nazwiska?

— A czy syn Bieruta nosi jego nazwisko albo syn Gomułki?

— zapyta! buńczucznie.

— Nie przesadzajmy - ofuknęła go ostro. — Nie jesteś ani Bierutem, ani Gomułką. Nie mordowałeś, nie zsyłałeś do łagrów, o ile wiem. nie pisałeś nawet donosów. A on wstydzi się ojca. kurde. **1** co taki gnojek sobie myśli? No. powiedz — wykrzykiwała, nie przestając się oburzać.

— Nie wiem. nie miałem na to wpływu. Sam tak zdecydował. Nasze prawo zezwala na to, żeby dziecko nosiło nazwisko matki.

— Zwłaszcza, gdy mu się to opłaca — zauważyła kąśliwie.

— Po co te złośliwości? Czy to przyjemnie kopać leżącego?

— jęknął żałośnie i wtulił się w fotel.

— Nigdy tego nie robiłam i nie robię... Dobrze o tym wiesz...

— Pogadasz z Dębskim? — zapytał z rozpaczą.

— Jasne... Słowo się rzekło...

— W razie czego, gdyby się upierał, powiedz, że to ja te kałasznikowy..., że może mnie oskarżyć, ja się przyznam...

Maria nic usłyszała jego ostatnich słów, złowieszczy dzwonek telefonu przyprawił ją o drżenie, zbladła, podeszła do stolika, lecz nie mogła się zdobyć na podniesienie słuchawki.

— To ten świr! Proszę cię, odbierz! — wyciągnęła do niego błagalnie rękę.

— Co mu powiedzieć? — Polkowski dźwignął się z trudem z fotela.

— Żeby się odczepił, bo jak nie... to mu... jaja obetniesz.

— Daj spokój — skrzywił się z niesmakiem. Zachowanie Marii

napawało go niepokojem. Przed chwilą demonstrowała nieznośną pewność siebie, jakby miała cały świat u swoich stóp. I nagle wystraszył ją całkiem niewinny dzwonek telefonu. Trzęsa się jak galareta, zagryzała nerwowo wargi i z trudem powstrzymywała łzy. Najgorsze było jednak to, że nie przebierała w słowach. Wulgarność kobiet działała na niego deprymująco. Podszedł jednak do telefonu i mocnym acz uprzejmym głosem zapylał:

— Hallo! Słucham. Jest tam kto? Hallo! Proszę mówić. Hallo!... To rzeczywiście jakiś świr — stwierdził, odkładając słuchawkę.

— Nie odezwał się.

— Wystraszyłeś go — ucieszyła się Maria, odzyskując swój nieco wyniosły ton — a jednak co mężczyzna to mężczyzna... kurde! Słuchaj! — ożywiła się.

— Musisz mi pomóc, potrzebuję goryla..

— Zwróć się-do ZOO...

— Przestań żartować, ja poważnie, sprawa też jest poważna

— mówiła z zaciętością, patrząc poprzez niego... — Chodzi nie tyle o goryla, co o byłego esbeka.

— Z tym nie będzie kłopotu, są ich tysiące. Przeważnie bez, pracy.

— Nie rozumiemy się! — huknęła groźnie. — To ma być nadzwyczajny esbek. laki, co wie sporo o ludziach, no i ma argumenty, prawdziwe argumenty, a nie tylko słowa. Ten ślinolok, który wylewa się zewsząd jak gnojówka, już nikogo nie bierze. Mają być konkrety, podpisy, zdjęcia, mikrofilmy, a nawet raporły czy sprawozdania.

— To drogo kosztuje.

— Wiem. ale muszę unieszkodliwić tego świra... od tygodnia zatruwa mi życie, boję się. przestałam wychodzić z domu, przy okazji chciałabym namierzyć Dębskiego. Jest taki pewny siebie, jakby się urodził dopiero wczoraj, kurde! Rozumiesz, co mam na myśli? Czyścioszck, świętoszek, jasny gwint. To się wielu ludziom nie podoba...

— Nie bierz się za politykę — pogroził jej palcem — ty się do tego nie nadajesz... jesteś...

— Już się wzięłam. Tylko nie krzycz, jest jak jest...

— Nie rozumiem? Jak to wzięłaś się?

- Zwyczajnie... Różni faceci na stanowiskach muszą się gdzieś spotykać z facetami z tzw. biznesu, a niekiedy nawet z półświatka, ale

bywa i tak. że nie chcą się z nimi spotykać, ale mają im co ważnego do powiedzenia... Nie chcą dzwonić, wysyłać faksów, pisać listów, bo to wszystko może być użyte przeciwko nim. przychodzą więc do mnie, płacą za wizytę, wymieniają poglądy, nikt ich nic podsłuchuje, nie fotografuje, bo trzeba ci wiedzieć, że byle kto nie ma do mnie wstępu, to jest agencja towarzyska dla wtajemniczonych. Moich gości obsługuję ja sama. nie sypiam z nimi. tylko umawiam ich. kontaktuję, a gdy nie mogą się spotkać, przekazuję to i owo komu trzeba... Robię to z przyjemnością, płacą mi hojnie za moje usługi...

— A więc jesteś ich skrzynką kontaktową? — Polkowski starał się panować nad twarzą, zdradzał go głos. Był zaniepokojony i przerażony.

— Można to i tak nazwać — stwierdziła obojętnie Maria.

— A nic boisz się. że oni... delikatnie mówiąc... no czy nie będą próbowali się ciebie pozbyć?... Możesz być niepożądanym świadkiem...

— Oczywiście, mogą mnie zabić w każdej chwili, z takim ryzykiem trzeba się liczyć, każdy biznes wiąże się z ryzykiem... Takie czasy...

— Skończ z tym, błagam! Ty się nie nadajesz do brudnej roboty... Jesteś na to za uczciwa, za dobra... Oni cię zgnoją. zobaczysz! Lepiej graj na giełdzie albo zainwestuj forszę w jakąś przetwórnę. Przemysł spożywczy to przyszłość tego kraju... Ustroje mogą się zmieniać, czemu nie. ale ludzie... ludzie nie przestaną jeść... chociaż, trzeba przyznać, że apetyty jakby im nieco zmalęły, zauważyłaś? Mniej jedzą mięsa, ale chcą więcej, ciągle chcą żreć... Co za podły naród!

— zaczął się śmiać. — Wiesz co? — zmienił ton na poważny,

— Powinnaś kupić sobie dom na wsi i żyć wreszcie jak człowiek, hodować lisy, kuny, psy rasowe, indyki, gołębie...

— Jak to olewam — prychnęła z pogardą. — Nie będę hodować królików, psów rasowych ani gołębi. Nie cierpię wsi. Wszystko mi tam śmierdzi, las. pola a najbardziej ludzie. Nie znoszę tych wszystkich kwitnących lip, płaczących wierzb, much. słowików i komarów. Kocham miasto! Rozumiesz? Czuję się tu jak ryba w wodzie, uwielbiam ruch na ulicach, samochody, a nade wszystko przyjęcia charytatywne i zebrania... Siedzę sobie w prezydium, patrzę na ludzi zgromadzonych na sali. uśmiecham się do nich. oni do

mnie, przemawiam, oni słuchają, kiwiają głowami, dziękują mi w pięknych słowach... Nie masz pojęcia, jaka to frajda. Czuję się, jakbym była na własnym weselu.

— Jesteś pieprznięta — rozzłościł się nagle i wstał.

— Czyja mówię, że nie? — potwierdziła ze śmiechem. — Ale nie martw się! Z Dębskim załatwię, co trzeba. Masz to jak w banku, a ty zadzwoń do tego esbeka i umów mnie z nim! — wstała chcąc go pożegnać.

— Co ci się tak spieszy? Chcesz się mnie pozbyć? Miło nam się rozmawia, a ja mam jeszcze jedną sprawę do ciebie.

— Niewyglupiaj się! Co ty myślisz, że ja prowadzę biuro pomocy dla byłych kochanków? Nie, laka dobra nie jestem. Kiedyś może byłam, ale się zbyłam. Zadzwoń do tego esbeka!

Polkowski westchnął z rezygnacją i widząc, że nic więcej nie wskóra, wydobyl z kieszeni notes, okulary, usiadł przy telefonie i sięgnął po słuchawkę.

— Chwileczkę! — powstrzymała go. — Co to za sprawa? Poskubał palcami brodę i ciężkie westchnienie wyrwało mu się z piersi.

— Co to? Zapomniałeś języka w gębie? — spytała ostro.

— Słyszałem, że jesteś w dobrych stosunkach z Kasińskim? — przymknął oczy i tarł palcami skronie.

— Czego od niego chcesz?

— Nie ja — przełknął nerwowo ślinę — chodzi o zamówienia rządowe dla firmy konsultingowej „Ekspertyza”.

— A co ty masz wspólnego z tą firmą? Przekwalifikowałeś się czy co?

— „Ekspertyzą” kieruje Robaczewska.

— Ach tak? Robaczewska? — zatrzęsła się z oburzenia. — I zachciało jej się zleceń rządowych? Gotowa dać łapówkę? Za to się idzie do pierdła. Czyżbyś nie wiedział? — uśmiechała się drwiąco, z jej oczu leciały skry. — A ona nie wie? Zna chyba prawo, skoro wzięła się za doradztwo, czy dalej załatwia wszystko przez znajomości?

— Mówisz tak, jakbyś nic miała nic na sumieniu. A przecież ciebie mogą w każdej chwili oskarżyć o czerpanie korzyści z nierządu, więc nie udawaj świętej i nie oburzaj się na Robaczewską. Łapówkarstwo stało się normą obyczajową, biorą urzędnicy, lekarze, radni.

posłowie i policjanci. Trudniej wymienić tych, co nic biorą. I nikt nie siedzi, a wiesz dlaczego? Bo wszyscy są winni, ty też.

— Co tam moje winy — wydeła pogardliwie wargi — małe piwo...

Zastanawiam się, dlaczego stajesz tak gorliwie w obronie Robaczewskiej.

— Źle mnie zrozumiałaś, wcale jej nie bronię. Nie mój cy rk, nie moje małpy.

Przekazuję ci tylko prośbę syna, który chce pomóc własnej matce.

— To niech jej załatwia. Ja nie chcę więcej o niej słyszeć. Zadzwoń do tego faceta i umów mnie z nim.

— Nie — krzyknął ze złością. Odmowa Marii ugodziła go w samo serce.

Poczuł się zdeptany, upokorzony. — Nie pomożesz Robaczewskiej, ja lobie też nie — wstał i ukłonił się sztywno.

— Świdnic! — plasnęła w dłonie — a tymczasem Dębski zapudłuje twojego dzidziusia, nawet specjalnie go o to poproszę.

— Jesteś wstrętna, zła, małostkowa i mściwa. Nie ma w tobie nic ludzkiego, żadnych uczuć, odrobiny czułości, niczego — wychrypiał czerwony z gniewu. Twarz Marii zszarzała, oczy przesłoniła jej mgła.

— Za to ty jesteś dobry, szlachetny, prawdomówny i szczery — mówiła cicho, zdawać by się mogło bez gniewu, lecz każde jej słowo zawierało kwintesencję szyderstwa i kpiny — wielkoduszny, bezinteresowny, uczciwy...

— Żałuję, że tu przyszedłem. Przepraszam — skłonił się z dystynkcją zawodowego dyplomaty.

— Nikt cię nie zapraszał, nikt na ciebie nic czekał, nikt za tobą nie tęsknił.

Gdyby nie telewizja i nie te cholerne gazety, które ja czytam jak głupia, nie pomyślałabym nawet o tobie, nie obchodziłoby mnie. czy jeszcze żyjesz, czy też wączasz kwiatki od spodu...

— Moja noga więcej tu nie postanie... — rzucił zmierzając do przedpokoju.

— Zapłacę się z tego powodu na śmierć — odpowiedziała zanosząc się śmiechem.

— Wiedźma! — krzyknął wyjmując z kieszeni ciemne okulary.

— Polityczny bankrut! Degenerat. Oszust, kłamca! Po co ja się zgodziłam na to spotkanie? Po jaką cholere? Nie jesteś mi potrzebny. Nie widziałam cię tyle lat i co? Umarłam? Nie. Żyję jak widzisz.

dobrze mi się wiedzie. A ty nagle dzwonisz, a ja już, proszę bardzo, przyjeżdżaj mówię, natychmiast! Po co? Po jaką cholere? — wołała, gdy on już umknął na schody i nie mógł jej słyszeć. Zamknęła za nim drzwi nie przestając wykrzykiwać. — Nie ma nic gorszego niż stara sentymentalna kurwa. Wszystko to o dupę potłuc! - machnęła ręką i niespodziewanie dla samej siebie wybuchnęła płaczem. Nerwy nie wytrzymały długotrwałego napięcia, strachu i niepewności. Puściły z hukiem. Boże! Boże! Tyle oczekiwała po tym spotkaniu, cieszyła się z tej wizyty, żyła nią od dwóch dni i masz ci los. Nie posądzała go o taką niegodziwość. Chustkę, którą wytarła twarz, można było wyzymać, taka była mokra, a Izy leciały z jej oczu nieprzerwanym strumieniem.

Punktualnie o godzinie szesnastej Weronika strzelistym łukiem pokonała przestrzeń dzielącą ją od wejścia do stolika przy oknie. Wyjęła z teczki przesiąknięty uczniowskim mozołem, solidnie podniszczony podręcznik do angielskiego oraz czyściutki zeszyt solidnej uczennicy, którą przez wiele lat była, położyła wraz z długopisem na stół. Lidka spostrzegła ją od razu, podała błyskawicznie dwom nastolatkom lody i nie zwracając uwagi na niecierpliwe gesty podchmielonego piwosza przybiegła do niej, postawiła szklankę z coca-colą i pochylając się nad nią zaczęła strzelać słowami: — Nic czekaj na niego! On nie przyjdzie — mówiła jakby nadawała telegram — Uciekł stąd w popłochu... prawdopodobnie...

Głowa Weroniki osunęła się na stół. ręce rozleciały się po bokach potracając szklankę z coca-colą. która spadła na podłogę i roztrzaskała się z hukiem.

— Co ty wyprawiasz? — Lidka szarpiąc ją za ramiona usiłowała posadzić na krześle, lecz Weronika wysliznęła się jej z rąk i spadła na podłogę.

Nadbiegła pomoc w postaci miejscowego play boya, który przed chwilą wszedł do kawiarni, i podchmielonego piwosza. Obaj wynieśli ją na powietrze, a Lidka z krzesłem pospieszyła za nimi. Piwosz chciał robić sztuczne oddychanie, ale jakoś nieumiejętnie się do lego zbierał tak, że zdążyła przybiec bufetowa ze szklanką zimnej wody, którą

chlusnęła na Weronikę. Wiał również pospieszył na ratunek i dmuchał na nią ożywczym chłodem.

Weronika otworzyła oczy i zamknęła je szybko. Ciemność miała cudowny smak, zapowiadała nadejście śmierci. Jej słodkie uściski czuła na całym ciele, które jakby straciło swój właściwy ciężar, było jak płatek róży szybujący w przestworzach, niezwykle lekkie i poddające się z litością powietrznym prądom. Leżała chwilę z zamkniętymi oczami, łudząc się, że śmierć znowu obejmie ją i przytuli. Niestety, zamiast niej Lidka płaską dłonią klepała ją w policzki, jej cienki głos zmieszany z basem bufetowej przypominał buczenie owadów, chciała wyrwać się z jego zasięgu, uciec w jakieś bezpieczne miejsce, ale nie miała siły się dźwignąć, czyjeś ręce posadziły ją na krześle w cieniu starego wiązu.

Ludzie przechodzący obok przystawali, pytali co się stało, a dowiedziawszy się, że zemdląca, kiwali współczująco głowami, niektórzy skrywali nieudolnie dwuznaczne uśmiechy:

— To ta co z Michałem. Ładna była z nich para. Podobno wyjechał...

Wypiła kawę i koniak, pozwoliła wytrzeć sobie twarz, uczesać włosy, wreszcie spróbowała wstać i trzymając się ściany wróciła do stolika przy oknie. Schowała do teczki podręcznik do angielskiego i zeszyt, starannie wygładziła rogi, żeby się nie pogięły, zapłaciła za colę, wyściskała Lidkę i już nieco pewniej podeszła do drzwi.

— Odprowadzę cię — złapała ją za rękę Lidka.

Weronika nie zaprotestowała, wyszły razem. Na rynku było jasno i Weronice zakręciło się w głowie od nadmiaru światła.

Słońce przechadzało się po ścianach odnowionych niedawno renesansowych kamieniczek, pośrodku na skwerze, obsypane białymi paciorkami akacje wydzielają mydlane zapachy, zapowiadając nadejście wakacji. Weronika nie myślała o wakacjach, miała ważniejsze sprawy na głowie, z rynku od razu skręciła energicznie w prawo.

— Co chcesz zrobić? — przeraziła się Lidka ciągnąc ją do tyłu. Aby dotrzeć do domu Weroniki, należało skręcić w lewo. natomiast na prawo biegła ulica Wąska, która przy końcu łączyła się z willową zabudową ulicy Wierzbowej, a na Wierzbowej pod numerem dziewiętnastym mieszkał Michał wraz z rodzicami. — Jego nie ma, mówiłam ci przecież...

— Muszę zadzwonić — wyszeptała cicho.

Lidka skinęła głową. Odprowadziła ją na pocztę, usiadła na ławce przed kabiną i czekała.

Weronika wygrzebała z kieszeni żeton, wrzuciła do automatu, myliła się, nie mogąc wykręcić numeru, zeszywniale palce wysuwały się z otworów, w których umieszczone były cyfry. Bojąc się, że upadnie oparła się o ścianę, jeszcze raz spróbowała wykręcić numer. Tym razem skutecznie. Dzwonek po tamtej stronie zadźwięczał żalobnie i smętnie.

— Hallo! — usłyszała niecierpliwy głos jego matki.

— Dzień dobry pani - z krtanią sklejoną butaprenem poprosiła do telefonu Michała.

— Nie ma go — odpowiedziała jego matka głosem beznamiętnym i suchym.

— Wyjechał za granicę.

— Za granicę? — powtórzyła jak echo. — Nic mi o tym nie mówił. Kiedy wróci?

— Za kilka miesięcy, może nawet za rok. To zależy jak mu się ułoży — stała się nagle rozmowna, chociaż nie wiedziała z kim mówi.

— Nie zostawił dla mnie listu? — Weronika wcisnęła się w ścianę i tarła palcami skronie. — Mam na imię Weronika, chodziliśmy ze sobą.

— I ak? — zdziwienie w głosie tamtej starszej i doświadczonej kobiety było bez wątpienia udane. — Nic mi o tym nie mówił.

— Jest pani pewna, że nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości? To niemożliwe!

— Wiedziałabym, gdyby coś zostawił. Mój syn — ostatnie słowo zostało wypowiedziane rozciągnięte i miękkie — nie ma przede mną żadnych tajemnic...

— Powiedział pani, że jestem w ciąży? — Weronika zeszywniała. To słowo było trudniejsze do wypowiedzenia niż wyrecytowanie z pamięci dwustronicowego tekstu w obcym języku.

— To już twój problem — powiedziała lodowato tamta.

— Mój? — powtórzyła z niedowierzaniem.

Ziemia pod nią za kołysała się znowu, kabina telefoniczna zachwiała się, lecz po chwili wróciła na miejsce. Weronika dławiała się powietrzem, nie była w stanie wciągnąć go do płuc.

— Boże! — szepnęła, powietrze zdołało przedrzeć się przez

zaciśnięta, krtań. Gdy wyszła z kabiny. Lidka podsunęła jej krzesło i otuliła ją swoim ramieniem.

— Miałaś rację — powiedziała Weronika siląc się na spokój, ale jej oczy były dzikie i złe. — Wyjechał za granicę, wróci za rok... Wyjechał — powtórzyła, jakby w to nie wierząc.

Wychodząc z poczty już nie trzymała się ściany, szła prosto z oczami powleczonego szkliwem. Nikogo nie widziała. Lidka wzięła ją za ramię i poprowadziła w kierunku domu. co było zbyteczne. Weronika miała dość siły. żeby iść sama.

Dziwne, ale nie uroniła ani jednej łzy. nie myślała także o samobójstwie, przerażała ją tylko bezdusność otoczenia, obojętność domów, drzew, słońca i ludzi. Źle się czuła w tym dobrze znanym jej świecie. Wszystko tu było odpychające i nieprzyjemne, zamazane kolory, zatarte linie, jaskrawe wszechobecne światło zadawało jej ból. najgorsze, że w niczym nie mogła dopatrzeć się sensu, jej istnienie było go również pozbawione.

W domu Lidka zdjęła jej z nóg pantofle, rozpięła bluzkę ułożyła ją na tapczanie, przykryła kocem.

— Teraz byłoby dobrze wziąć jakąś pigułę — orzekła ze znawstwem. — Masz coś?

— Nie, nic nie trzeba — Weronika przymknęła oczy. Po co jej piguły? Była przecież martwa. Co z tego, że oddychała miarowo i słyszała, jak Lidka szura krzesłem, jak zapala papierosa, otwiera i zamyka okno? Weronika nic miała duszy, a więc nie żyła.

Wkrótce po wyjściu Lidki zjawiała się babcia.

— Co tak leżysz? — spytała z wyrzutem — naczynia nic pozmywane, pranie nie rozwieszzone?...

Weronika nie odpowiedziała. Oczy powleczone szkliwem miała otwarte, ale nic nie widziała.

— Co się z tobą dzieje? Jesteś chora? — zdenerwowała się babcia. — Nie umiesz mówić, czy co? — potrząsnęła ją za ramię, uniosła głowę. —

Wyglądasz, jakby cię moczono w chlorku przez całą dobę. Co się stało? — szorstkimi palcami dotknęła jej czoła. — Nie masz gorączki! — zmierzyła jej puls, natarła skronie ziołową maścią, a potem trzymając swoje dłonie na jej ramionach modliła się żarliwie. Doprowadziła w końcu do tego, że twarz Weroniki zabarwiła się lekkim różem, źrenice zaczęły się poruszać.

— Nu jak? Lepiej? Weronika skinęła głową.

- Babciu! Babciu! — przywarła ustami do chłodnej szorstkiej ręki. — Czy ty wiesz, że ja jestem...

- Cicho! — przestraszyła się babcia. — Nic nie mów! Wiem wszystko, całe miasto o tym mówi... Masz, napij się! — podała jej kieliszek gorzkiej nalewki na ziołach... — wyśpisz się, a jutro... jutro

— zawiesiła głos. Nie chciała; żeby te słowa zabrzmiały okrutnie

— jutro wyjedziesz stąd...

— Tak. masz rację, wyjadę — zaszleściła ustami i zaczęła płakać. Gorące łzy żłobiły ciemne rowki na jej twarzy, spływały słonymi kroplami na szyję. Babcia ścierała je przybrudzoną chusteczką, poruszała przy tym bezwiednie ustami odmawiając Zdrowaśki.

Modlitwy nie robiły na Weronice wrażenia. Bóg był bezlitosny, nieczuły na ludzkie błagania. Pomagał na ogół tym, którzy i bez Niego radzili sobie doskonale, a ją skazywał na męki.

Płacz wyszarpywał z niej resztki sił, zasnęła skrajnie wyczerpana, a rano tego nie czuła. Obudziła się wypoczęta, chociaż niezdolna jeszcze do działania.

Leżała wtulona w poduszkę i starała się już nieco chłodniej przeanalizować wszystko od nowa. Wyjazd z miasta mógł poczekać dzień lub dwa. w jej sytuacji nie miało to większego znaczenia. Zdaniem lekarza był jeszcze czas na podjęcie decyzji, tylko dlaczego musiała sama zmagać się z tą straszną sprawą? Michał zawinił w tym samym stopniu co ona, a teraz uciekł haniebnie bez jednego słowa. Michał! Kiedyś lubiła wymawiać głośno to imię, a teraz ono zaczynało pokrywać się piaskiem, zgrzytało w ustach i miało niedobry zapach...

Nie mogła pozbyć się uczucia zawodu i żalu. a przecież on jej nie uwiódł, nie zgwałcił, oddała mu się z własnej, nieprzymuszonej woli i była bezgranicznie szczęśliwa, poza tą krótką chwilą, kiedy przeraziła się krwi. Była szczęśliwa. To jednak jest coś, co zostaje... Dzięki Michałowi odkryła tajemniczy świat zmysłów i przez wiele miesięcy żyła wraz z nim w zaczarowanej krainie, czy też w innym wymiarze. Codzienna szarość, błotnista zima, małomiasteczkowa nuda. brud i pijaństwo przestały jakby istnieć, zniknęły, oni przestali je po prostu dostrzegać. Widzieli tylko siebie. Ich spojrzenia stapiały się w jedno olbrzymie lustro, które ukazywało im świat pełen

pięknych, wspaniałych ludzi, dobrych uczynków, cudownej muzyki, wielkich wzruszeń i jeszcze większych nadziei,...

Nikogo nie krzywdziła, a teraz za chwilę szczęścia musiała płacić wysoką cenę. Nie mogła tego zrozumieć, a tym bardziej pogodzić się z tym. Nie zaniebrywała nawet codziennych obowiązków, odrabiała lekcje, chodziła przykładnie do szkoły, pisała wypracowania, rozwiązywała zadania. Nikt na nią nie narzekał, ona też do nikogo nie miała pretensji. Godziny spędzone w szkole były prologiem do tętniących radością i coraz dłuższych, cieplejszych popołudni. Świat miał wiele zapachów, i jeszcze więcej nieznanymi i nie nazwanymi barwami. o których milczały opasłe podręczniki sztuki malarskiej. Teraz to wszystko gdzieś się zapodziało, zniknęło, zamazały się kolory, powietrze stało się ciężkie, lepkie, trudno było nim oddychać.

Babcia z torbą przewieszoną przez ramię, w rozchłapanych pantoflach i przyciasnym stalowoszarym mundurze listonosza szykowała się w obchód. Przed wyjściem wsunęła do Weroniki pomiętą twarz. Była niewyspana i zła. — Jedziesz dzisiaj czy jutro? — spytała gniewnie.

— Nie wiem — Weronika z trudem dźwignęła się z pościeli. Czy był sens jechać gdziekolwiek, kiedy straciło się duszę? Ciało bez niej było jak wór kamieni, zupełnie bezużyteczny.

— A kto ma wiedzieć? Ja? Nigdy mnie o nic nie pytałaś, to teraz masz.

— Może jutro... Muszę się przygotować — Weronika wtuliła głowę w poduszkę. W pościeli było miękko, przyjemnie, zapragnęła znowu zanurzyć się w sen.

— Dobrze — zgodziła się łaskawie babcia, wysuwając górną wargę do przodu, co oznaczało, że była w nie najlepszym nastroju. Jej zły humor wyrażał się również w trzaskaniu drzwiami, najpierw z jadowitym piskiem zamknęła drzwi od pokoju, po nich nastąpiło szuranie taboretami i przesuwanie na wieszaku starych kurtek i płaszczy, drzwi wejściowe podparte jej silnym ramieniem nie chciały przylgnąć do futryny. Babcia mocowała się z nimi przez chwilę, aż wreszcie rozległo się głuchoe stuknięcie, dom zadygotał z niezadowolaniem, drzwi wróciły na miejsce, szczęknię! klucz obracający się w zamku. Weronika została sama, mogła spać dalej, marzyć, wspominać. Nie, nie mogła... Niech to szlag... Teraz będzie uciekać

od wspomnień, będzie je wypluwać z siebie i niszczyć, dopóki nie wyjałowi ich czas.

Wyskoczyła z łóżka, wzięła prysznic, umyła włosy, następnie ubrała się w białe spodnie i w biały podkoszulek z niebieskimi wypustkami, na nogi włożyła białe, tenisówki. Włosy splotła w warkocz tuż nad prawym uchem. Po przespanej nocy wróciły na twarz rumieńce. Wyglądała świeżo i bardzo ładnie. To dodało jej pewności siebie.

Zgodnie z zaleceniami babci zamknęła starannie okno. następnie drzwi wejściowe i w ciągu kilkunastu minut dotarła do rynku, minęła obojętnie „Stokrotkę” i skręciła w prawo, na pocztę tym razem nie wstąpiła, przeleciała szybko przez ulicę Wąską i znalazła się na Wierzbowej. Dom, oznaczony numerem dziewiętnaście, znajdował się przy końcu ulicy, otaczał go metalowy parkan i starannie strzyżony żywopłot. Uchylona furtka odsłaniała niewielki ogródek, z klombem pełnym róż. Ogromny krzak jaśminu przekwilał, przypominając o umieraniu. Weronika spojrzała w rozpaloną twarz słońca i pożałowała swojej decyzji. Wszystko tu tchnęło spokojem, dostatkiem i harmonią, podczas gdy ona... Z narastającą złością pchnęła furtkę, po czym szybkim krokiem weszła po schodkach na podest, stamtąd zadzwoniła i nie czekając na zaproszenie nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Z głębi domu odezwał się zaniepokojony głos:

— Kto tam?

- Ja do pani Wiłejskiej.

— Słucham? — z kuchni wynurzyła się średniego wzrostu kobieta, o pospolitej kwadratowej twarzy. Karbowane włosy w kolorze zjełczałego masła, pozwijane w luźne loczki, sterczały dumnie nad jej niskim czołem. Spod obcisłej bluzki wychylały się wojowniczo piersi, ciemne oczy. gotowe do ataku, osadziły Weronikę w miejscu, nie zdołały jednak osłabić jej gniewu.

— Pani jest matką Michała? — spytała bez lęku.

— O co chodzi?

— Pytam, czy pani jest matką Michała? - powtórzyła tym samym władcym tonem. — To ja wczoraj dzwoniłam... — Znała ją z widzenia i nic miała wątpliwości, z kim rozmawia, lecz chciała usłyszeć potwierdzenie tego faktu z jej ust.

— Tak. a co?...

— Niech pani nic udaje, że o niczym nie wie. Proszę mu tylko przekazać, że nie ucieknie przed przeznaczeniem. Będę go ścigać, będzie musiał płacić alimenty, będzie musiał dać dziecku nazwisko

— wyrzucała słowa jak jakiś balast, błogosławiąc w duchu rubryki porad w pismach kobiecych. Czytała je od lal i z nich czerpała wiedzę o życiu.

— Nic mu nie zrobisz — jego matka nadeła się jak balon i wygrażała ręką. — Niczego mu nie udowodnisz! Ja na to nie pozwolę. To mój jedyny syn... chcę, żeby się uczył, żeby coś w życiu osiągnął...

— Moja matka też ma coś w tej sprawie do powiedzenia

— oświadczyła Weronika nie kryjąc dumy. Słowo matka dodawało jej siły. Co prawda dawno nie pisała, ważne jednak, że można się było na nią powołać, a to znaczyło więcej niż forsa, której potrzebowała na lekarza. Mówiła o alimentach i o nazwisku, a tak naprawdę nie miała zamiaru urodzić tego dziecka.

— Twoja matka — roześmiała się niedoszła teściowa, którą Weronika do wczoraj jeszcze lubiła i podziwiała. Obserwowała ją nieraz w kościele, jak pod ciężkimi kapeluszami skrywała rozmodloną twarz. Ubierała się w nienaganne, klasyczne kostiumy, garsonki i płaszcze z najlepszych materiałów, ale nie nadążające za modą. Teraz na tle ciemnej boazerii i lśniących drewnianych schodów, bez makijażu, z odsłoniętą głową nie wyglądała tak dostojnie, jak w kościele, a gniew i ironia zniweczyły zapamiętany przez Weronikę wyraz uduchowienia. W obszernym mieszczańskim holu stała przed nią prostaczka, nie umiejąca zapanować nad sobą.

— Twoja matka — powtórzyła prychnąwszy śliną — jest... jest zwykłą... — nie dokończyła. W twarzy Weroniki dostrzegła coś, co ją powstrzymało przed wypowiedzeniem tego słowa - jest zwykłym śmieciem — poprawiła się i spuściła oczy, chyba zrobiło jej się przykro po tym, co chciała powiedzieć, i — co złagodniejszy nieco

— zdołała wykrzyczeć.

— Moja mama jest wspinałym człowiekiem. I nie pani ją sądzić. Pani nie jest godna zawiązać rzemyka u jej stóp! — Cholera! Coś jej się pomieszało. Ugryzła się w język i zanim zrobiła w tym zwrot, skłoniła się i powiedziała:

— Do widzenia pani. Przepraszam za najście — dygnęła i lekka jak ptak pomknęła do furtki.

Dochodziła dwunasta w nocy, a Polkowski nie pomyślał nawet o spaniu. Wędrował z pokoju do pokoju nie bardzo wiedząc, co z sobą zrobić. Mieszkanie było za duże jak na jego potrzeby, trzy pokoje ze słoźbówką. olbrzymia kuchnia, salon z wnęką na jadalnię, loggia, spiżarnia zamieniona na garderobę. Wszędzie antyki, w jadalni duży stół z marmurowym blatem, krzesła bogato rzeźbione z wysokimi oparciami, dosyć niewygodne, oszklony kredens, rozłożysta kanapa z obiciem w drobne, stylizowane kwiatki, takie same fotele, też niezbyt wygodne, za to cholernie drogie, świadectwo nie najgorszego gustu jego drugiej żony. Telewizor stał w sypialni, czyli, jak mawiał, w najbardziej nieprzylulnym miejscu na ziemi. Znajdowało się tam ogromne mahoniowe łóże, przykryte staroświecką narzutą w tureckie wzory, naprzeciwko którego stała szafa z wielkim tremern. Siedząc w fotelu przed telewizorem musiał nieustannie oglądać swoją szarą twarz i upodabiające się do niej siwiejące włosy, które przy żywej, opalonej cerze mogłyby być nawet intrygujące, lecz przy jego zmęczonym wyglądzie dodawały mu jedynie lat. Usiadł wygodnie i usiłował obejrzeć coś w telewizji, ale nic go nie było w stanie zainteresować ani opera, ani tym bardziej rock, ani biografia sławnej amerykańskiej aktorki, czy też gadające głowy, które zazwyczaj oglądał z zaciekawieniem, wsłuchując się w nie milknący na chwilę potok słow. Dziś i one go nie zajmowały. Nie mógł usiedzieć na miejscu, klął, mówił do siebie, wykrzykiwał: ..kretynka, idiotka, co taka sobie wyobraża". W końcu lekceważąc zalecenia lekarza zapali! papierosa i otworzy! okno. Na dobrą sprawę nie miał nawet z kim porozmawiać, nie miał też nikogo, kto by chciał wysłuchiwać jego rozterek i żalów. Druga żona opuściła go na dobre przed dwoma laty, uzyskawszy przed tym niezbitą pewność- że jego kariera skończyła się bezpowrotnie. Znalazła sobie biznesmena, z którym produkuje filmy reklamowe i zgarnia miliony. Czasem, powodowana odruchami serca zamawia u niego głupiutkie hasła oraz wierszyki z częstochowskimi rymami albo daje mu teksty niemieckie do tłumaczenia, reklamujące jakieś

wyroby. W weekendy zaprasza go do swojej letniej rezydencji, położonej na skraju lasu w pobliżu Zalewu Zegrzyńskiego. Tą rezydencją jest szare dwupiętrowe domisko, z dwiema łazienkami, tarasami, altankami oraz z basenem, schowane za murem, szczelnie ukryte przed okiem grzybiarzy, którzy jesienią zjeżdżają tam tłumnie w soboty i w niedziele. Polkowski też tam jeździ prawie w każdy weekend i chyba nadużywa gościnności pani Kasprzak, bo tak się teraz nazywa jego była żona. Prawdę mówiąc, tylko on, żeby jej dokuczyć, tak o niej mówił, bo ona nadal występowała jako pani Jondzillo. Ceniła sobie rodowe nazwisko i kiedy nieco więcej wypija lubiła opowiadać, że jej przodkowie w pogańskich czasach na Litwie byli znacznie ważniejsi niż niejaki Jagiełło, którego Polacy wzięli sobie za króla. Na trzeźwo nie posuwała się aż tak daleko. Wystarczał jej tytuł hrabiowski, o którym jakoś wcześniej nie pamiętała.

Polkowski przyjmował wszystko za dobrą monetę, był jej w dzieciny, że go nie odstawiła na boczny tor. Jak uczyniło to wielu jego dawnych wypróbowanych przyjaciół, nie nastawiała też syna wrogo do ojca. Nie miała nic przeciwko temu, żeby się z nim widywał. Chłopiec co prawda żył swoim życiem — przeszłość ojca niewiele go obchodziła — kręcił amatorskie filmiki o przyrodzie, a potem godzinami oglądał je na video i cieszył się, kiedy podczas tych seansów ojciec siedział obok.

Mąż jego byłej żony. Jarosław Kasprzak, mężczyzna czterdziestoletni, pozbawiony wdzięku i kompleksów traktował go jak wrak luksusowego samochodu, z którego powykręcano najważniejsze części. Tak mu właśnie powiedział: Pan jesteś jak luksusowy samochód, który utknął w miejscu i nie pojedzie.

Porównanie z samochodem wydało się Polkowskiemu głupie i nie na miejscu. Uśmiechnął się jednak i skinął aprobująco głową. Czego można się spodziewać po człowieku, który handlował samochodami i znał się na nich jak mało kto. Samochód ogranicza pole widzenia i zdolność percepcji. Sam dopiero niedawno dokonał banalnego odkrycia, że świat widziany z okna samochodu jest nieprawdziwy i przez to lepszy, piękniejszy.

Prawdę powiedziawszy. Polkowski poza weekendami nie miał dokąd jeździć. Z Robaczewską nie utrzymywał żadnych kontaktów, starszy syn, zajęty swoimi sprawami, nie zapraszał go do siebie. Jego

żona odnosiła się do niego wręcz wrogo. Jako przedstawicielka młodej generacji, solidnie wykształcona w starym reżimie, zajmowała dosyć wysokie stanowisko w administracji państwowej, pisała artykuły o tolerancji i o prawach człowieka, natomiast z usposobienia była mściwa, nieprzejednana i żądna krwi. Gdyby jej dać władzę, wszystkich takich jak on skazałaby na karę śmierci przez powieszenie, a w najlepszym razie posiała za kratki.

Syn bał się przy niej usta otworzyć, zgadzał się z nią we wszystkim, a jeszcze jakby tego było mało, atakował ojca z niedopuszczalną nawet jak na młodego człowieka zapalczywością i agresją, oskarżając go o zbrodnie, których nawet we śnie popełnić nie był w stanie.

Synowa w takich momentach przybierała groźną i nieprzejednaną postawę komisarza z czasów Rewolucji Październikowej. Słuszność była zawsze po jej stronie. Z wyglądu przypominała szefa czek i stów — nieodżałowanej pamięci Feliksa Edmundowicza — miała czarne wijące się włosy, wysokie zawsze wilgotne czoło, pociągłą, bladą twarz z ostrym nosem i wąskie, skrzywione usta, z których słowa nasączone jadem wylatywały z trzaskiem jak salwy z karabinu maszynowego. Patrząc na nią Polkowski nie mógł zrozumieć, dlaczego syn wybrał ją sobie za żonę. Był przystojnym chłopcem o swoistym poczuciu humoru, ujmującym sposobie bycia i miał duże powodzenie u kobiet. W swoim czasie przyprawiał do domu plutony dziewcząt, były wśród nich sportsmenki, pianistki, śmieszne wesołe aktorki i malarki, a on ożenił się z katem skrzyżowanym z księgową.

Zapalił kolejnego papierosa i napił się wódki... Myśl o synowej uświadomiła mu dobrodziejstwa płynące z jego obecnego stanu. Był sam, nareszcie sam, nie musiał znosić cudzych humorów, od nikogo nie zależał, nikogo nie potrzebował, z nikim nie musiał się liczyć, o nikogo zabiegać. Troszczyć się też nie miał o kogo, był niezależny, wolny i samodzielny, a jednak nie czuł się szczęśliwy... Był po prostu starym zgorzkniałym człowiekiem, nikomu niepotrzebnym. Wizyta u Marii do reszty popsowała mu humor, Była jak kąpiel w lodowatej wodzie. Nie mógł się po niej otrząsnąć i wrócić do równowagi. Niepotrzebnie zerwał jedną z wielu zasłon, oddzielających go od przeszłości. Może byłoby lepiej, gdyby pokrył ją pył? Teraz, podniecony alkoholem, chcąc nie chcąc wyteżał pamięć, żeby ją przywo-

łać, wyławiał z niej zapomniane twarze, z których większość bawiła się z nim w chowanego, umykała z pola widzenia, tracąc wyrazistość i kształt. Twarz Marii była tego najlepszym dowodem. Czas nałożył na nią swą pieczęć. Jej duże zmęniałe oczy zmalowały i pokryły się szronem. Kiedyś były nieśmiałe, wierne i czule na każdy gest czy drgnienie powiek. A dziś stały się harde, zimne, ironicznie-pogardliwe i nieprzystępne. Patrzyły wyniosłe i tylko chwilami, gdy fala wspomnień przenosiła się w tamte odległe rejony pojawiały się w nich nikłe światełka wzruszenia.

Nie czuł się najlepiej w roli petenta u panny goniec, zamienionej nagle w szefową ekskluzywnego domu schadzek. Czy los zawsze będzie mu płatał takie figle? Ochroniarz powinien był go uprzedzić. Dlaczego tego nie zrobił.' Czyżby sądził, że wie?

Wszyscy wiedzieli, tylko on jeden jak zdradzony mąż, niczego nie podejrzewał,

Kiedy wyjeżdżał na placówkę, Maria była stateczną mężatką zajęta dzieckiem i domem, przynajmniej takie odnosił wrażenie. Nie pisał do niej, nie chcąc komplikować jej życia. A zresztą, o czym miał pisać? Że ją kocha? Nie wierzyła, kiedy jej o tym mówił, papier by jej nie przekonał. Miłość wymaga ofiar, a jego zdolność do poświęceń zatrzymała się w punkcie zerowym. Powiedziała mu to przed laty. Oczywiście nie tak. innymi słowy, ale sens jej prostego wyводу był właśnie taki.

Zegar na zamku uderzył dwa razy. Ciepłe powietrze wraz z pomrukami nocy wchodziło niespiesznie do pokoju. Polkowski czuł, że już nie zaśnie. Zaroilo się nagle od wspomnień. Nie chciał myśleć o Marii, jej niechęć do

RobaczewAiej po tylu latach była nie tyle denerwująca, co śmieszna. Sam nie wie, dlaczego upiera! się. żeby pomagać byłej żonie. Nic go z nią nie łączyło, nawet ten syn, tak niegdyś kochany i bliski wzbudzał w nim tylko złość i jedynie jakieś atawistyczne poczucie obowiązku kazało mu prosić Marię o interwencję w jego sprawie u Dębskiego. Dziwne, doprawdy, dawniej też przyczyną ich kłótni i nieporozumień była Robaczewska. To właśnie z jej powodu nie spędził z Marią żadnego weekendu, czy jednej chociażby nocy, nigdy nie zabrał jej na kolację ani do kina. Zawsze stała między nimi Robaczewska, z nią jadał kolacje, bywał w teatrze i na koncertach, z nią chodził na przyjęcia i wyjeżdżał za miasto.

Natomiast Maria siedziała mu w trzewiach. 'o niej śnił leżąc obok Robaczewskiej i do niej; tęsknił przez długie sobotnie popołudnia i jeszcze dłuższe niedziele. Dzięki niej pokochał biuro, a nawet oschłą, sztywną panią Jadzię, ponieważ naprzeciw niej, często przy jej biurku siedziała Maria i swoim pięknym okrągłym pismem adresowała koperty lub wpisywała przychodzące pisma do dziennika korespondencji. W szczupłych palcach o krótkich paznokciach, pomalowanych na różowo, mocnym uchwytem trzymała długopis i wysuniętym językiem pomagała sobie w pracy. Cierpiał męki. gdy wychodziła z listami na pocztę, a gdy musiała jechać z jakimś głupim papierkiem na drugi koniec miasta, wpadał po prostu w popłoch. Lubił ją mieć pod ręką, tuż za drzwiami, wcale nie musiał z nią rozmawiać, czy na nią patrzeć, wystarczała mu świadomość, że ona tkwi przytroczona do swego miejsca i że on może w- każdej chwili uchylić drzwi, by napotkać jej łagodne spojrzenie i złowić ślad uśmiechu na pełnych wargach, których wtedy nie kalała szminką. Dlatego posłał ją na kurs maszynopisania, zapłacił za nią i cieszył się, gdy zdała egzamin z bardzo dobrym wynikiem. Znowu otrzymała awans, pozostając nadal w tym samym pokoju. Dostała niziutkie biurczko. maszynę do pisania „Reinmenthal” i trzaskała w nią z prawdziwym zapalem nowicjuszki. radując się z każdej błahej nawet pochwały. Była naiwna, łatwowierna, szczerą, a przy tym jakaś cicha, potulna i grzeczna. Robił wszystko, aby ich romans pozostał w tajemnicy. Nie pokazywał się z nią nigdy na mieście, w biurze też na oczach innych prawie z nią nie rozmawiał. Wstępu do sali posiedzeń, połączonej z jego gabinetem, strzegł olbrzymi klucz przekreślony dwukrotnie w zamku, od podwórza oddzielały ich gęste firanki i zasłony. Nigdy razem nie opuszczali gmachu, do którego prowadziły trzy wejścia. Zazwyczaj ona wychodziła pierwsza. Przez wąską szparę w drzwiach wyfruwała niepostrzeżenie jak motyl i natychmiast ginęła w mrocznych korytarzach, po kilkunastu minutach Polkowski opuszczał bez przeszkód swój gabinet, wychodził innym wyjściem niż ona i zmierzał prosto do swojego samochodu. Wrodzona niechęć Marii do zwierzeń nie pozwalała jej odsłonić przed ludźmi swoich intymnych spraw, a jednak wiele osób wiedziało lub domyślało się.

Miłość jest jak trąd, nie sposób jej ukryć. Ich gorące spojrzenia,

nie wypowiedziane słowa, dyskretne uśmiechy, a nawet milczenie miały zdolność przenikania murów... Kiedy Polkowski przechodził przez sekretariat, co wynikało z naturalnego biegu spraw i zdarzało się kilka razy dziennie, nie było siły, która by mogła zmusić Marię do przykładowego stukania w klawisze. Na dźwięk jego kroków mimo woli odwracała głowę w jej zmętniałych oczach koloru zielonego groszku zapalały się gwiazdy, różowe paznokcie zamierały na klawiszach, a blade policzki fosforyzowały niczym znaki drogowe. Natomiast jego kroki gubiły rytm, stawały jak przed wyrastającą nagle przeszkodą, przekraczały ją z trudem i oddalały się, jakby czymś nagle spłoszone. Oczy jednak chwytają idące od niej światło i zatrzymują je długo pod powiekami.

Ustawicznie odczuwał jej brak. tęsknił za nią mając ją tuż za ścianą. Wychodząc z pracy, starał się o niej nie myśleć, zanurzał się w rutynowych czynnościach, takich jak teatr, kino czy brydż, a tak naprawdę to żył oczekiwaniem. Spychał ją na margines, a ona jak na złość, zajmowała coraz więcej miejsca w jego życiu.

I wtedy okazało się, że jest w ciąży... Tego było za wiele, nawet jak na jego wytrzymałość. Skrzyczał ją, zwymyślał od debilek i po raz pierwszy przestał dbać o to, czy go ktoś usłyszy, czy nie. Siny ze złości biegał wokół stołu powleczonego zielonym sukniem i głosem ochrypłym ze zdenerwowania powtarzał: „sądziłem, że uważałaś, wiedziałaś co robisz, jesteś dorosła”.

Uśmiechnęła się jakoś dziwnie, pokręciła głową i z poczuciem winy wyznała, że nie. jeszcze nie jest, do pełnoletności brakuje jej sześciu miesięcy.

— Chryste Panie! — chwycił się za głowę i usiadł z dala od niej, otarł zroszone potem czoło, dziwiąc się, że jest zimne. Zrobiło mu się wstyd. Miał już swoje lata — dopiero co obchodził czterdzieste urodziny — syna niewiele młodszego od niej, stanowisko, układy i co ważniejsze — widoki na przyszłość. A ona chciała mu to zepsuć swoją głupotą i brakiem odpowiedzialności.

- Usuniesz — powiedział już spokojnie i cicho. — Dam ci pieniądze, powiem do kogo się zgłosić.

— Nie — tak samo cicho lecz bardzo stanowczo odpowiedziała Maria.

- Jak to nie? - zapytał wstając i chciał ją uderzyć w twarz. Nie

cofnęła wzroku, nadal patrzyła na niego pokornie, lecz twardym głosem, tak do niej nie przystającym, powtórzyła „nie”.

— Co ty sobie wyobrażasz, że się z tobą ożenię? — znów zaczął krzyżeć. Tym razem był to krzyk rozpaczny.

Wzruszyła ramionami. Jej wyobraźnia nie sięgała aż tak daleko. Oczy patrzyły z ufnością i spokojem. Wiedział, że nic nie wskóra.. Upór istot bezbronnych jest nie do pokonania.

— Co chcesz zrobić? Gdzie będziesz mieszkać? Jak twoja kuzynka dowie się, co w trawie piszczy, wyrzuci cię na bruk. Ja nic zarabiam aż tyle, żeby utrzymywać dwa domy. To chyba wiesz?

Nie odpowiedziała. W tych sprawach zdała się całkowicie na niego. Nie protestowała, kiedy oświadczył, że wyda ją za mąż. Nie zapytała nawet za kogo. nie interesowały jej kulisy tej sprawy. Chyba nie wiedziała, że Mietek, wieloletni kierowca Polkowskiego, w zamian za mieszkanie i talon na samochód golów był się ożenić nawet z diabłem. Oświadczył się jej z całą pompą, słowem nie wspominając o mieszkaniu, a tym bardziej o talonie... Po skromnym ślubie, w którym Polkowski nie mógł czy też raczej nie chciał uczestniczyć, młody małżonek, dzięki poparciu szefa, otrzymał koncesję na taksówkę i zwolnił się z pracy. Był szczęśliwy, że pracuje wreszcie na swoim. Chłop już taki jest. Musi wiedzieć, co do niego należy. Maria po dawnemu stuknęła na maszynie, a po pracy czekała na niego w sali posiedzeń. Dla niej nic się właściwie nie zmieniło, jemu natomiast zawalił się cały świat. Wstydział się napadów zazdrości i nie był w stanie ich opanować, potrząsał nią i krzychał: Ty dziwko! Jak możesz ze mną i z nim? Jak ci nie wstyd? — Żądał od niej wyznań, przyrzeczeń, ślubów wierności, całkowitego posłuszeństwa, odda nia.

Maria robiła, co kazał, mówiła, że go kocha i jest mu wierna, ten mąż jest czystą abstrakcją, nie liczy się, nie istnieje, jego po prostu nie ma. Wiele różnych rzeczy mówiła, w które on nie wierzył. Usłużna wyobraźnia podsuwała mu pikantne sceny z jej małżeńskiej sypialni, nie było przed nimi ucieczki. Stracił apetyt, źle sypiał, jego niepoohamowane ataki wściekłości zaczęły niepokoić zwierzchników.

W tym czasie rozwodził się z Robaczewską. To był powód jego załamania, wybuchów agresji i złości. Rozumieli go wszyscy zarówno podwładni jak i szefowie, usprawiedliwiali go, tłumaczyli, radzili

zioła, hipnozę, sport, wyjazd, psa i cholera wie co. Śmiał się z tych rad. ale nie wyprowadzał ich z błędu. O Robaczewskiej nie myślał wcale. Rozwód nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Przyczyną jego wszystkich bied była Maria, a właściwie jej mąż, kierowca z mazowieckiej wsi. którego namówił na małżeństwo z nią. obdarował hojnie za wyrażenie zgody, w łaściwie zapłacił, żeby ją stracić, a siebie wystawił na pośmiewisko.

Człowiek sam stwarza sobie piekło na ziemi. On właśnie to zrobił. Jego piekło miało na imię zazdrość. Ukradkowe spotkania z Marią nie przynosiły ulgi. rozdrażniały go jeszcze bardziej, napawały obrzydzeniem. Nienawidził siebie i jej.

Uratowała go choroba Marii, właściwie nie tyle choroba, co jakieś powikłania ciążowe. Lekarz kazał jej leżeć. Powiedziała mu to przez telefon, skarżyła się na zmęczenie, miała zawroty głowy, a on zamiast jej współczuć, ucieszył się. Wierzył, że przynajmniej teraz pozostanie mu wierną.

Śmieszne, doprawdy, dziś nawet jemu trudno w to uwierzyć, ale po raz drugi ożenił się na polecenie władz. Nie, żeby zaraz wybierali mu żonę. do tego nikt się nie posunął, oni po prostu radzili po przyjacielsku, sugerowali i wskazywali na mogące wystąpić trudności, gdyby chciał wyjechać na placówkę, bo jeżeli nie. to nie, a on chciał wyjechać i oni wiedzieli o tym. W wyjeździe upatrywał ratunek dla siebie.

Grażynę Jondzillo poznał na jakimś wernisażu. Przypominała dmuchawiec. Wysoka, szczupła, pozbawiona biustu i bioder z włosami sterczącymi do góry i na boki niczym szpilki wetknięte w podusze-czkę. o przezroczyściej twarzy i dużych, białych oczach. Miała w sobie coś chorobliwego, podobnie jak Maria. To zdecydowało. Zaprosił ją na kolację. Po dwóch miesiącach wzięli ślub. Wyjeżdżając, nie pożegnał się z Marią, a przecież wiedział, gdzie mieszka, mógł do niej wpaść na chwilę, powiedzieć do widzenia, spojrzeć jeszcze raz w jej zmętniałe oczy, a jednak nie zrobił tego. Gdyby mieszkała sama. nie wahałby się ani przez chwilę, a tak odstraszał go ten prosty chłopak, którego zmęczyły dojazdy do pracy. On był teraz panem u siebie, a ważny pan minister mógł mu co najwyżej nagwizdać.

Tak więc wyjechał bez pożegnania. A kiedy po dwóch latach

zawitał na kilka dni do kraju, zastał ją w swoim dawnym sekretariacie, przyklejoną do maszyny do pisania. Poznała jego kroki, uniosła głowę i tysiąc gwiazd zalśniło w jej oczach, na ustach zamarł radosny okrzyk. Jemu wzruszenie tamowało oddech, patrzył na nią jak na boginię i nie mógł znaleźć właściwych słów powitania, po prostu stał, uśmiechał się z poczuciem winy jak uczeń, który nie odrobił lekcji.

— Pan minister! jego dawna sekretarka poderwała się z radosnym okrzykiem zza biurka. Maria za jej przykładem uczyniła to samo. Po przywitaniu się z panią Jadzią podszedł wreszcie do niej. Obejmując ją, czuł jak drży. Pocałował ją po ojcowsku w czoło, zapylał o zdrowie, wręczył jej dyskretnie liścik i obiecując wpaść za kilka dni, wyszedł.

W liściku podał adres i prosił, żeby przyjechała o osiemnastej. Koniecznie — podkreślił dwa razy. a o swojej tęsknocie i miłości nie wspom niał.

Maria zjawiała się punktualnie o osiemnastej, ubrana w białą spódniczkę i biały sweterek z krótkim rękawem. Niesforne włosy o perłowym odcieniu splotła w gruby warkocz i opuściła go na prawe ramię. Lubił, kiedy go rozplatała, czuł wzrastające podniecenie i przyznawał rację żydowskim mędrcom, którzy twierdzili, że włosy są wymysłem szatana.

— Tęskniłem za tobą — ujął w dłonie jej twarz ledwie muśniętą słońcem. Po raz pierwszy zauważył kilka drobnutkich plamek na czole i na policzkach. — O! Masz piegi! — zawołał uradowany i pocałował ją w czoło.

— Mam. I co z tego? — zmarszczyła gniewnie brwi i przytknęła palec do ust. Przez te dwa lula jeszcze zeszczupiała. Z palcem w buzi wyglądała jak mała, obrażona dziewczynka.

— Nic. Ładnie wyglądasz. Potrząsnęła głową, jakby w to nie wierząc.

— Robaczewska została w starym mieszkaniu? — spytała przyglądając się nieufnie nowoczesnym obrazom, którymi obwieszono były ściany w dwóch niewielkich pokojach.

— Tak — mruknął. — Nie chcę o niej mówić. Chodź! — wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Pierwszy raz kochał się z nią w łóżku, zasypiał przy niej, budził się zdziwiony, że ona nie uleciała wraz ze

snem. Zapomniał zapytać czy można, chciał od razu pokonać wszystkie przeszkody, zdobyć ją od nowa. przywłaszczyć i zatrzymać tylko dla siebie. Przez tę jedną jedyną noc nie myślał o swojej karierze, zaczynał nawet żałować wielu rozsądnych decyzji i postanowił je zmienić.

Rano Maria ubrana w jego górę od letniej piżamy nadal nieufnie odnosiła się do abstrakcyjnych obrazów, krążyła zamyślona po mieszkaniu i oglądała kolorowe plamy. koła. balony oraz prostokąty i kwadraty, niektóre przypominały boiska pokryte trawą, inne pnie drzew, większość jednak nie przypominała niczego i z niczym się nie kojarzyła.

— Czyje to obrazy? — oderwała wreszcie od nich wzrok.

— Podobają ci się? — spytał zaskoczony.

— Tak. ładne. Ten mi się podoba. I ten — pokazała palcem — są wesołe.

— Moja żona jest malarką.

— Ach tak? — stwierdziła obojętnie, przysunęła się do ściany i oglądała błękitne kwadraty. — Myślę, że nie zarabia na nich — powiedziała, nie odwracając się od ściany.

— Zgadłaś — potwierdził ze śmiechem. — Nie zarabia. Ludzie nie lubią takich obrazów, wolą kwiaty, drzewa. Chcą, żeby obraz coś przedstawiał, najlepiej łabędzie — roześmiał się.

— Tak. moja matka też lubi łabędzie — potwierdziła w zadumie.

— A ty? — spytał zaciekawiony.

— Ja? Ja się nie liczę.

— Dlaczego?

— Bo nie — odparła ze złością.

— Odpowiedz dlaczego?

— Bo nie mam pieniędzy i nie kupuję obrazów.

— Kupowałabyś, gdybyś miała?

— Jasne.

— No to masz — rzucił w nią studolarowym banknotem.

— Mam kupić któryś z tych obrazów? — patrzyła na niego zdezorientowana.

— Och! Nie! Jeszcze nic jest ze mną tak źle, żebym cię namawiał do kupowania obrazów mojej żony, sam nie przepadam za nimi, ale też nie mogę powiedzieć, żeby mi przeszkadzały, niektóre są jak

plakaty do powieszenia na słupie. Chodź! — wziął ją za rękę i prowadził do łóżka. Maria zeszywniała i zaczęła się wyrwać,
— Proszę mnie puścić, to holi — krzyknęła grubym głosem i wyrwała rękę.
— Co jest do cholery? — jej s owa ścięły go z. nóg, usiadł na łóżku i drapał się w czoło. Reakcja Marii była lak samo nieoczekiwana, jak burza śnieżna w końcu lipca w Warszawie. — Zrobiłem ci jakąś krzywdę? Powiedz coś wreszcie!
— Muszę iść. spóźnię się do pracy.
— Dam ci na taksówkę.
— Nie - potrząsnęła zdecydowanie głową.
— Co nie? — znowu pociągnął ją za rękę, napięła się jak struna i odskoczyła.
— Ja nie chcę, nie chcę — popiskiwała gniewnie. Jej zmętniałe oczy były jak wzburzone morze.
— Nic chcesz się ze mną kochać? Ty dziwko? Ty niewdzięcznico! Ty! Ty! — nie chciał być wulgarny, nie chciał sloczyć się do jej poziomu. — Ja tu pędzę do ciebie z drugiego końca świata, a ly mi śmiesz mówić nie? Dlaczego? Przestałem ci się podobać? Masz innego?
Potrząsnęła głową.
— Czujesz do mnie wstręt?
— Nie.
— O co więc chodzi? O forszę? Tak? Proszę bardzo. Bierz! Wszystko, co mam — wyrzucił z. portfela złotówki, dolary, ruble i marki. — Bierz! A może chcesz te obrazy? Proszę bardzo. Zabieraj wszystkie. Są twoje.
— Tak — powiedziała. — Chcę obrazy. Wszystkie. — Morze w jej oczach zastygło ścięte lodem. Patrzyła wyczekująco.
— Proszę bardzo, są twoje. Bierz! — zatoczył ręką szerokie koło.
— Wszystkie? — spytała drżąc z podniecenia.
— Wszystkie — potwierdził zdecydowanie.
Nie uwierzyła, dopóki nie zaczął zdejmować obrazów ze ścian, wtedy rzuciła mu się do pomocy. Razem ogołacali ściany w sypialni, potem w salonie. Robili to w jakimś zapamiętaniu, w gorączce, na wyścigi, kto pierwszy, kto więcej. Maria z zaciętością, ponuro, zaciskała mięsiste wargi. Kiedy sięgnęła po ostatni obraz, Polkowski

wyrwał go jej z rąk i odstawił pod ścianę, złapał ją w pól, przewrócił na podłogę i tak jak dawniej wdarł się w nią brutalnie, nieomal z furją. Pisnęła cichutko, tak jak za pierwszym razem i poddała się jego rytmowi, całując go i obejmując, lecz w chwili gdy on z okrzykiem triumfu osunął się, jej twarz pozostała martwa, w oczach nie zapłonęła żadna iskierka, nie mówiąc o gwiazdach.

Wieczorem wydzwonił taksówkę bagażową i Maria z pomocą kierowcy wyniosła wszystkie obrazy. Wyszła z drwiącym uśmiechem na pełnych wargach, lecz chyba niezbyt szczęśliwa.

Nie widział jej od tamtej pory. Zlekceważyła go i nie przyszła na umówione spotkanie, a następnego dnia w ogóle zniknęła.

Mieszkanie, które otrzymała dzięki jego staraniom, zastał zamknięte.

Sąsiadka poinformowała go usłużnie, że pani Maria wyjechała z dzieckiem na wczasy. O taksówkarza nie odważył się spytać, wolał wyobrazić sobie, że on został w domu i od rana do nocy wozi pasażerów⁷ po Warszawie, których z pewnością kantuje, nie wydając im reszty. Doszły go słuchy, że len ciemniak z podstawowym wykształceniem dorobił się na taksówce i stawia dom w Międzyzlesiu.

W nocy wyłamał zamki i upozorował włamanie do mieszkania, złożył nawet odpowiedni meldunek w MO. a jego żona, gdy się o tym dowiedziała, popłakała się nawet ze szczęścia. Nareszcie ktoś docenił jej kunszt malarski. Musiał to być wyrafinowany koneser i znawca, a do tego pasjonat. Nikt inny nie zadałby sobie tyle trudu po to, żeby obcować z prawdziwą sztuką. Gdyby Maria wiedziała, jaką frajdę sprawi pani Jondziłło, nie tknęłaby nigdy tych obrazów.

Do leż pory nie wie. o co wtedy poszło, czym ją obraził? Dlaczego nagle jednym nieodpowiedzialnym pociągnięciem przerwała łączące ich w ięzi? Nigdy nie sądził, że do tego dojdzie, traktował ją niemal jak swoją własność i w skrytości ducha uważał, że tylko on ma do niej prawo. Może chodziło jej o syna? Nie zapytał o niego, nie był nawet ciekaw jak ma na imię i do kogo jest podobny, czy już mówi i w ogóle jak się rozwija. Chłopiec nazywał się Gawroński, miał ojca taksówkarza, matkę z domu Jędraszek. Polkowski nie chciał o nim nic wiedzieć, nie należał przecież do niego, nic go z nim nie łączyło, był czystą abstrakcją, wzorem matematycznym lub bliżej nieokreśloną figurą geometryczną, po prostu nie istniał. Gdyby się nim zaintereso-

wal i chociaż raz wymówił jego imię. przywołałby go z niebytu, a na to nie miał ochoty.

Kiedy po czterech latach powrócił z placówki dyplomatycznej do kraju, nie zastał Marii na jej dawnym miejscu w sekretariacie. Zwolniła się z pracy na własne żądanie. Nikt nie wiedział, gdzie pracuje ani co robi. W jej dwupokojowym mieszkaniu na Stegnach mieszkali jacyś obcy ludzie, którzy nie chcieli czy też nie mogli udzielić mu żadnej informacji na jej temat, zresztą on nie nalegał, przestraszył się komplikacji, dopiero co został mianowany ministrem i musiał uważać na każdy swój krok. Miał teraz nową, przystojną sekretarkę, dobrze wychowaną, starannie ubraną, władającą biegle angielskim. Traktował ją niezwykle uprzejmie, dbał o jej zarobki, załatwił jej nawet talon na samochód, ale nie widział w niej kobiety. Maszynistka była okrągłutka, czarna, z oczami jak węgle, którymi strzelała na prawo i lewo. śmiała się srebrzyście i głośno, ale jego ten śmiech nie nęcił, raczej drażnił i raził, brzmiał pretensjonalnie i trochę wulgarnie.

Przez pierwsze lata był chyba szczęśliwy z Grażyną Jondziłło. Lubił jej przyjaciół, wernisaże, dyskusje, spotkania w pracowniach malarskich, pełne mistycznych oparów, na których odbywały się seanse telepatyczne, mówiono dużo o parapsychologii, czasem bawiono się w przepowiednie.

Raz jedna z przyjaciółek jego żony, kobieta sporo od niej starsza, z oczami jak dwie krople rtęci, o twarzy przypominającej kształtem żołędzia, wzięła jego rękę i długo oglądała ją w światło stojącej lampy przez grube niebieskawe szkła okularów.

— Przeżyje pan wielkie trzęsienie ziemi — powiedziała puszczając rękę. — Wyjdzie pan z tego cały, proszę się nie denerwować...

Chciał zaprzeczyć, wcale się nie denerwował. Jego pragmatyzm odrzucał wszelkie prorocтва, przepowiednie, wróżby i rozmowy z duchami. Liczył się fakty i zjawiska realne, które można było zmierzyć, zważyć, w każdym razie zobaczyć, ale wzrok tej kobiety przeszywający na wskroś, powstrzymał go od wypowiedzenia czegokolwiek. Słuchał uważnie, a ona szeleszczącym głosem ciągnęła dalej: Jednak dużo pan straci, wyjdzie pan z tego okaleczony, raczej w sensie psychicznym... potem nieoczekiwanie odzyska pan rodzinę, by wreszcie w podeszłym wieku zawinąć do szczęśliwej przystani.

— W podeszłym wieku raczej wszyscy lam zawiniemy — nie mógł się powstrzymać od gorzkiej ironii.

— Źle pan to sobie tłumaczy, nie miałam na myśli śmierci, nie... Przyjdzie panu z pomocą Maria Magdalena... Niech pan zapamięta: Maria Magdalena...

— Maria... — powtórzył zaskoczony. Pomyślał rzecz jasna o niej, mignęła mu przed oczami jej krucha, wątpa sylwetka, blada twarz z mięsistymi wargami,

— Magdalena — dodała kobieta-żołądz. — Niech pan pamięta: Maria Magdalena — powtórzyła pokazując w uśmiechu szerniałe zęby. Paliła namiętnie ekslra mocne.

Przełożony Rafała — porucznik Stasiuk — znany był z niewybrednych powiedzonek i zaskakujących decyzji. Nie wyglądał na policjanta, wzrostem przewyższał zaledwie o kilka centymetrów Napoleona, za to pod względem tuszy był lepszy od niego o kilkanaście kilogramów. Twarz miał okrągłą i płaską, zdeformowaną nieco przez wiecznie uśmiechnięte usta, jego niewielkie oczy w kształcie guziczków także się śmiały, przy nich jasna łysina nad czołem zdawała się również uśmiechać. Od kilku dni porucznika niepokoił wygląd Rafała oraz jego nerwowość — przejawiająca się w roztargnieniu, nagłym zapadaniu się w sobie i w infantylnym oblizywaniu warg i obgryzaniu paznokci. Chłopiec wyglądał na niewyspanego, miał podpuchnięte, przekrwione oczy, bladą cerę. Ogólna niedbałość w jego wyglądzie również wydała się porucznikowi podejrzana. Postanowił niezwłocznie wyjaśnić, w czym rzecz.

— Rafał! Co ci jest? — spytał, przyglądając mu się uważnie i przywołując na pomoc własne życiowe doświadczenia. Dzięki nim dokonał ważnego odkrycia. — Zakochałeś się chłopie, co? — pokiwał ze zrozumieniem głową.

Wzrok Rafała wędrował po nierównościach ugrowej ściany, od której słowa przełożonego odbijały się jak piłki. Milczał speszony, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jego milczenie porucznik przyjął za potwierdzenie.

- To bardzo dobrze — ucieszył się. — Nie ma się czego wstydzic — uśmiechem pełnym dobroci zachęcał do zwierzeń. Rafał jednak

nadal unikał jego oczu. wyboista, przekurzona ściana przedstawiała dla niego ciekawszy obiekt niż szeroka jak wjazd do garażu i pozbawiona tajemnic twarz porucznika.

- Co się gapisz na tę ścianę? Do cholery! — podniósł głos.

— Rozmawiam z tobą czy nie?

— Słucham, panie poruczniku! — wyprężył się służbowo Rafał i na moment jego wzrok spoczął na ustach porucznika.

— Nie zgrywaj mi się tu na prawiczka, bo ja tego nie znoszę. Mężczyzna musi być czasem, zwróć na to uwagę — czasem, a więc mężczyzna musi być czasem trochę świnia, trochę capem, a trochę wołem. Od czasu do czasu musi się napić, walnąć pięścią w stół, bluznąć słowem i popierdolić. A ty co, chcesz mi tu robić za panienkę? Panienki też nie są święte. — Cho! Cho! — oblizał się smakowicie.

— Panienki są teraz jak trzeba, a ta twoja to co? Zdradza cię, czy nie chce ci dać?

— Och! Panie poruczniku! — oburzył się Rafał. — Nie o to chodzi.

— O to, o to!... Znam życie chłopaczku. Znam życie... Jak człowiek pracuje w gównie, to chcąc nie chcąc musi nawąchać się smrodu. Ciebie to leż nie minie... A jak ci się mieszka u tej rozwódki?

— Dziękuję, dobrze — dotknął ręką czoła, które go paliło nieznośnie. Serdeczność porucznika i jego ojcowska niemal troskliwość sprawiały mu niewymowną przykrość. Chciał jak najprędzej otrzymać polecenie służbowe i zająć się konkretną robotą, ale porucznik najwyraźniej nie miał zamiaru uwolnić go od swojej osoby, jego rubaszne żarty nie ustawały.

— A więc nie chce ci dać? — współczującym gestem ujął Rafała za ramię, który nie spodziewając się takiej poufałości cofnął się odruchowo, oparł rozdygotane dłonie na klamercie od spodni, jego krótkie nerwowe palce zbliżały się niebezpiecznie do kabury.

Porucznik spostrzegł ten ruch. — Czyżby ten smarkacz chciał mnie zabić? — pomyślał z niedowierzaniem — i za co?

Rafał cofnął szybko rękę. zdradzały go jego obsesyjne myśli, a ręce wyćwiczone w pewnych ruchach automatycznie zmierzały we właściwym kierunku.

Porucznik objął go ramieniem, przypominającym wałek utoczony z ciasta i z przykrością stwierdził, że chłopiec nadal drży.

— Wiesz co? — przestał się uśmiechać — coś mi się zdaje, że masz gorączkę. Idziemy do lekarza!

— Ależ panie poruczniku! — próbował oponować Rafał. — Nic mi nic jest. słowo daję.

Porucznik machnął ręką.

— Póki co. ja tu rządę — powiedział zdecydowanie. — Idziemy! W tym stanic i tak do niczego się nie nadajesz. Poprosisz swoją rozwódkę, żeby się lobą zajęła. Jeżeli chcesz, mogę do niej zadzwonić? Wyteżysz się. w yśpisz, a po trzech dniach będziesz jak nowo narodzony... A jak tam twoi staruszkowie? Pisujesz do nich?

— Tak - bąknął niechętnie.

— Pewnie nie za często?

— Raczej nie.

— Co ty. nie znasz przepisów? Mówi się „tak panie poruczniku”. Jasne?

— Tak panie poruczniku — stuknął obcasami.

— To drugie było niepotrzebne. Nie przepadam za musztrą. Idziemy! — pchnął go ku drzwiom, wruszony ogromnie swoją dobrocią.

Lekarz, mężczyzna w średnim wieku o zaspanej twarzy, wskazał porucznikowi wysłaną przybrudzoną prześcieradłem kozetkę. Rafałowi zaś kazał usiąść naprzeciw miniaturowego białego biurka, za które usiłował upchnąć swoje rozłożyste ciało.

— Co mu jest? — spytał patrząc na porucznika.

— Grypa — odpowiedział porucznik bez cienia wątpliwości. Lekarz skinął ze zrozumieniem głową i sięgnął po bloczek ze zwolnieniami, nagle przypomniał sobie o konieczności zbadania pacjenta, wstał z ciężkim westchnieniem i dotknął palcami jego czoła, westchnął znacząco, wreszcie spojrzał na niego i kazał mu powiedzieć „a”.

— „A” — wychrypiał Rafał i zebrał w chusteczkę grubą warstwę potu z czoła. To przypieczętowało sprawę. Lekarz odetchnął z ulgą, rad, że postawił diagnozę.

— Trzy dni zwolnienia - pochylił się nad bloczkiem. Porucznik poruszył oczami. — Leżeć i łykać aspirynę — wyrwał zamasyście kartkę ze zwolnieniem i z tym samym niczym nieuzasadnionym rozmachem podał ją porucznikowi i uściśnął mu rękę. Po wykonaniu

tylu wyczerpujących czynności z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wsunął się za swoje miniaturowe biurczko.

Porucznik udzielił jeszcze Rafałowi kilku cennych rad dotyczących grypy, z których najważniejsze było leczenie okładami z młodego ciała, w ostateczności mogła to być wspomniana kilkakrotnie przez niego rozwódka. Pożegnał go wesołym szturehańcem w ramię, życząc mu szybkiego powrotu do zdrowia i niczym dobry duch znikł w mrocznych korytarzach pałacu Mostowskich.

Rafał zaś, który w pierwszej chwili potraktował zwolnienie lekarskie jak dopust Boży, ucieszył się, nareszcie będzie mógł spokojnie, w najdrobniejszych szczegółach przygotować planowaną akcję. Wiedząc, że pani Beata z pewnością jest jeszcze w pracy, wrócił bez żadnych obaw do domu, usiadł przy oknie z nieodłączną lornetką i z wielką uwagą obserwował ulicę i mieszczący się naprzeciwko dom nr 15.

O drugiej w nocy wróciła Jola. Przyjechała taksówką i zamiast otworzyć drzwi własnym kluczem, zaczęła dzwonić, nie zdejmując palca z przycisku, Maria zerwała się z łóżka przerażona i upewniwszy się, że to Jola, otworzyła jej drzwi. Taksówkarz czekał aż na drugim piętrze zapaliło się światło, dopiero wówczas odjechał.

— Co się stało? — spytała Maria. — Dlaczego dzwonisz jak na alarm?

— Tam, w bramie ktoś czekał na mnie, widziałam go jak wysiadałam z taksówki, przyglądał mi się paląc papierosa. Gdyby nie taksówkarz, z pewnością by mnie zabił.

— Jak wyglądał? — spytała Maria, odwracając twarz w kolorze białego sera. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Brama była stąd niewidoczna, natomiast na wyścielonej zielonkawym światłem ulicy nie było żywego ducha, jedynie w pojemnikach na śmieci buszowały zdziczałe koty.

— Jak wyglądał? — powtórzyła bezwiednie Jolka — cholera go wie, było ciemno, papieros żarzył mu się w zębach, w świetle tego papierosa widziałam tylko oczy, dzikie oczy mordercy...

— Przestań! — ofuknęła ją szorstko Maria — nie znoszę złej literatury... Jutro wyrzucę z domu wszystkie kryminały... Zoba-

czysz... Powiedz, jak on wyglądał, a interpretacje zostaw mnie... Miody był czy stary, wysoki czy niski, gruby, chudy?

— Normalny, nie wiem, nie wiem, widziałam tylko zarys sylwetki, wzrost raczej średni, ani szczupły, ani chudy, zresztą nie wiem. było ciemno.

— I to się zgadza, było ciemno, facet był młody i nie chodziło mu wcale o ciebie...

— A o kogo? Pani wie? - ucieszyła się Jola.

— Wiem.

— I nic pani nie robi, żeby go unieszkodliwić, zapobiec nieszczęściu?

— Jak dotąd niewiele mogę — uśmiechnęła się ze smutkiem Maria, jej twarz odzyskała już normalną barwę, lecz z oczu nie chciał zejść smutek...

— Trzeba zadzwonić na policję, sądzę, że on nadal sterczy w bramie — oznajmiła Jola. zmierzając do telefonu.

— Daj spokój! — powstrzymała ją Maria, — niczego mu nie udowodnisz.

Mam inny pomysł, żeby go unieszkodliwić, ty się tym nie zajmuj, idź spać!

— Tak się zdenerwowałam, że muszę odtajać — sięgnęła po papierosa.

— Dobrze, zapal, ale pamiętaj, że musisz się ograniczać i pilnuj zębów, u nałogowych palaczy wyglądają jak powygryzane. To robi okropne wrażenie.

W naszym fachu trzeba dbać o higienę, zużyty towar idzie na szmelc...

Zawsze patrz na siebie z pozycji klienta, to cię powstrzyma przed robieniem głupstw... No, a teraz opowiadaj, jak tam hrabia?

Niesmaczny grymas na twarzy Joli mógł wystarczyć za odpowiedź, ona jednak uznała za stosowne wyjaśnić w czym rzecz.

— Taki sam skurwiel jak wszyscy... Nie uwierzy pani, czego on żądał.

Maria uśmiechnęła się drwiąco.

— Naiwne z ciebie dziecko — pokiwała głową — mnie już nic nic zdziwi.

Mów!

— Ten świntuch, chciał żebyś mu wymyślała od najgorszych... kutasów i ch...

Maria ruchem ręki dała jej do zrozumienia, żeby się nie wyrażała.

— Kurde! A tak się niepokoił, czy ty aby umiesz się zachować!

— roześmiała się.

— Nie sędzę, żeby to byi prawdziwy hrabia — zgasila papierosa Jola.

ziewnela - chociaż... w restauracji zachowywal się super, maniere, bajery, mrozona wodeczka, anchois, indyk, biale wino

o jakiejś skomplikowanej nazwie, nie pamietam... Myślalbny kto, że przyjmuje królową angielską, a w pokoju dno szamba, wstyd powiedziec, czego żadał i co wygadywal... - kręcila głową Jola, nie mogąc się nadziwić.

— To co? Skreślamy go? — Maria wyciągnęła rękę po notes

I rozglądała się za długopisem.

— Och! Nie! W żadnym razie — zaprotestowała stanowczo Jola

— umówiłam się z nim na jutro. Nadziany gość. I napalony. Niech sobie gada na zdrowie. Przecież nie jestem święta. Wytrzymam, tylko repertuar mam za słaby, będę musiała się podszkolić...

— Przyjęłam dzisiaj nową dziewczynę, pogadaj z nią, coś mi się zdaje, że ona z niejednego pieca chleb jadła, chociaż udaje pierwszą naiwną, ciekawe po co?

— Przyjęła pani nową? A ja boję się bezrobocia...

— Niepotrzebnie... na razie bogatych przybywa, biednych co prawda również, i to w szybszym tempie, ale oni nas nie interesują, dla nas ważne, żeby rozrastał się sektor bogaczy, a na to jest jeden sposób — częste zmiany na górze, przepychanki, afery... Jeżeli oni tam będą się gryźć, możemy spać spokojnie..., inaczej mówiąc, na spanie nie starezy nam czasu, dlatego przyjęłam tę nową. Jutro przyjdzie tu z Kaśką, pogadaj z nią, a teraz spać, spać — ziewnela i pożegnała Jolę uśmiechem,

Przed udaniem się do swojego pokoju podeszła jeszcze do okna i wyrzała na ulicę. Z zakurzonych latarń zielonkawe światło pryskało na jeden chodnik, drugi objęty mrokiem umykał z pola widzenia. Okna we wszystkich domach pławiły się w czerni, gdzieś na dole grało cichutko radio, ktoś czuwał, podobnie jak ona.

W nocy bardziej niż w dzień Maria miała nieodparte wrażenie, że jest nieustannie śledzona i obserwowana. Czyjeś niedobre oczy przebijały żaluzję i kotary, wwiercały się w mur, drażyły dziury w suficie i wpatrywały się w nią, szydząc z wymyślnych zabezpieczeń, czekały na jakiś nieostrożny ruch z jej strony, na jakiś błąd. Wówczas

oprócz tych świdrujących oczu pojawią się ręce, które w odpowiednim momencie nacisną spust i kula od dawna wymierzona w nią trafi prosto w serce.

W obecności dziewcząt była kobietą beztroską, niezwykle odważną czy wręcz szaleńczo śmiałą. Rozmawiając z nim przez telefon nic sobie nie robiła z pogróżek. Polkowskiemu również nie powiedziała całej prawdy, ale przed sobą nie musiała udawać, była słabą samotną kobietą, narażoną na tysiące niebezpieczeństw i po prostu się bała.

Minął kolejny dzień, a ona nie uczyniła nic, aby pozbyć się swojego prześladowcy, który po wyjściu Polkowskiego znów dzwonił i plótł jakieś bzdury o wyrzutach sumienia i o odpowiedzialności. Nic z tego nie rozumiała, mówił mętnie, napuszonym stylem, głos mu drżał, przechodząc z dyszkanciku w bas albo w ogóle zanikał. Nie odpowiadał na konkretne pytania, o co mu chodzi. Jeżeli o forszę, to niech się zdecyduje i powie ile chce, niech wymieni konkretną sumę... Przyparty pytaniami do muru, rzucał słuchawkę, a Maria miała przynajmniej tę drobną satysfakcję, że udało jej się go zdenerwować. Od dwóch dni liczyła na Polkowskiego. Nie sądziła wcale, że on wystawi batalion wojska w jej obronie. Polkowski nie miał nic wspólnego z wojskiem. Chodziło o radę i o wskazanie człowieka, który byłby w stanie jej pomóc. Skąd mogła wiedzieć, że on się tak zmienił, że na starość zrobił się złośliwy i wredny. Trudno, teraz będzie musiała wezwać jakichś ochroniarzy na pomoc. Inaczej zwariuje.

A jednak żałowała, że rozstali się w gniewie. Sama też niepotrzebnie pokazała mu kły. Przecież nie żądał od niej rzeczy niemożliwych. Co by jej szkodziło poprosić Kasińskiego, żeby dopuścił Robaczewską do grona konsultantów? Skoro tylu facetów z różnych stron świata zbiło na tym forszę, niech i ona się obłowi. Nie jest ani lepsza, ani gorsza od innych. Odpali mu te dwadzieścia procent i cześć. Dziesięć Maria każe odliczyć dla siebie. W ten sposób Robaczewska po raz pierwszy w życiu spełni dobry uczynek, ratując chore dziecko. Maria nie musi nawet oglądać tej forsy, chce tylko otrzymywać listy dziękczynne i uczestniczyć w przyjęciach charytatywnych... Rano zadzwoni do Kasińskiego, z Dębskim umówiła się w południe na kawę. Obiecał wpaść do niej. Szkoda, że Polkowski nie zostawił swoich namiarów, zadzwoniłaby do niego. Stary idiota! Co on sobie

myśli? — Łzy napływały jej bezwiednie do oczu, rozmazała je palcem po twarzy i westchnęła:

— Stare kurwy łatwo ulegają wzruszeniom... Brakowało im miłości, to dlatego. — W końcu zasnęła, tuląc do piersi mokrą poduszkę.

O ósmej rano była już na nogach, przeniosła telefon do swojego pokoju i zajrzała do notatek. Najpierw sklep. Z listy Doroty podyktowała hurtownikowi zamówienie i powędrowała do kuchni po kawę. Po środkach nasennych zawsze czuła się półprzytomna. Kiedy wracała z dymiącym dzbankiem do salonu, szcęknął niepokojąco telefon. W słuchawce odezwał się ponury głos Polkowskiego:

— Nie obudziłem cię? Cześć! Przepraszam za wczorajsze, byłem obrzydliwy... Nagadałem ci tyle głupstw, wcale tak nie myślę. Wybacz staremu!

— Daj spokój — miód spłynął do serca Marii — Ja nie byłam lepsza. Nie ma o czym mówić. Zadzwoń do Kasińskiego, umówię go z Robaczewską i zażadam, żeby jej zlecił co trzeba... Reszta mnie nie obchodzi, niech się sami dogadują co do stawek, natomiast ty musisz jej powiedzieć, żeby wpłaciła 10% na chore dzieci. Dam ci numer konta. Z Dębskim już się umówiłam...

— Dziękuję, nie musisz nigdzie dzwonić, niech szlag trafi Robaczewską... Nic nie musisz. Wczoraj głupio wyszło, ty mnie, ja tobie... Jeszcze raz przepraszam... Rozmawiałem z tym gościem, o którego ci chodzi. Będziemy u ciebie wieczorem, która godzina ci odpowiada?

— Ósma.

— Nie będzie dziewczyn?

— Już nie.

— Wolelibyśmy rozmawiać bez świadków.

— Ja też. Nie ma sprawy. O tej godzinie dziewczyny są już w robocie.

Punktualnie o ósmej rozległ się dzwonek do drzwi i Maria ubrana tym razem w miękką garsonkę w kolorze zielonych storczyków, współgrającym z jej błyszczącymi niezdrowym podnieceniem oczami, wyjrzała przez wizjer, otworzyła drzwi z trzech zasuw i powściąg-

liwym uśmiechem, jak prawdziwa businesswoman, wprowadziła Polkowskiego wraz z towarzyszącym mu mężczyzną do salonu, cały czas poddając go bacznej obserwacji.

Mężczyzna nie wygląda! na ubola. miał szczupłą, inteligentną twarz, mocno zarysowaną brodę, włosy koloru maku. spływały sztywnymi pędzelkami na żylastą szyję. Wzrost raczej średni, pod letnią marynarką i cienką koszulą rysowała się bardzo wyraźnie rozłożysta klatka piersiowa.

— To mój najlepszy przyjaciel — powiedział o nim Polkowski.

— Kto wie, czy nie jedyny. — Nie wymienił jednak jego nazwiska. Maria podała mu rękę i ledwie się powstrzymała, żeby nie krzyknąć, uścisk był mocny, ręka żylasta, podobnie jak szyja wystająca z niebieskiego kołnierzyka, jednak poczuła się zawiedziona. Lubiła, kiedy całowano ją w rękę.

— Przepraszam. Nie dosłyszałam, jak się nazywasz? — zwróciła ku niemu, falujące zieloną mgiełką, spojrzenie...

Nieznajomy zmarszczył się nieprzyjemnie.

— Nie lubię, jak ktoś obcy mówi do mnie ty — obwieścił ponurym basem.

— Będziesz musiał się z tym pogodzić. Od jakiegoś czasu wszystkim mówię po imieniu.

— To raczej pani będzie musiała zrobić wyjątek — odparł tym samym ponurym tonem ubol i podszedł do okna.

— Co on się wygłupia? — popatrzyła na Polkowskiego z wyrzutem. — Wytłumacz mu, że ja tutaj rozkazuję.

— Nie upieraj się! Bardzo cię proszę. Po co te głupie ambicyjki, rób to, o co mój przyjaciel prosi. — Miękki głos, w którym odezwały się echa dawnej przeszłości, przekonał ją bardziej niż słowa Polkowskiego. — On jest bardzo wrażliwy i nie znosi sprzeciwu — szepnął jej na ucho i Maria spuściła z tonu.

— No dobrze, dobrze... a jak pan się nazywa? — spojrzała z uśmiechem na nieznajomego.

— Sądzę, że ta wiadomość nie ma żadnego związku ze sprawą

— wycedził sucho, nie przestając lustrować wzrokiem ulicy.

— Jak to nie ma? Przecież się pan przedstawił?

— Nie usłyszałaś nazwiska i niech tak zostanie — zdecydował Polkowski.

— Ale skoro ja płacę, to chcę wiedzieć, z kim pracuję.

— To nie jest konieczne — skłonił się przed nią nieznajomy, odchodząc od okna.

— Nie jest konieczne? — wykrzyknęła oburzona. — Jak pan to sobie wyobraża? Mam pracować z anonimem?

— Tak jest bezpieczniej, przede wszystkim dla mnie, a i dla pani również. Ostrożność nie zawadzi. Proszę mi zaufać. Znam swój fach

— tłumaczył cierpliwie.

— Dobrze! — zgodziła się łaskawie - ale jak ja mam się do pana zwracać?

— Zwyczajnie, jak wszyscy, panie docencie...

Co? — oczy Marii niczym kłujące kaktusy wczepiły się w Polkowskiego, który uśmiechał się ubawiony.

— On jest docentem? — spytała z niedowierzaniem.

— Docent doktor habilitowany — potwierdził Polkowski z całą powagą. Esbek skinął głową.

— Można wiedzieć, z czego się pan habilitował? — spytała ostro Maria.

— Pani wybaczy — skłonił się przed nią z szacunkiem - ale i to również chciałbym zachować w tajemnicy.

Maria przysiadła, w jej oczach zbierały się groźne fale.

— Co tu jest grane, kurcze? — syknęła niczym żmija. — Przecież to ja pana angażuję, ja bułę forszę, dlatego też muszę wiedzieć, czy sprostą pan moim wymaganiom, czy... Klient nasz pan, pamięta pan takie hasło, docencie?

Teraz ja jestem klientem i panem, ja stawiam warunki, ja wymagam...

Twarz docenta pozostała nadal nieprzenikniona.

— Oczywiście, proszę pani — skłonił się znowu tym razem z przesadnym szacunkiem. — Chciałem tylko zauważyć, że jak dotąd nie zawarliśmy żadnej umowy, omawiamy na razie warunki wstępne. Jeżeli one nie będą odpowiadały pani czy też mnie. rozstaniemy się w zgodzie, jak ludzie dobrze wychowani... Ja pani nie znam, pani mnie nie zna, nigdy nie spotkaliśmy się. nie zamieniliśmy ze sobą jednego słowa... Ja, dzięki Bogu. na brak pracy nic mogę narzekać

- znowu się skłonił.

Maria straciła nagle pewność siebie, patrzyła zdezorientowana na Polkowskiego i głosem dawnej panny goniec powtarzała:

— No co pan. no co?

— Mówiłem, że on jest bardzo wrażliwy — wtrącił usatysfakcjonowany Polkowski. — Przepróż go!

— Przepraszam, niech pan się nie obraża — w jej głowie zadźwięczały łagodne tony — chciałam tylko powiedzieć, że uczeni myślą inaczej, bardziej abstrakcyjnie, są mocniejsi w teorii, a tu chodzi o praktykę, czyli o życie, o te, powiedziałabym, jego niezbyt jasne strony, krótko mówiąc, chodzi o moje życie... Jestem w niebezpieczeństwie, grożą mi. więc ja tylko wyraziłam wątpliwość, czy pan jako naukowiec, docent doktor habilitowany nadaje się, przepraszam, czy zechce się pan zniżyć do takiej roboty?

— O to niech cię głowa nie boli — odpowiedział za docenta Polkowski — zniżał się. kiedy był na topie, a cóż dopiero teraz, kiedy sama rozumiesz, jest bez stałej pracy.

- Proszę usiąść, panie docencie — ręce Marii latały jak wiosła

— może tu — podsunęła mu fotel - a może woli pan kanapę?

— Wszystko jedno — mruknął ponuro docent i usiadł w fotelu. Maria podała Polkowskiemu butelkę, prosząc go, żeby nalał do kieliszków czekających na srebrnej tacy, po czym zajęła miejsce obok niego.

— Pańskie zdrowie! — zwróciła się do docenta, podnosząc kieliszek. — Może znajdzie pan także coś na Dębskiego?

— Postaram się. To mogę obiecać — odparł bez entuzjazmu. Natomiast Polkowski patrzył na Marię jak na istotę niespełna rozumu i kręcił z dezaprobatą głową.

— Nie rozumiem, do czego ty zmierzasz i coś się przyczepiła do tego Dębskiego? — podniósł głos. — Mówiłem, żebyś trzymała się z dala od polityki, a ty swoje. Zaczynj wreszcie myśleć rozsądnie i słuchaj starszych.

— Dobrze — do głosu Marii wtargnęła urzędnicza powaga.

— Na razie odpuszczam Dębskiemu, najpierw musi pan załatwić tego sukinsyna, co do mnie wydzwania. Raz mi grozi, raz błaga o spotkanie. Nie wiem, co robić?

— Proszę się z nim umówić — poradził, dostosowując się do jej bezbarwnego tonu, doceni.

— Pan oszalał! — oburzenie poderwało Marię z kanapy. — O. przepraszam — podniosła ręce na znak, że się poddaje. — Ja mam się z nim umówić? Za chińskiego boga... On chce mnie zabić...

— Powiedział to pani? — spyta! docent, patrząc na nią bez zaciekawienia...

— Czy musiał mówić? Czy ja tego nie czuję? Czy ja mam do czynienia z mężczyznami od dziś? — zasypała go pytaniami. — Ten szykuje mi jakąś brzydką niespodziankę. Chce, żebym się z nim spotkała na rogu Alei i Marszałkowskiej. Dlaczego nie w kawiarni?

— Właśnie — ożywił się docent. — O żadnym skrzyżowaniu nie ma mowy. Strzeli do pani i pryśnie skradzionym samochodem. Nikt go nigdy nie złapie. A jak pani go ocenia po głosie, jest miody czy stary?

— Młody, z całą pewnością, nawet bardzo młody.

— Czy dzwoni zawsze ten sam? — głos docenta brzmiał oficjalnie i sucho.

— Tak — odpowiedziała bez wahania. — Nigdy nie mówi przez chusteczkę. Nie zmienia głosu. Wie, że go nie znam. Czasem tylko głos mu się tak dziwnie łamie, jakby z trudem wstrzymywał płacz...

— Prawdopodobnie to jakiś wariat, który na własną rękę wymierza sprawiedliwość kobietom... — docent urwał nagle speszony.

— Takim jak ja? — podpowiedziała Maria z pobłażliwym uśmiechem.

Docent pominął jej uwagę milczeniem i wrócił do pytań.

— Zorientowała się pani, skąd dzwoni? Z automatu?

— Tak. Zawsze — potwierdziła zdecydowanie.

— Umówi się pani z nim tutaj...

— Nie, za nic w świecie, zresztą on tu nie przyjdzie, będzie się bał. W domu zawsze ktoś jest i on o tym wie.

— Śledzi cię? — zapytał wystraszony Polkowski.

— To chyba jasne, inaczej skąd by wiedział, że od kilku dni nie wychodzę z domu?

— Proszę nadal nie wychodzić i przestać się nim przejmować — polecił niedbale docent, który skoncentrował się bez reszty na łowieniu cudownego bukietu bijącego z kieliszka. Na jego ascetycznej twarzy pojawiło się uczucie błogości.

— Łatwo panu mówić — Maria zrobiła żalostną minę, — pan jest

mężczyzną i nikt panu nie grozi, a ja nie śpię po nocach, nerwy mam w kawałkach, nie mogę się skupić na pracy, nic, tylko myślę, kto to może być, dlaczego się mnie czepia... Nie zrobiłam nikomu nic złego...

— Niech się pani uspokoi — docent tym razem obdarzył ją życzliwszym spojrzeniem. — Proszę tylko stosować się do moich zaleceń i robić co każe. Jakakolwiek inicjatywa z pani strony nie jest wskazana. Czy pani mnie zrozumiała?

— A czego tu nie rozumieć, do cholery! Myśli pan, że słowo inicjatywa jest dla mnie za trudne? — w oczach Marii błysnęły zielone ogniki gniewu.

— Do niczego nie dojdziemy, jeżeli pani będzie się obrażać o każde słowo — powiedział matowym głosem docent. — Proszę posłuchać! Jeżeli on zadzwoni, umówi się pani z nim tutaj. Panienki wyśle pani na spacer. Świeże powietrze dobrze im robi. Resztę proszę zostawić mnie.

— Pan naprawdę zwariował — zaśmiała się chrapliwie Maria.

— Mam tu czekać na niego sama, w tym ogromnym mieszkaniu? Wystawiać się na ciosy?

— Nic się pani nic stanie — przekonywał ją docent. — To drugie piętro, bez balkonu, do środka można się dostać tylko tymi drzwiami

— wstał i fachowym okiem obejrzał zamki — a te są solidnie zabezpieczone...

— Za Boga nie zostanę tu sama. Boję się — wyszeptała ze wstydem.

— Nic się pani nic stanie, przyrzekam — tłumaczył z pewnym znużeniem. - Dlaczego pani mi nie ufa? Jestem pani gorylem, będę panią ochraniał... Będę...

— Przepraszam — przerwała mu niegrzecznie. — Tu nie chodzi o pana... — spojrzała z przestrachem na Polkowskiego i zawahała się

— ja w ogóle nie mam zaufania do naukowców... Weźmy na przykład jego — wskazała na Polkowskiego, bojąc się jednocześnie spojrzeć mu w oczy — on ma chyba więcej tytułów niż pan. I co? Dostał takiego kopa, że się za Uralem zatrzęsło...

— Nie przyszedłem tutaj rozmawiać o polityce — skrzywił się z niesmakiem docent. — Pani wybacz, to mnie niepomernie nudzi.

Uważani naszą rozmowę za skończoną — skłonił przed nią głowę i skinął na Polkowskiego. — Idziemy?

Polkowski podniósł się niechętnie z kanapy i z prawdziwym żalem objął oczami butelkę koniaku, dopiero potem zwrócił się do Marii:

— Są ludzie, którym nie można pomóc, żeby się człowiek nie wiem jak starał... Ona nie ma zaufania do naukowców"! — pogarda dla Marii walczyła w nim ze współczuciem. Doprawdy! Ta kobieta przez tyle lut niczego się nie nauczyła. Niepotrzebnie zaprzętał sobie nią głowę. — A do kogo ty masz zaufanie? — podniósł głos. — Do nich? To idź do Dębskiego i poproś go o ochronę. I nie zwracaj głowy porządny ludzom!

Tym razem Maria przeraziła się nie na żarty. Rzuciła się do drzwi jak Rejtan i rozpostarłszy ramiona zasłoniła nimi wyjście.

— Przepraszam, panie docencie, bardzo przepraszam — gotowa była nawet klęknąć. — Niech się pan nie gniewa. Jestem głupia, niewykształcona i mielejęzorem bez potrzeby. Niech pan nie zwraca na to uwagi. Zrobię, co pan każe. Umówię się z nim, wyślę panienki na spacer...

Docent mimo próśb Marii nie odszedł od drzwi, spojrział na nią z ukosa i rzucił metalicznym głosem:

— Może rzeczywiście powinna pani zwrócić się do Dębskiego? On dużo może. a znacie się nie od dziś.

— Pan nawet wie, od kiedy? — nie mogła powstrzymać się od uszczypliwości. Szyderstwo i kpina stały się jej drugą naturą. — Nie — zaprzeczyła z zaciętością — do niego się nie zwrócę, a wie pan dlaczego?

Doceni i tym razem nie odpowiedział, przechylił tylko lekko głowę w jej stronę.

— Po pierwsze — zaczęła się zastanawiać — oni mogliby mnie wyrolować. tak jak zrobili to z innymi. Po drugie nie chcę im pokazywać, że jestem słaba, że się boję... Silni liczą się tylko z silnymi... Wy natomiast od dłuższego czasu macie, jak to się mówi. cykora... To mi odpowiada, ale nie ustaliliśmy jeszcze najważniejszej rzeczy, czyli ceny... Niech pan siada, panie docencie, i pi je. proszę. To dobry koniak — podsunęła mu Remy Martin, uśmiechem zaś przepraszała Polkowskiego. — Nalać? — dotknęła nieśmiało jego ramienia.

Polkowskiemu jeszcze nie przeszła złość, wrócił na kanapę i siedział z miną gangstera. Maria powtórzyła pytanie, a kiedy i tym razem nie odpowiedział, napełniła kieliszki i cichym głosem, który przypląnął do niego z dali, powiedziała: — Przepraszam. Twoje zdrowie! — jej zamglone oczy patrzyły na niego z pokorą.

Wziął do ręki pękaty kieliszek napełniony do połowy bursztynowym płynem i bawiąc się nim oglądał go pod światło.

— Remy Martin — westchnął docent, rozkoszując się ciepłem kilku kropel, rozpluwających się po języku. — My sobie na coś takiego nie możemy pozwolić, prawda szefie?

— Chcesz powiedzieć, że ja nie mogę? — Polkowski pokiwał głową, lecz nie wyglądał na zmartwionego. — Z tobą nie jest jeszcze chyba tak źle?

Docent chrząknął znacząco.

— Prawdę mówiąc — Polkowski zawiesił głos — na coś takiego to ja sobie nigdy nie mogłem pozwolić. Cały fundusz reprezentacyjny przepuszczały moje żony.

— Masz za to miłe wspomnienia — zauważyła cierpko Maria.

— O tak, miłe — potwierdził ochoczo.

Za tę odpowiedź gotowa go była ukamienować. Wstała i nie patrząc na niego mruknęła:

— Mam nadzieję, że nic będziesz, nas zabawiał opowieściami o swoich perypetiach małżeńskich? Mamy z docentem ważniejsze sprawy do omówienia. Chciałam wreszcie zapytać — zwróciła się do niego — jaka jest pańska stawka?

— Och! Dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach — docent skrzywił się z niesmakiem.

— Ja na szczęście nie jestem dżentelmenem — roześmiała się głośno, odzyskując w jednej chwili swobodę i pewność siebie. — I lubię rozmawiać o pieniądzach. Jest to właściwie jedyna rzecz, o której lubię rozmawiać, może więc najpierw ustalimy... — przerwała, słysząc nieśmiały dzwonek do drzwi. Jej twarz skurczyła się nagle, w oczach pojawił się strach.

— To pewnie on — wyszeptała z drżeniem. — Co robić? Otworzyć? — patrzyła bezradnie na obu mężczyzn.

— Chwileczkę — docent, kładąc palec na ustach, nakazał jej milczenie i kocim krokiem pod kradł się do drzwi, przystawił oko do

wizjera, po czym z tajemniczym uśmiehem odsunął ciężką zasuwę, pociągnął za klamkę i odskoczył w bok.

Do przedpokoju zaczęły bowiem wlatywać różne dziwne przedmioty: najpierw z groźnym warknięciem grzmotnął o podłogę plecak, za nim wleciały rakiety do badmingtona. po nich wjechała z impetem deskorolka, uderzając o ścianę, nad nią niczym śniegowa kula przetoczyła się torba, a na samym końcu przeokożkował po podłodze wypłowiały miś z naderwanym uchem, niewiele mniejszy od ogromnego plecaka. Zza tej góry rzeczy wyłoniła się Weronika ubrana w ciemne, wąskie dżinsy i czerwony podkoszulek. Włosy miała związane w kucyki, na nogach addidasy. Przebiegła obojętnym spojrzeniem po twarzach mężczyzn i bardzo speszona stanęła przed obliczem Marii.

— Cześć mamó! — zawołała prężąc się jak kapral przed kapitanem.

Wyciągnięte po bokach ręce dygotały nieznacznie.

Zaskoczona Maria cofnęła się, zawadzając o barek, zabrzęczały jazgotliwie stojące na nim butelki, Maria chcąc złapać równowagę przytrzymała się ramienia docenta. Przeprosiła go i niemal natychmiast wróciła do pozycji pionowej. Nie potrzebowała żadnej podpórki. Wysunęła się twarzą do przodu i zmrużyła oczy jak pod naporem światła, do rozchylonych ust powędrował bezwiednie wskazujący palec i tkwił tam przez chwilę jak głowa na miękkiej poduszce.

— Nic poznajesz mnie, mamó? — cieniutkim głosikiem spytała Weronika i też się cofnęła, jej płochliwe oczy gotowe były schować się pod czaszkę, serce zaczęło niebezpiecznie przyspieszać rytm. Teraz to już naprawdę ziemia usuwała jej się spod nóg.

— No wiesz? - palec Marii zsunął się z ust. — Dlaczego miałabym cię nie poznawać? Trochę się zmieniłaś, to fakt, ale nic do tego stopnia, żebym cię miała nie poznać... Wyładniałaś, chyba nawet urosłaś...

— Jasne! — ucieszyła się Weronika. Teraz była przynajmniej pewna, że matka nie myli jej z kim innym. — Widziałyśmy się trzy lata temu. Przyjechałaś do nas na święta. Przywiozłaś mi kurtkę puchów-kę...

— Klocki Lego, łyżwy, Barbie — zaczęła wyliczać Maria.

— Mamó! To było wcześniej... Wtedy, kiedy przywiozłaś mi łyżwy i tego misia — podniosła z podłogi pluszowego zwierzaka.

który fiknąwszy kozła leżał w niewygodnej pozycji na boku. demonstrując bezwstydnie swoje detektywne ucho. — Naprawdę nie pamiętasz? — dziwiła się z młodzieńczą naiwnością. Jej pamięć działała bezbłędnie jak komputer, a rzadkie przyjazdy matki były do niedawna najważniejszymi wydarzeniami w jej życiu. Pachniały miękkimi, zagranicznymi płaszczami, perfumami, mleczną czekoladą i bananami, budziły poza tym nieznane tęsknoty za blaskiem charytatywnych balów i przyjęć, o których z ogniem w oczach opowiadała matka.

— Dlaczego miałabym nie pamiętać? — oburzyła się Maria i strząsnęła wreszcie z ramion dławiący ją strach. — Nie mam jeszcze sklerozy.

— W tym roku nie przyjechałaś na święta, nie przysłałaś nawet kartki. Babcia jest obrażona. Twierdzi, że nie ma już córki — wyrzuciła jednym tchem Weronika. Podświadomie czuła, że atak na matkę daje jej nowe atuty, oddala lęk i ustawia ją w wygodniejszej pozycji.

— Przejdzie jej. gdy dostanie przekaz z okrągłą sumką — mruknęła lekceważąco Maria.

— Raczej nie. A swoją drogą, dlaczego nie przyjechałaś? Nie mogłaś? — dopiero teraz odważyła przyjrzeć się swojej matce uważniej. Zmiany, które dostrzegła, nie były szokujące, z delikatniejszym makijażem było jej nawet do twarzy, jednak luki w pamięci i rzucające się w oczy roztargnienie zaniepokoiły ją.

— Nie mogłam — potwierdziła szybko Maria i popchnęła ją w stronę kanapy.

— Tam! Do cholery! - rozzłościła się nagle.

— Przestańmy się wreszcie okłamywać i udawać świętą rodzinę. Zbrzydło mi to. Nie przyjechałam, kurde, bo nie chciałam. Porozmawiamy o tym później. Panowie pozwolą - już się opanowała

— moja córka Weronika.

— Bardzo mi miło — docent uklonił się sztywno i z nikłym uśmiechem potrząsnął drobną rączką dziewczyny. Polkowski zaś z głębokim wzruszeniem uściśnął jej rękę, a potem nie wiedzieć czemu, pocałował ją w policzek, odwrócił się do Marii, poruszył bezgłośnie ustami pytając: Czy to moja?

Maria potrząsnęła wściekle głową i zacisnęła pełne wargi. Po tej odpowiedzi Polkowski wyraźnie posmutniał. Zmarszczki na jego czole przypominały splekaną ziemię, zmęczone oczy węd-

rowały po obrzeżach dywanu. Weronika przyglądała mu się z rosnącym zaciekawieniem.

— Ja pana już gdzieś widziałam — zastanawiała się głośno...

— zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę... Występuje pan w telewizji?

— Raczej moje zdjęcie...

Weronika nie rozumiała. Odwróciła się od niego wyraźnie rozczarowana i poszła po swoje rzeczy do przedpokoju.

— No to nie będziemy — odezwał się docent zbierając się do wyjścia, wtedy jak na zawołanie bzyknął telefon.

— To on — Maria rzuciła się do docenta, oczekując od niego pomocy.

- Niech pani odbierze! Spoko! — ujął ją za ramię i podprowadził do telefonu.

— Nic się pani nie stanie, przyrzekam, proszę się z nim umówić.

— Tak — powiedziała z hamowaną wściekłością do słuchawki.

— Może zechcesz się przedstawić. Nie? Szkoda. Nie znudziła ci się ta zabawa? Nie możesz powiedzieć, o co ci chodzi? Dobrze. Zgadza się! W samo południe. Nie. wcześniej nie mogę. Nie będę dziewczyn zrywać z łóżek o świcie, ciężko pracują, muszą się wyspać... Wiem, że mnie śledzisz... A idź do diabła z twoim do widzenia — rzuciła ze wstrętem słuchawkę. — Skurwieli, żeby go pokręciło. Wie o mnie wszystko — otarła zrezygnowanym gestem pot z czoła i sięgnęła po papierosa...

— Jesteś pewna, że ona nie jest?... — Polkowski zwrócił się do Marii, lecz nie mógł oderwać od Weroniki zachwyconych oczu.

— Nie jest. Już ci mówiłam — odparła zniecierpliwiona.

— Szkoda — westchnął. — Synowie się nie sprawdzili. Może córka byłaby jakimś zadośćuczynieniem...

— O czym szef mówi? Nie rozumiem? — zainteresował się docent.

— Oddaję się marzeniom - uśmiechnął się gorzko. — Nic innego mi nie pozostało... Do widzenia, kwiatuszku — powiedział do Weroniki, która przeniosła do salonu swoje rzeczy i patrząc z rozterką na matkę przyciskała misia do piersi. Zdawała się nie słyszeć słów Polkowskiego, który nic zrażony jej obojętnością ciągnął dalej.

— Jesteś prześliczna, wiesz o tym, oczu nie mogę oderwać od ciebie i naprawdę bardzo żałuję, że nie mam takiej córki jak ty.

— Nie zgrywaj się! — ofuknęła go ostro Mana trzymaj się, do zobaczenia — uniesioną ręką zeglowała w powietrzu żegnając tym płynnym gestem obu mężczyzn. Odprowadziła ich do drzwi, zamknęła je na ciężkie zasuwę, powiesiła łańcuch i po powrocie do pokoju zaczęła uważnie przyglądać się córce. Dopiero po dłuższej chwili dwie skrzydlate zmarszczki odfrunęły z jej czoła i ciepły uśmiech rozświetlił twarz.

— Ten stary dureń ma rację — pociągnęła Weronikę ku sobie

— jesteś bardzo ładna. Dobrze zrobiłaś, że przyjechałaś, ale czy nie mogłaś zadzwonić, uprzedzić? W tym waszym Piekutkowie jest przecież poczta?

— Dzwoniłam dwa razy i nie miałam odwagi się odezwać. Słyszałam twój głos, byłaś taka zła. krzyczałaś...

— To nie na ciebie. Dlaczego miałabym się na ciebie złościć? Nie zrobiłaś chyba nic złego? Co?

— Babcia wyrzuciła mnie- z domu — Weronika spuściła głowę i przytuliła mocniej misia do siebie.

— Cieszę się. że jesteś. No. rozchmurz się! — Maria pociągnęła ją żartobliwie za ucho. — No co. biedaku? — pogłaskała misia i potrząsnęła gęstą szopą jasnych włosów. — Nie sądziłam, że jesteś już taka duża.

— Mamo! Babcia wyrzuciła mnie z domu - pow tórzyła z determinacją Weronika, zasłoniła misiem twarz i rozplakała się. — Mamo! Przyjechałam, bo nie wiem. co robić, jestem bardzo nieszczęśliwa...

— Cicho! Nie płacz — Maria z niejakim zdziwieniem przytuliła ją do siebie i pocałowała. — Jestem twoją matką. Nie pozwolę cię skrzywdzić. Cicho! Już dobrze, dobrze — zaczęła ją głaskać po głowie, całować...

— Nie wyrzucisz mnie, mamo? Daj słowo! Powiedz, że nie! Mamo! Tak się boję — szeptała przez łzy. — Nie wiem co robić!

— Przede wszystkim przestań płakać i powiedz, o co chodzi? Dlaczego miałabym cię wyrzucić z domu? Co ty opowiadasz?

— Nie wiem, mamo, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Boże!

— Weronika krztusiła się własnymi słowami. Jej oliwkowe oczy z tuszem rozmazanym na powiekach przypominały brudne kałuże. Maria w yjęła chusteczkę i zaczęła ścierać czarne łzy żłobiące ciemne rowy w gładkich policzkach córki. Gest ten ośmielił Weronikę.

popatrzyła na matkę z poczuciem winy, jakby szykowała się do skoku w przepaść, zaczerpnęła powietrza i wychrypiała:

— Mamo! Jestem w ciąży — po czym schowana za misia sapała cichutko jak wyczerpane własnym krzykiem niemowlę.

Słońce najpierw nieśmiało, potem coraz zwawiej wciskało się do pokoju, drwiąc sobie z żaluzji i zasłon. Inna sprawa, że Maria zajęta wieczorem Weroniką zapomniała je zaciągnąć. Nie czyniła córce żadnych wyrzutów, nie chcąc jej ranić, nie zadawała kłopotliwych pytań. Napoiła ją melisą, wpakowała do wanny i wyszorowała jej plecy. Pograżona w niewesołych refleksjach, nie zwróciła uwagi na niespotykany wprost urok kruchego ciała dziewczyny.

W salonie, który wywietrzyła po wyjściu mężczyzn, rozłożyła włoską kanapę. Powstał z niej olbrzymi tapczan. Wyjęła ze schowka poduszkę i koc i otuliła nim córkę, usiadła przy niej, walcząc ze zmęczeniem. Powinna pójść do siebie i położyć się wreszcie, bała się jednak zostawić Weronikę samą, intuicyjnie czuła, że córka jej potrzebuje.

I tak rzeczywiście było. Weronika uznała obecność matki za rzecz najnormalniejszą w świecie, uśmiechnęła się do niej, tuląc do piersi starego misia z oderwanym uchem, który błyskał radośnie szklanymi oczami.

Leżąc w czystej pościeli obok czuwającej matki, która przestała być postacią z bajki, Weronika czuła się wolna od wszystkich trosk i bezpieczna. Michał zaś zanurzał się coraz, bardziej w jakąś kosmiczną głębię, stawał się po prostu postacią fikcyjną, zresztą Weronika robiła wszystko, żeby taką był. Z konsekwencją godną swej matki usuwała go z myśli i z serca, lecz on, niczym upiór wygnany za dnia, powracał nocą i dręczył ją w snach, groził jej pistoletem przytkniętym do skroni, żądał, żeby mu wyjawiała jakiś sekret, a gdy nie chciała tego uczynić, uderzył ją w twarz, potem strzelił do jej matki. Krzyczała rozpaczliwie: nie, nie..., chciała ją zasłonić własnym ciałem i nie zdążyła.

Kiedy otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju, błogi spokój ostudził jej rozoaloną głowę. Uśmiechnęła się, widząc na wpół ubraną matkę spieszącą jej na ratunek. Weronice na widok białej

bluzki matki od razu przypomniał się sen, w nim także matka miała na sobie coś białego i kiedy Michał wystrzelił, czerwona plama krwi rozkwitła na jej piersiach gorącym płomieniem.

— Co się stało? Dlaczego krzyczałaś? — spytała zaniepokojona Maria.

— Och! Nic, przepraszam. Śniły mi się jakieś głupoty... Ktoś strzelał do ciebie, ty upadłaś, a na twojej bluzce pojawiła się czerwona plama krwi. Co za bzdury! — kręciła głową, nie przestając się uśmiechać. — Kto by do ciebie strzelał? To przecież nie Chicago... Och! Mamo! Jak to dobrze, że jestem z tobą. chodź! Przytul mnie, pocałuj!

Maria uśmiechnęła się pobłaźliwie jak do rozkapryszzonego dziecka, podeszła do niej i pocałowała ją w czoło. — Och mamo!

— Weronika przyjrzała się uważnie matce i nagły niepokój zmroził jej serce.

— Nie wyspałaś się, mamo? Jesteś taka blada. Źle się czujesz?

— Nie, tylko boli mnie głowa — Maria odpędziła szybko złe myśli.

— Wiesz co? Włóż inną bluzkę, w tej wyglądasz mizernie i pospolicie... Nie lubię białego koloru.

— Masz rację — zgodziła się Maria. — Włożę coś weselszego

— ciężkim zmęczonym krokiem, który dodawał jej lat, poszła do swojego pokoju i przebrała się w czerwoną bluzkę.

— No jak, teraz lepiej? — spytała z kokieterią w głosie.

— Wspaniale, mamo, jesteś taka piękna, dobra, mądra i ja cię kocham, wiesz?

— Przestań! — skarciła ją łagodnie — nie mogę tego słuchać. Jestem wyrodną matką, której sąd odebrał prawa rodzicielskie i zezwolił jedynie na widywanie się z tobą. Tak było, nie ma się co okłamywać... — Skrzydlate cienie znów obsiadły jej czoło. — Za zgodą sądu opiekę nad tobą sprawowała babcia...

— Płaciłaś jej za to... Uśmiechnęła się drwiąco.

— Pieniądze nie załatwiają wszystkiego.

— Ojciec nie płacił.

— Pewnie nie miał z czego. Podobno wszystko przepijał, zresztą nie wiem.

Nie widziałam go tyle lat...

— Jestem więc obciążona dziedzicznie — wyszeptła ze zgrozą Weronika i zbladła. — Jestem nienormalna! Tak? — opadła na poduszkę.

Maria mimo podłego nastroju roześmiała się ubawiona.

— Nie jesteś! Słowo honoru. W każdym razie nie tak, jak myślisz. To długa historia. Opowiem ci ją, ale nie teraz, teraz nie mam czasu. Widzisz — przestała się śmiać — nie chcę mieć przed tobą żadnych tajemnic i nie mam zamiaru cię okłamywać — przerwała i odbiegła myślami gdzieś w dal. — Kłamstwo strasznie spospoliciało, a ja stałam się snobką. Byłoby mi miło, gdybyś mi coś więcej powiedziała o sobie, ale nie myśl, że chcę cię do czegokolwiek zmuszać. Nie! Zechcesz mówić, to dobrze, nie, to nie.

Pochodzisz z kurewskiej rodziny i na to nie ma rady.

— Przestań! Mamo! — w oczach Weroniki płonął święty ogień oburzenia — ja z pewnością nie jestem w porządku, ty być może również nie byłaś, ale babcia? Babci nic nie możesz zarzucić, ona służy innym za wzór... zaharowuje się na śmierć, pości i każdą wolną chwilę spędza w kościele, modli się, pomaga staruszkom. Ludzie uważają ją za świętą.

— Święta! Kurde — rozzłościła się Maria. — Co ty mi tu ciemnotę wciskasz!

— zżymała się kręcąc głową. — Jaka święta! A skąd ja się wzięłam, co?

Odpowiadaj! No skąd? Nie wierzysz chyba w dzieworództwo?

— No nie wiem, zdarzają się przecież cuda — odpowiedziała niepewnie Weronika, wsuwając palec do ust.

— Nie w naszej rodzinie — rzuciła szorstko Maria.

— To znaczy, że babcia? — Weronika zakrztusiła się i zaczęła pokasływać.

— To właśnie znaczy tak. skurwiła się — z triumfem obwieściła Maria. Oczy jej były zmęczone, pełne usta nie przypominały już miękkich poduszek, lecz grube stalowe liny. — Nie wiedziałaś o tym?

— No a dziadek? — nie ustępowała Weronika. — Pisze do niej listy. Przysłał mi nawet paczkę na Boże Narodzenie.

— Nie widziałem go nigdy na oczy - odpowiedziała cicho Maria.

— Nie znasz swojego tatusia? — Weronika popatrzyła zdumiona na matkę.

— Co cie tak dziwi? Kurde! — Maria biegała po pokoju, rozpryskując słowami kawałki szkła. — Ty może swojego znasz? Widujesz? Może mi jeszcze powiesz, że go kochasz?

— Ale przynajmniej wiem, jak on się nazywa, ile ma lat, kim jest, jeżeli oczywiście żyje.

— Mam nadzieję, że nie — ucięła sucho Maria.

— Mamo! — Weronika zrobiła żalostną minę — ty naprawdę nie wiesz, kim był twój ojciec?

— To akurat wiem. Był zwykłym skurwysynem jakich miliony. Jak mnie zmajstrował, to wziął nogi za pas i prysnął za granicę, a moją matkę, czyli tę twoją świętą babcie, zostawił z brzuchem bez środków do życia. I to gdzie? W tym waszym podłym, plugawym miasteczku, a do mnie nie odezwał się przez czterdzieści lat, nie przysłał nawet najmniejszej kartki, nie mówiąc o forsie...

— Do babci pisze.

— Teraz? Odbiło mu na starość...

— Babcia wybiera się do niego w odwiedziny.

— Starsza pani bez godności... Odnalazła swojego Romea! Skonać można ze śmiechu... A co z tą jego grubą Bertą, do której uciekł od babci?

— Umarła...

— Zostawiła mu chociaż jakiś szmal?... Wtedy była podobno nadziana, to znaczy jej starzy mieli jakąś fabrykę...

— Nie wiem, babcia mi nie mówiła. — Weronika patrzyła na swoją matkę zaskoczona i przerażona. Łagodna, miła kobieta kipiała jak wulkan.

— Należy przypuszczać, że tak właśnie jest... Gdyby twój dziadzius był goły jak święty turecki, twoja babcia nie leciałaby do niego na koniec świata.

— Ależ mamo! Ona go kocha — Weronika uznała za stosowne stanąć w obronie babci.

— Za co? Że zostawił ją z bękartem? Za to można tylko nienawidzić.

— Ty ojca też nienawidzisz?

Grymas na jej ustach oznaczał raczej lekceważenie. Przestała wrzeć. Oczy jej zgasły.

— O tym porozmawiamy później, jeżeli będzie jeszcze okazja.

— Dlaczego ma nic być, mamó? Co ty przede mną ukrywasz?

— zaniepokoiła się Weronika.

— Och! Nic. — Maria uśmiechnęła się i odgarnęła włosy z jej czoła.

- Wstawaj kochanie i ubierz się szybko! Wyjdiesz na godzinę do kawiarni, spodziewam się gości.

— Nie chcę nigdzie wychodzić, chcę być z tobą, dobrze mi tutaj, mamó, cieszę się, że wreszcie możemy porozmawiać. Jesteś wspaniała mamó. ubóstwiam cię...

— Wkrótce przestaniesz — stwierdziła sucho Maria, spoglądając ponuro w okno.

— Dlaczego? — w oliwkowych oczach Weroniki pojawiła się wilgotna mgiełka.

— Bo nic nie trwa wiecznie. Miłość też, głuptasku — powiedziała żartobliwie Maria i uszczypnęła ją w nos. — No już! Ubieraj się!

- pociągnęła ją za rękę.

Weronika zgarnęła pościel i pomogła matce złożyć ją w schowku, po czym chcąc jak najszybciej spełnić jej polecenie, zniknęła w łazience. Maria zaś walcząc ze złymi przeczuciami popędzała dziewczęta, które ubierały się w biegu.

— Mówiłam wam wczoraj, że spodziewam się gości. Co się tak grzebiecie? Jolu! Już cię tu nie ma. wyśpisz się po obiedzie!

— Niestety — ziewnęła rozpaczliwie Jola — o czwartej idę do arbitu. Ci wczorajsi mają ochotę na repetę.

— To dobrze — ucieszyła się Maria — na razie jak widać nie grozi nam bezrobocie... Idź do parku, świeże powietrze dobrze ci zrobi! No idźcie, już idźcie! — pogoniła z kuchni kończące śniadanie Kaśkę i Agatę. — Wracajcie za godzinę, nie wcześniej i pamiętajcie: Żadnych papierochów i kawy. Idźcie do Łazienek karmić łabędzie... No — niemal siłą wypchnęła je za drzwi, zamknęła je na ciężką zasuwę, nagle coś sobie przypomniała, na kartce wyrwanej z notesu napisała adres i przywołała Weronikę gotową do wyjścia.

— Słuchaj dziecko — zwróciła się do niej suchym urzędowym tonem - sporządziłam testament...

— Co ci jest mamó? — z twarzy Weroniki w jednej chwili zniknęła jasność — źle się czujesz?

— Nie, nic mi nie jest — Maria zamachała rękami, chcąc jakby

w ten sposób odpędzić grożące jej niebezpieczeństwo — to na wszelki wypadek. Nie denerwuj się! Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Widzisz, człowiek idzie sobie spokojnie ulicą i nagle dostaje butelką w łeb, bo jakiś świr jest akurat na haju, więc sama rozumiesz? Wszystko co mam, sklep, mieszkanie, samochód, jakieś tam drobne sumy na kontach, należą do ciebie. Testament jest u notariusza, masz tu adres

— wręczyła jej kartkę — a to na bieżące wydatki — wcisnęła jej do kieszeni szeleszczący banknot. — I pamiętaj, żadnego alkoholu. Jesteś obciążona dziedzicznie.

— Nie podoba mi się to, co mówisz, zostaję z tobą — oświadczyła zdecydowanie Weronika.

— Mowy niema, głuptasku — Maria pociągnęła ją za ucho — ja prowadzę ten biznes i ja tu decyduję. Jeżeli się z tym nie pogodzisz, będziesz musiała opuścić ten dom.

— Za nic w świecie, mamó. Mnie się tu podoba, już wychodzę, pa! — Nagle zatrzymała się w progu i pokazała ręką na brzuch.

— A co będzie z tym, mamó?

— Zrobisz, co zechcesz — odpowiedziała. — Nikogo do niczego nie zmuszam, ciebie też nie będę, no idź już, idź — dotknęła ustami jej twarzy i prawie siłą wypchnęła ją za drzwi.

Rafał nie tknął kolacji, którą troskliwa pani Beata przyniosła mu do pokoju. Leżał w łóżku z martwymi oczami, przypominającymi szare, wypolerowane kamienie i palił jednego papierosa za drugim, wreszcie, gdy sięgnął po raz nie wiadomo który do pudełka, stwierdził ze zdumieniem, że kolejna paczka jest pusta. Dochodziła godzina dwudziesta druga. O tej porze kioski były zamknięte, pozostawał więc dworzec centralny albo restauracja Kameralna znajdująca się w odległości kilkuset metrów od domu. Nic bez oporów zdecydował się na restaurację. Narzucił na siebie podkoszulek i wybiegł z domu, za nim jak duch wysunęła się ze swojego pokoju pani Beata.

— Rafał! Rafał! — krzyknęła — ty dokąd? Przecież jesteś chory? Nie odpowiedział. Zderzył się z chłodnym wiatrem, który wczepił mu się we włosy, ostudził jego rozpalone policzki i czoło. Ulica była pusta. W otwartych oknach nawoływały się telewizory... Przed Kameralną dwaj pijacy przekonywali się nawzajem do jakichś

racji, nie słuchając jeden drugiego. W długiej sali restauracyjnej, w przyćmionym świetle parę osób dyskutowało z nie mniejszym ożywieniem, senna kelnerka liczyła ze znużoną miną pomięte banknoty. Na widok Rafała ożywiła się nieco. Sprzedała mu dwie paczki Marlboro, doliczając sobie pięćdziesięcioprocentową marżę. Na ulicy Rafał chciwie zaciągnął się dymem, przystanął na wprost ciemnej bramy i długo wpatrywał się w oświetlone okna na drugim piętrze, po czym, czując jak chłodny wiatr dobiera mu się do skóry, ruszył szybkim krokiem przed siebie. Spacerował chyba z godzinę, zmęczył się solidnie, sądził, że gdy przyłoży głowę do poduszki, natychmiast zaśnie. Niestety, zapadał w drzemkę na chwilę i budził się zlany potem, znowu zasypiał na krótko i zrywał się z krzykiem. Odetchnął nieco, gdy za oknem błysnęło słońce, poczuł jak spływa na niego spokój. Zapadł od razu w kamienny sen. O dziewiątej zapukała do niego pani Beata, pytając, czy napije się kawy.

— Nie! Nie! — odpowiedział niezbyt grzecznie. Zeskoczył z łóżka i w samych slipach pobiegł do łazienki, ogolił się, wykapał, włożył na siebie czyste jasne dżinsy i niebieską koszulkę polo z krótkimi rękawami, na nią letnią marynarkę z głębokimi kieszeniami, do jednej wsunął niewielki pistolet i obejrzał się w lustrze. Wyglądał jak żołnierz wyruszający na front, wiedział, że może zginąć, a przecież mimo wszystko, chciał żyć. O dziesiątej był już na ulicy. Z uwagą wpatrywał się w okna na drugim piętrze, jakby stamtąd oczekiwał pomocy. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta dwie. Boże! Jak ten czas się wlecze... Ruszył w kierunku Narbutta, doszedł do skrzyżowania, zawrócił z powrotem do Rakowieckiej i znowu zrobił w tył zwrot. W sklepie spożywczym kupił puszkę coli, pił ją chodząc po ulicy. Przestał spoglądać w okna, spuszczone żaluzje były jak mur więzienny, nie do przebicia. Na chwilę jego uwagę przykuły dziewczyny wychodzące spod numeru 15, które znał z widzenia. Najpierw wyszła wysoka blondynka w ciemnych okularach, pobiegła do Rakowieckiej i wskoczyła w autobus 114 jadący do Śródmieścia, po niej dwie inne dziewczyny również mu znane, poszły bez pośpiechu na Pola Mokotowskie.

Słońce zaczynało przypiekać, ciążyła mu marynarka i wciśnięty do kieszeni pistolet. Jeszcze tylko kilkanaście minut. Przed oczy wypłynął kusząco cień bramy, Rafał wszedł w łukowate sklepienie.

rozkoszując się chłodem. Nagle gdzieś z podwórka czy też z ulicy wyłoniła się rozwrzeszczana grupa wyrostków, otoczyła go zwartym kręgiem, przygniotła do ściany, ciemność przesłoniła mu oczy, ręce wykręcone do tyłu zostały unieruchomione i związane sznurem, ktoś sięgnął mu do kieszeni i wyłowił z niej pistolet. Rafał był pewien, że za moment strzeli do niego, liczył sekundy ostatnich chwil swojego życia i nie wiadomo dlaczego akurat w tym momencie myślał o zakładnikach, przypadkowych przechodniach zgarniętych w ulicznych łapankach i rozstrzeliwanych bestialsko przez Niemców na warszawskich ulicach i w podmiejskich lasach. Oni ginęli za to, że byli Polakami, a on za co? Nikomu nie zrobił krzywdy, niczego jeszcze nie doznał, nic nie przeżył. Usłyszał jakieś szepty, nerwową naradę, metaliczny dźwięk i wreszcie szcęk broni, jakiś głos powiedział: — To nie ten.

Znowu czyjeś ręce obmacywały go i poklepywały, ktoś chichotał zadowolony. Nagle poczuł w kieszeni znajomy ciężar. Czyżby zwrócili mu pistolet? Niemożliwe. Tupot oddalających się nóg zdawał *się* potwierdzać to przypuszczenie. Naprężył ręce. Po kilku próbach sznurek pękł jakby był w jednym miejscu przetarty. Uwolnił ręce, zerwał z oczu jakąś szmatę, ale uspokoił się dopiero wówczas, gdy dotknął palcami gładkiej powierzchni pistoletu. Legitymacja służbowa tkwiła nie ruszona w górnej kieszeni, nawet nie zainteresowali się nią. Dlaczego? „To nie ten”? — głos, który to powiedział, był mocny, należał z pewnością do kogoś starszego. A swoją drogą co za bezczelność! Tak go zaskoczyć. Czy miał jakkolwiek szansę? Spadli na niego jak grom z jasnego nieba...

Sprawdził pistolet i ku swojemu zdumieniu znalazł w magazynku wszystkie naboje. Nie do wiary! Akcja była błyskawiczna, dobrze przeprowadzona, tylko że nie mógł dopatrzeć się w niej żadnego sensu.

Po wyjściu Weroniki Marię ogarnął jeszcze większy niepokój. Nie wiedziała, co z sobą zrobić, wzięła papierosa, zapaliła, wyjęła z barku butelkę koniaku, nalała sobie pełny kieliszek, wypila. — Do cholery! — usiadła na kanapie, zamknęła oczy. — Jest przecież ten esbek, co prawda zachowuje się trochę dziwnie, ale chyba zna swój fach.

Ścienny zegar w niespiesznych interwałach wyrzucił z siebie dwanaście jednakowo brzmiących uderzeń, zaraz po nim odezwał się złowieszczy dzwonek do drzwi. Maria, starając się uspokoić rozkołysane serce, poszła otworzyć, wyjrzała najpierw przez wizjer, a widząc na podeście schodów młodego chłopaka o rysach jakby skądś jej znanych, odsunęła zasuwę i cofnęła się odruchowo, gdy do przedpokoju z siłą huraganu wpadł Rafał krzycząc piskliwie:

— Wiem, wiem, kim pani jest — patrzył wyzywająco niebieskimi oczami, usta mu drżały, potargane włosy w kolorze kawowych lodów spadały na mokre czoło.

Doświadczone oko Marii pod tą teatralną błazenadą dostrzegło zwykłą dziecięcą bezradność i determinację,

— A to mi nowina — prychnęła z ironią — wszyscy wiedzą, kim jestem, łącznie z urzędem skarbowym. Ja natomiast nic nie wiem o panu i chciałabym się wreszcie czegoś dowiedzieć. O co tu chodzi? Czego pan chce i w ogóle kim pan jest?

— Pani synem — zapiszczał cichutko Rafał wpijając się w nią oczami i czekał na efekt tych słów.

— No nie... - ironiczny uśmiezek na twarzy Marii przemienił się w bolesny grymas. Zamarła nagle i nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Oczy utkwione w niego były ciemne jak studnie

1 nieruchome. Nie drgnęły nawet wówczas, gdy docent, lekceważąc niezbędne środki ostrożności, wszedł do pokoju i skłonił się przed nią,,.

— Dzień dobry pani. Moje gratulacje! Rodzina jak widzę powiększa się z prędkością światła.

Dźwięk tych słów przesączonych niezamierzoną kpina podziałał na Rafała jak ostre ukłucie, chłopiec wyciągnął błyskawicznie pistolet i skierował go na docenta.

— Stań przy nim! — krzyknął na Marię — okłamałaś mnie. Miałaś być sama w mieszkaniu! — jego głos zmoczony łzami brzmiał jak wołanie o ratunek.

— Trzeba było zamknąć za sobą drzwi, synu — powiedział doceni, nic sobie nie robiąc z pistoletu Rafała. — Musisz jeszcze wiele się nauczyć, inaczej będziesz zawsze na straconych pozycjach. W tym wypadku należało zabezpieczyć sobie tyły, a ty tego nie zrobiłeś.

— Przesuń się! — powtórzył Rafał, trzymając cały czas pistolet

wycelowany w docenta, a widząc, że Maria nie rusza się, pchnął ją w jego stronę. - Kim on jest? - zapytał piskliwym głosem. Już zapanował nad łzami.

— Przyjacielem twojej matki, a to oznacza, że twoim również

— zamiast niej odpowiedział docent.

— Odpieprz się! — warknął Rafał. — Nie potrzebuję twojej przyjaźni — ręka mu drgnęła, przestraszył się, że pistolet wypali za wcześnie.

— Ja się nie narzucam — odpowiedział z godnością docent — ale za chwilę przekonasz się. że tak jest, jak mówię.

— Za chwilę was tu nie będzie. Zginie pan razem z nią jak przystało na przyjaciela. — Głos Rafała przeszedł w dyszkancik, co go jeszcze bardziej zdenerwowało.

— Nie powiem, żeby to było największe marzenie mojego życia

— odpowiedział docent z pokazowym spokojem. Jego twarz wyprana z jakichkolwiek uczuć robiła wrażenie dobrze dopasowanej maski. — Widzisz, synku — ciągnął tonem łagodnej perswazji

— ofiary śmiertelne złożone na stosie najszlachetniejszej nawet sprawy wyglądają nieestetycznie, nie mówiąc już o tym, że są mało przekonujące. Natomiast jeśli chodzi o mnie, to muszę ci wyznać z przykrością, że ja w żadną słuszną sprawę nie wierzę, tym bardziej więc nic ma powodów, żebym za nią umierał. Poza tym, trzeba ci wiedzieć, że jestem wprost zachłanny na życie, które ty traktujesz tak niefrasobliwie i z taką pogardą. Uwielbiam przyrodę, wyścigi konne, samochody sportowe, psy...

— A ludzi? — przerwał zaintrygowany Rafał.

— Wiesz, ludzi jakby trochę mniej — odpowiedział z wyraźną kpina docent. Rafał miał ochotę zapytać dlaczego, lecz Maria nie pozwoliła.

— Strzelaj gnojku! — krzyknęła ze złością — albo pozwól mi usiąść. Mam dyskopatię, nie mogę długo stać...

— Proszę siadać! O tu, tu — zakrzętnął się z niezwykłą troskliwością i podsunął jej krzesło. — A pan tam — wskazał docentowi fotel obok niej,

— Ja nie mam dyskopatii i chętnie postoję — odpowiedział śmiejąc się docent, czym doprowadził Rafała do furii,

— Siadać! — wrzasnął — kto tu do cholery rozkazuje?

— Ty, oczywiście, ty — docent uniósł ręce w pokornym geście i szybko usiadł. — Służność jest po twojej stronie. Nikt tego nie kwestionuje. Służność jest zawsze po stronie silniejszych. O tym wie każde dziecko... Urzeka cię władza, co? Czujesz się dowartościowany? Lepszy? Nareszcie możesz rozkazywać. To duża frajda. Sprawia ci to przyjemność prawda? A wiesz dlaczego? Bo jesteś głupi. Nie masz się co obrażać. Tak jest. A wiesz, na jakiej podstawie tak sędzę? — Rafał uderzył go złym spojrzeniem, docent zignorował je i ciągnął dalej. — Gdybyś był mądry, to zamiast wymachiwać tą śmieszoną pukawką, leżałbyś sobie w ciepłym łóżeczku z jakąś miłą pulchną dziewczyną... Lubię pulchne, a ty?

— Nie pańska sprawa — odburknął. — Niech się pan lepiej pomodli i prosi Boga o odpuszczenie grzechów.

— Nie potrafię — westchnął docent z prawdziwym żalem.

— Zresztą, co tam moje grzechy w porównaniu z twoimi. Błahostki bez żadnego znaczenia. Nie jestem ani ojco- ani matkobójcą.

— On leż nie będzie — wtrąciła z przejęciem Maria. — Mój syn nie żyje. Rafał zmiażdżył ją wzrokiem.

— Jesteś wstrętne — wykrzyknął płonąć oburzeniem — zła, okrutna i mściwa. Właśnie teraz — zapiszczał tym swoim nieszczęsnym dyszkancikiem — kiedy cię wreszcie odnalazłem, chcesz mi wmówić, że ja nie żyję? Zaczynam żałować, że cię w ogóle szukałem. Tak, byłem głupi. Przyznaję panu rację - spojrzał z rozpaczą na docenta, a potem na matkę. — Przez całe swoje zasrane życie tęskniłem za tobą — drżał na całym ciele i już nie panował nad głosem.

— W każdej napotkanej kobiecie widziałem ciebie.,,To ona"

— mówiłem, ma takie włosy jak ja, takie same usta i miękkie ciepłe dłonie...

— Przestań się rozczulać — przerwała mu szorstko Maria.

— Mój syn nie żyje,

— Kłamiesz! — wrzasnął powstrzymując łzy — wiem nawet, po co to robisz. Chcesz uniknąć kary i dalej nurzać się w grzechu, w tym wstrętnym bagnie, dalej chcesz sprowadzać niewinne dziewczęta na drogę występku, brudu, straszliwych chorób i nieszczęść, mając je lekkim zarobkiem, brudnymi pieniędzmi. Nie pozwolę na to. Zginiesz z mojej ręki — chciał nacisnąć spust, lecz docent podbił mu rękę.

rozległ się wystrzał, który przykuł go do miejsca, pistolet wypadł mu z rąk. Docent wykorzystał jego zaskoczenie, podniósł szybko pistolet i schował, a gdy Rafał rzucił się, żeby mu go wyrwać, docent unieszkodliwił go jednym mocnym uderzeniem i nim chłopiec zorientował się, co właściwie zaszło, założył mu kajdanki na ręce, obmacał go, wyjął mu z kieszeni jakieś klucze, 100-tysięczny banknot, legitymację w twardej oprawie, położył to wszystko na stole, po czym usiadł utrudzony i nalał sobie koniaku.

— Ty też jesteś wstrętny — wychrypiał Rafał rzucając się na niego.

— To się akurat zgadza — błysnął mocnymi zębami docent i pchnął Rafała na kanapę. — Spoko! — pogroził mu palcem.

— Jeszcze mi podziękujesz za to, co dla ciebie zrobiłem. Mówiłem, że jestem twoim przyjacielem. Pamiętasz?

— Gówno — zapiszczał Rafał i zwiesił głowę.

— Nareszcie mówisz jak człowiek — ucieszył się docent. — Ale gdyby nie ja, miałbyś wyrzuty sumienia do końca dni swoich... To twój styl, prawda? Było nie było, uchroniłem cię przed matkobójstwem, nic zapominaj o tym! — pijąc, uśmiechał się z niezwykłą u niego życzliwością.

— Nikt pana nie prosił o przysługę — wyszeptał cicho Rafał.

— I znowu jesteś w błędzie. Prosiła mnie o to twoja matka.

— Ona mówi, że nie jestem jej synem — wychrypiał żałośnie.

— Może się myli? — docent odstawił kieliszek i zabrał się do rozładowywania pistoletu — nie widzieliście się w końcu ładnych parę lat.

— Lata nie mają z tym nic wspólnego — przemówiła nagle Maria wrywając się z odrętwienia. Wystrzał zaskoczył ją i przeraził. — Mój syn — mówiła z martwym wzrokiem skierowanym w pustkę — nie podniósłby ręki na własną matkę, nie straszyłby jej, nie groził, nie przystawiałby jej lufy do czoła... i w ogóle nie ganiałby po mieście z jakąś głupią pukawką. Mój syn brałby udział w pochodach pacyfistycznych i żądał uwolnienia skazanych za odmowę służby wojskowej.

— Pewnie by tak robił, gdyby jego matka się nie skurwiła

— wychrypiał Rafał, nie patrząc na nią ani na docenta.

— Ona już z tym skończyła — głos Marii nabierał żywszych

tonów, oczy zaczynały śmieiej patrzeć przed siebie — prowadzi taki sam biznes jak wszyscy i daje więcej forsy na dzieci niepełnosprawne i chore niż ci wszyscy mądrale, co to tylko krzyczeć potrafią. Tobie też dam, chociaż, jak widzę, nic ci niedołęga. Sprawność fizyczna bez zastrzeżeń, gorzej z umysłową, ale to nie moja wina, odezwały się widać geny tatusia...

— Zostaw go w spokoju! — rzucił jej groźne spojrzenie. — To nieszczęśliwy człowiek.

— Jego leż odnalazłeś? — zdziwiła się Maria.

Chłopiec potwierdził skinieniem głowy, po czym wychrypiał cichutko:

— Też.

— Cholera! — oburzyła się odzyskując swoją zwykłą energię i wigor. — A mnie się nie udało. Nie chodzi o niego, jego też odnalazłam bez trudu.

Myślałam, że dzięki niemu trafię na twój ślad, jemu sąd odebrał znacznie później władzę niż mnie, chociaż upijał się jak świnia. No, mniejsza z tym. i lak wyładowałeś w domu dziecka... Byłeś tam tylko trzy miesiące, ale tam właśnie urwał się ślad... nikt o niczym nie wiedział, nikt nie chciał mówić nawet za grubszą forszę... Teraz to by gadali. Ciekawe, jak tobie udało się dotrzeć do mnie? Skąd znałeś moje nazwisko? Czyżby podróż w odwrotnym kierunku była łatwiejsza? A może oni ci powiedzieli? Co?

— Oni mówili, że nie żyjesz... Nie wierzyłem im. Wiedziałem, że cię odnajdę. Pamiętałem, jak wyglądasz...

— Bzdury — rozgniewała się Maria — nic nie mogłeś pamiętać. Byłeś za mały... Słuchaj! Czy ty przypadkiem nie jesteś gliną? — zastanowiła się, lecz sama myśl o tym wydała jej się tak absurdalna, że natychmiast o niej zapomniała. — A jak się miewa tatuś? — spytała ze złym błyskiem w oczach. — Kiedy o tobie mówi. dostaje drgawek — stwierdził ponuro Rafał i zwiesił głowę.

— Od dziecka to miał, a teraz opowiada pewnie, że to z mojego powodu tak nim telepie?

Rafał nie patrząc na nią potwierdził,

— Powiedziałeś, że jest nieszczęśliwy. Dlaczego? Przecież ożenił się. mieszka w domku z ogródkiem... Może przestał pić?

Rafał znów skinął głową i szepnął:

— Wszystko się zgadza.

— Oprócz jednego — zaśmiała się z triumfem Maria. — To nie twój tatuś.
— Co? — Rafał nie wydawał się tym zmartwiony i kto wie, czy nie odczuł ulgi. - A kto? On - wskazał na docenta.

— Chciałbyś, co? — Maria nie była w stanie powstrzymać kpiny.

— Po nim miałbyś geny pierwsza klasa... Niestety... Nie znałam go wtedy. Co to? — chwyciła legitymację, którą podał jej docent

— Rafał Smyk, tak się teraz nazywasz? O rany! Gliniarz! Mój syn jest gliniarzem. Nie, ja tego nie przeżyję. Boże! Boże! za co mnie tak karzesz? — złapała się za głowę jak stara wiejska kobieta, podeszła do niego i załamała nad nim ręce w geście rozpacz. — Czy ty nie miałeś co jeść, że dałeś się tak zrobić? Jak oni cię wychowali? Dlaczego pozwolili na to? Chcieli cię mieć z głowy?

— Nie czepiaj się ich! — odburknął niegrzecznie. — To przyzwoici ludzie. Dali mi wszystko.

— Wszystko? — powtórzyła z niedowierzaniem, jej twarz pokryła się popiołem, oczy pod ciężkimi blaszkami powiek stały się prawie niewidoczne.

— A co z miłością, synku? Nie kochali cię, prawda?

— Może ty mnie kochałeś? — patrzył na nią z odrazą, ciężkie do wypowiedzenia słowa cisnęły mu się na usta.

Maria, nie mogąc znieść tego spojrzenia, opuściła głowę na znak, że się poddaje.

— Ja przynajmniej nie twierdzę, że dałam ci wszystko — broniła się bez przekonania.

— To po co wydałaś mnie na świat? — wypowiedział wreszcie te słowa, które rozsadzały mu krtań. — Po co?

— Nie wiem — krótkie palce Marii o różowych paznokciach szczypały długą, marszczoną spódnicę, oczy uciekały przed światłem.

— Nie wiem — powtórzyła z rozpaczą. — Teraz sama często zadaję sobie to pytanie, ale wtedy... wtedy nie myślałam... Młodość rządzi się swoimi prawami, jest egoistyczna, głupia, nie zastanawia się, nie roztrząsa włosy na czworo, obca jej głębsza refleksja, nie zna...

— Dosyć! — przerwał jej ostro i skutymi rękami uderzył w stół.

— Dosyć — powtórzył pryskając wokół śliną. — Nie chcę tego słuchać. Mam gdzieś tę kurewską filozofię.

— Dobrze! Nie słuchaj! — spotulniała nagle. — Rób swoje.

— Nie rozumiem? — patrzył na nią z otwartymi ustami, intensywność błękitu w jego oczach kłuła jak zadra, odpieczętowując wspomnienia.

— Zapomniałeś, po co tu przyszedłeś? — spytała z wyrzutem. Rafał schylił głowę i ukrył przed nią intensywny błękit.

— Masz krótką pamięć, synku — łagodny uśmiech spelzł z mięsistych warg Marii i odezwał się echem z mglistej przeszłości.

— Pozwolisz, że ci przypomnę! Przyszedłeś tutaj wyręczyć Pana Boga i w Jego zastępstwie wymierzyć mi karę. Sam, bez udziału sędziów, wydałeś na mnie wyrok, nie biorąc pod uwagę żadnych okoliczności łagodzących. Ja ci ich nie dostarczę. Prawdopodobnie ich nie ma i nigdy nie było. Zawiniłam wobec ciebie, taka jest prawda, nic na to nie poradzę, ale w tej chwili mogę coś dla ciebie zrobić, właściwie jedno tylko mogę zrobić! Umożliwię ci wykonanie wyroku. Po co go odwlekać? Ty mnie nie ułaskawisz i nie zrezygnujesz ze swoich zamiarów. Ja ci to wybaczam... Kto wie, może cię nawet rozumiem? Sama jestem przecież kurewskim dzieckiem — uśmiechnęła się oczyma, w których migotały światła żółtych bursztynów. Rafał w ponurym milczeniu wpatrywał się w podłogę.

— Panie docencie! — Maria jak gdyby dopiero teraz zauważyła esbeka bawiącego się pistoletem. Głos jej się łamał i cichł, a kiedy rozbrzmiewał, od nowa odzywały się w nim dźwięki marsza żałobnego. — Proszę mu dać tę pukawkę i naboje, przed tym jednak niech mu pan zdejmie te bransoletki. Nie będzie przecież w nich strzelał?

— Czy pani zwariowała? Pani Mario! Co pani wygaduje? Nie będzie żadnego strzelania. Ja na to nie pozwolę — docent stracił swój zwykły wyniosły spokój, wzburzenie plątało mu język, wiosłował przed nią w śmieszny sposób rękami i krzyczał. — Niech mnie pani o nic nie prosi, nic dla pani nie zrobię. Przed chwilą cudem uniknąłem śmierci, a teraz chce pani, żebym uczestniczył w zbrodni? To trochę za wiele jak na jedno krótkie przedpołudnie. Nie! Nie! Nie!

— Niech pan nie odmawia, zapłacę z góry! — Posłała mu uśmiech posypany cukrem. Docent skrzywił się z niesmakiem. Jej łagodność była stokroć bardziej przykra niż złość.

— Stanowczo odmawiam — odpowiedział.

— W takim razie poradzimy sobie bez pana. Prawda synku?

— przesuwiała się po pokoju jak duch i żeglując rękami czegoś

szukała z przytulonym do warg tajemniczym uśmiechem. Rafałowi zdawało się, że widzi ją na wielkim, charytatywnym balu, jak w długiej mieniącej się kolorami sukni tańczy walca. Ostry zapach poison otaczał ją mglistym welonem, przyprawiając go o zawrót głowy. Ogłupiały i całkowicie pozbawiony woli wodził za nią oczami, podziwiając wątłą linię jej ramion, kształtną cienką szyję podobną do szklanego kielicha, wsłuchiwał się w szelest jej kroków, jedynie głos docenta drażniący i oschły rozbijał boską harmonię tej chwili.

— Umówiliśmy się, że będę panią ochraniał, czyż nie? Jestem człowiekiem honoru i zawsze dotrzymuję słowa. Zresztą szef nigdy by mi nie wybaczył, gdyby pani coś się stało.

— On nigdy nie był pańskim szefem — zauważyła przytomnie Maria, aczkolwiek oczy miała zgaszone, czoło otulone powagą, przygotowane jakby do pośmiertnej maski.

— Pracowałem z nim kiedyś i mam dla niego wiele szacunku — wyjaśnił docent.

— Ja nie — uśmiechnęła się melancholijnie. — Proszę nam nie przeszkadzać, a w ogóle to będzie lepiej, jak pan sobie stąd pójdzie.

— Zostanę. Lubię jak się coś dzieje.

— Lepiej niech pan wyjdzie — popchnęła go do drzwi. Docent zaskoczony jej dziwnym zachowaniem, zaczął stawiać opór. Doszło między nimi do niegroźnej szarpaniny, podczas której Maria wyciągnęła mu z kieszeni niewielki kluczyk. Właściwie tylko po to zaaranżowała tę scenę. Mając w ręce kluczyk, przestała zwracać na niego uwagę, uklękła przy Rafale i manipulowała przy zamku. Docent nie przeszkadzał jej, zaintrygowany niespodziewanym rozwojem wypadków czekał biernie na to, co nastąpi. Marii udało się w końcu przekręcić kluczyk, zamek ustąpił. Niewielkie kajdanki spadły na podłogę z ponurym brzękiem. Uwolniony od nich Rafał z zadowoleniem masował ręce spalone na brąz przez słońce.

— No jak, w porządku? — spytała Maria, pokazując nikłe ślady po obręczach. Skinął głową. — Weź teraz tę pukawkę — poleciła, przyglądając mu się z lodowatym spokojem.

Rafał, słysząc jej polecenie, wstał jak automat i wyciągnął rękę po pistolet.

— Chwileczkę! — powstrzymał go docent. — Muszę usunąć

ślady moich palców. — I teatralnym gestem zatrzepotał złożoną we czworo chusteczką, jakby chciał pokazać, że nie ma w niej królika, następnie wytarł nią pistolet, ujął go ostrożnie w dwa palce również przez chusteczkę i odłożył na stół.

— Bierz go! Co się gapisz? — krzyknęła na syna Maria. Jej oczy, płonące złym zielonkawym światłem, zdawały się kierować jego ruchami.

Rafał, nie odrywając od niej wzroku, jak zahipnotyzowany sięgnął po broń.

— Naboje — Maria trzymając syna w zasięgu wzroku wyciągnęła rękę do docenta.

— Nie dam. Nie chcę brać w tym udziału, mówiłem pani!

— wsunął ręce do kieszeni, zabezpieczając się w ten sposób przed Marią.

— Poszukaj u siebie w kieszeniach! — poleciła synowi. — Może zaplątała się gdzieś jakaś kulka? Mam nadzieję, że jedna wystarczy?

— stanęła wyprostowana naprzeciw niego i mierzyła wzrokiem odległość. — Chyba nie chybisz? Jestem mało odporna na ból...

Rafał nie znalazł żadnej kulki, wziął, tak jak mu kazała, pistolet do ręki i oglądał go z taką miną, jakby nie wiedział, do czego on służy.

— Zaraz... zaraz... — przyjrzała mu się podejrzliwie. — Czy ty na pewno umiesz strzelać? Podobno nie macie forsy na ćwiczenia, co? Oszczędzają na was, idioci!

Rafał nie odpowiedział, dalej bawił się pistoletem, starannie unikając spotkania z jej oczami...

— Panie docencie! — uśmiechnęła się słodko. — Proszę tylko o jedną kulkę. Niech pan nie będzie taki skąpy, nikt się nie dowie... Proszę, wyświadczy mi pan wielką przysługę... — w jej zamglonych oczach błyszczały kropelki rosy.

Docent pomyślał chwilę i przestał się wahać, wyjął jeden nabój i tak jak przed chwilą wytarł go chusteczką z nie mniejszą starannością niż pistolet, położył na stole i zaczął wycofywać się do przedpokoju.

— Mnie tu nie było, pamiętaj! — powiedział do Rafała. — Nie lubię się mieszać w rodzinne sprawy — wychodząc, zostawił za sobą nie domknięte drzwi.

Rafał rozdygotanymi palcami wsunął nabój do magazynka.

Lepką dłonią odrzucił z czoła mokre włosy zasłaniające mu oczy, wytarł pot zbierający się na skroniach.

— Co cię tak telepie? — rozżłościła się niespodziewanie Maria.

— Zapatrzyłeś się na tego nieszczęśnika, który uważa się za twojego tatusia, czy co? — sięgnęła po butelkę i naląła koniaku. — Masz. napij się, to ci dobrze zrobi! — podała mu kieliszek.

— Dziękuję. Jestem abstynentem — przemówił wreszcie Rafał.

— Tego tylko brakowało — pokręciła z dezaprobatą głową.

— Chcesz waleriany? Nie? To strzelaj! Nie ma się co obcyndalać! Zasłużyłam na to, żebyś mnie zabił.

Rafał z wielkim wysiłkiem, usiłując opanować dygot, podniósł pistolet, zmrużył jedno oko i przytknął palec do spustu, po czym uznał widocznie, że to zbyt teatralne i objął pistolet dwoma rękami, Stojąc wyprostowany z jedną nogą wysuniętą do przodu, z jakimś dziwnym zauroczeniem wpatrywał się w matkę, która śmiało i bez drżenia czekała na swoją śmierć. Jej twarz o morelowym odcieniu

— przejrzysta i wzniosła — przypominała mu twarze świętych z kościelnych malowideł, z tym, że ona była o wiele piękniejsza. Głowę, okoloną koroną jasnych włosów o popielatym odcieniu, trzymała na cienkiej, wiotkiej szynicy niczym tarczę, jej małe ruchliwe piersi wznosiły się i opadały poddane rytmowi oddechu, napełnione krwistym mięszem usta poruszały się nieznacznie, jakby szeptały modlitwę.

— Nie! — krzyknął nagle Rafał, lecz jego krzyku, który rozległ się chyba w innym wymiarze, nikt nie usłyszał. Maria stała dalej nie poruszona z oczami jak dwie kulki pistacjowych lodów. Ręce Rafała wraz z pistoletem osunęły się na stół. przez dłuższą chwilę patrzył na nie zdziwiony, jakby dopiero teraz pojął tragiczną wymowę swojego czynu, odsunął ze wstrętem broń, zakrył dłońmi twarz i z gwałtownym łkaniem rozdierającym mu krtań zwałił się na kanapę.

Maria stała nadal jak zahibernowana, nie mogąc uwierzyć, że żyje, a jednak oddychała, w ustach czuła gorzki smak śliny, mogła poruszać rękami i głową, jej wzrok również działał bezbłędnie. Rozejrzała się dokoła, otaczały ją znajome przedmioty, czerwona abstrakcja na ścianie płonęła krwawym ogniem. Słońce usunęło się z okien i na beżowych fotelach rozsiadły się głębokie cienie, załadowany pistolet patrzył na nią beznamiętnie ciemnym okiem

błyszczącej lufy, a jej jedyny syn skulony na kanapie w pozycji embriona łkał rozpaczliwie.

Podeszła do niego, uklękła i z bolesnym grymasem zeszywniałych ust, zanurzyła mu palce we włosy.

Rafał, zaskoczony jej gestem, podniósł głowę, w jego oczach mokrych od łez zalśniło czyste niebo, zarzucił gwałtownym ruchem ręce na jej ramiona i tulił się do niej.

— Synku mój najdroższy — szeptała Maria, nie czując łez płynących jej z oczu. — Najdroższy, jedyny...

Docent wysunął się z przedpokoju, lecz widząc Marię w objęciach syna taktownie wycofał się z powrotem, odczekał chwilę i znowu wsadził głowę między drzwi, czułe tetc a telc trwało nadal, chrząknął, znowu nikt na niego nie zwrócił uwagi, więc głośno zapytał:

— Przepraszam, czy można?

A gdy i tym razem nie otrzymał odpowiedzi, podszedł do stołu, rozładował pistolet i schował do kieszeni wyblaganą przez Marię kulkę. Z drugiej kieszeni wy dostał naboje, które wcześniej wyrzucił z magazynka, przeliczył je i podsunął Rafałowi.

— Proszę — powiedział — możesz je schować. Są wszystkie. Jednak byłoby rozsądniej, gdybyś je nosił oddzielnie. Z twoim temperamentem wszystko może się zdarzyć, a w ogóle to byłoby najlepiej, gdybyś nie musiał posługiwać się bronią... I schowaj wreszcie tę pukawkę, bo nie daj Boże, jeszcze kogoś przestraszysz. Nie wszyscy są tak odważni jak twoja matka. I jakby na potwierdzenie jego słów, drzwi rozwarły się z trzaskiem, a do pokoju lekko t zwiewnie niczym ptak wpadła zaaferowana czymś Weronika. Włosy miała rozpuszczone, na twarzy ślady słońca, a szeroki uśmiech przygotowała specjalnie na powitanie matki.

— Mamo! Mamo! — zawołała z przejęciem. — Zdecydowałam się na... — połknęła ostatnie słowo, radosny uśmiech na widok obcego mężczyzny, chowającego do kieszeni pistolet, zamienił się w skurcz. Jednym skokiem znalazła się przy matce, wyjęła chusteczkę i zaczęła wycierać jej łzy.

— Co się dzieje? Mamo? — pytała przerażona. — Co on ci zrobił? Dlaczego płaczesz? — spojrzała z wściekłością na Rafała, gotowa rzucić się na niego, wydrapać mu oczy, rozwalić łeb którąś z tych ciężkich butelek stojących na barku. Jak on śmiał doprowadzić

jej matkę do teź? Po co tu przyszedł? I dlaczego mama, zamiast wskazać mu drzwi, uśmiechała się do niego z miłosnym oddaniem? Dlaczego jej oczy płonęły tym dziwnym światłem, a dłonie o krótkich palcach zastygły w jakimś błagalnym geście?

Dla Weroniki w jednej chwili wszystko stało się jasne, aczkolwiek trudne do uwierzenia. Jej wspaniała mama była kochanką tego przybłądy z rewolwerem, wykorzystywaną przez niego niewolnicą, klęczała przecież przed nim i powtarzała jak w transie: „kochany, najdroższy”.

Weronice zaczęło brakować tchu, serce fiknęło kozła i chciało ulecieć w kosmos. Świat skurczył się do wielkości paznokcia, dla Weroniki nie było już na nim miejsca.

Tymczasem matka, nieświadoma wrzenia w sercu córki ujęła ją mocno za rękę i nie kryjąc wzruszenia, pociągnęła do tego wyrosniętego chłopca o twarzy gdzieś już chyba widzianej, a teraz mokrej od łez i niezwykle pięknej.

— Poznajcie się! — powiedziała głosem anioła obwieszczającego dobrą nowinę — to jest twój brat, a to twoja młodsza siostra.

Rafał nie okazał nadmiernego zdziwienia. Wiedział, że gdzieś tam w niewielkim miasteczku na południu Polski żyje jakieś stworzenie, które według prawdziwej metryki jest jego siostrą. Miał zamiar ją odwiedzić, ale odkładał tę wizytę na bliżej nieokreśloną przyszłość. Nieznana siostra należała do sfery abstrakcji, chociaż czasem, gdy o niej myślał, co prawda niezbyt często, wyobrażał ją sobie jako małą dziewczynkę z kokardkami we włosach . zabiedzoną i głodną, źle ubraną, brudną, z długim gilem wiszącym u nosa.

Natomiast obecna tutaj dziewczyna, mimo że wiotka i krucha, wyglądała na zdrową, dobrze odżywioną. Miała lśniące bujne włosy, ogromne oliwkowe oczy i usta krwiste jak befsztyk.

— Co? — wykrztusiła w najwyższym zdumieniu zamieniona w posąg. Nagle sfrunęła na niego niczym ptak, gorącymi ramionami oplótła mu szyję, tarmosiła go, krzyczała piszcząc z radości, po czym wybuchnęła perlistym śmiechem i ustami pachnącymi kremówką i kawą całowała go, gdzie popadło.

— Mam brata, mam brata — powtarzała w upojeniu. Radość spłynęła na nią jak ciepły deszcz. — Tak się cieszę. O Boże! Zawsze o tym marzyłam. Jak masz na imię?

— Rafal.

— A ja Weronika. Rafal. Cieszysz się? Rafał, Rafał... — powtarzała zachwycona.

— Na chrzcie dałam mu na imię Tadeusz, na cześć Kościuszki

— wyznała Maria patrząc na nich z rozrzewnieniem. — Chryste! Jaka ja byłam głupia! Myślałam, że mój syn będzie bohaterem narodowym, a on został gliniarzem — westchnęła ze smutkiem.

— Naprawdę jesteś gliniarzem? Ależ to fantastyczne! — ucieszyła się Weronika.

— Ja też tak sędzę — odezwał się milczący dotąd docent.

— Bohaterów narodowych mamy jakby trochę za dużo, nie uchybiając Kościuszcze — przeprosił Marię ukłonem — natomiast gliniarzy ciągle za mało. Niech więc pani...

— Mamo! — przerwała mu niegrzecznie Weronika. — Czy mogę poczęstować brata? — wskazała na butelkę koniaku.

- On nie pije. Lepiej weź go do kuchni i zrób mu jajecznicę na boczku. Jestem pewna, że od kilku dni nie miał nic w ustach

— popatrzyła z troską na syna. Rafał podziękował jej pełnym miłości uśmiechem. Weronika pociągnęła go za rękę, zadając mu dziesiątki pytań: gdzie mieszka, czy ma już dziewczynę i co się z nim do tej pory działo? Dlaczego się nie znali?

Gdy wyszli, Maria zamknęła za nim drzwi i uśmiechnęła się do siebie. Otworzyła szeroko okno i z niebywałą rozkoszą usiadła w miękkim fotelu. Czowała się straszliwie zmęczona, a jednocześnie szczęśliwa. Jej życie zaczynało nabierać sensu. Chore dzieci, uratowane dzięki jej pieniądзом sprawiły, że odzyskała syna. To był prawdziwy cud. Jutro pójdzie podziękować św. Antoniemu, złoży również ofiarę na chleb dla biednych. Tyle teraz głodnych i bezdomnych, którym z całego serca chciałaby pomóc. Musi zwiększyć personel, przy tych wydatkach dziewczyny nie wyrobiją.

— Zdaje się, że nie mam tu już nic do roboty — przypomniał o swojej obecności docent.

— Tak, rzeczywiście — ocknęła się Maria. — Dziękuję. Do widzenia panu — podała mu rękę, mając nadzieję, że tym razem ją ucałuje.

— A moje honorarium? — zapytał wręczając jej kartkę z wypisaną sumą.

— Honorarium? — otworzyła szeroko oczy. — Racja, racja. Ależ ze mnie gapa! Przepraszam — rzuciła okiem na kartkę i zmarszczyła czoło. — Nie jestem pewna, czy pan na nie zasłużył.

— Jak to? — oburzył się docent — zrobiłem więcej niż to było możliwe.

— Tere fere — machnęła ręką — naraził mnie pan na straszliwe przeżycia. Ten wariat mógł mnie dwa razy zabić.

— Bądźmy dokładni — zauważył sucho docent — mógł zrobić to tylko raz, ale nie miał nawet tej szansy.

— Jak to nie? — wykrzyknęła oburzona — gdyby mu pan nie wytrącił z rąk tej cholernej spluwy, już bym pukała do świętego Piotra.

— Nie, proszę pani. Wymieniłem mu naboje na ślepe.

— W jaki sposób?

— Tajemnica zawodowa — uśmiechnął się z wyższością.

— Ale ja o tym nie wiedziałam. Naraził mnie na stresy...

— Nie miałem wyjścia. Ten dzieciak chyba nie bez powodu został samotnym myśliwym. Nie chciałbym nikogo oskarżać, ale mówiąc między nami, pani nie ma czystego konta.

— Znalazł się jeszcze jeden zastępca Pana Boga na Ziemi — podniosła głos.

— Czy nie za dużo was?

— Ja się w to nie mieszam. Musi pani jednak przyznać, że zapracowałem uczciwie na swoje honorarium?

— Przyznaję, aczkolwiek niechętnie — skrzywiła się. — Dorzucę jeszcze dziesięć procent, byle pana więcej nie oglądać. Nie znoszę tego typu ludzi a zwłaszcza pańskiej profesji.

— Szkoda, bo ja panią naprawdę polubiłem — westchnął ze smutkiem — w każdym razie dziękuję za szczerość... Jest pani bardzo miła...

— Przykro mi, ale nie mogę tego samego powiedzieć o panu. Bierze pan w złotych czy w dolarach?

— W złotych, łaskawa pani. Jestem patriotą.

— Niech pan mnie nie rozśmiesza! Dobrze? — nie zważając na zmęczenie przeszła do swojego pokoju, przyniosła stamtąd zwitek banknotów i rzuciła na stół.

— Niech pan przeliczy, żeby nie było wątpliwości — mruknęła nieprzyjaźnie.

Docent nie chciał liczyć, schował pieniądze do kieszeni i złożywszy Marii głęboki ukłon, wyszedł.

W kuchni wśród zapachów smażonego boczku, jajek, papryki i kawy Weronika poruszała się jak na skrzydłach. Wokół niej wirował czerwony fartuszek w białe kropki obsyty falbanką. Włosy miała związane w dwa śmieszne pędzelki, policzki zaróżowione, oliwkowe oczy błyszczały radosnym podnieceniem. Nakryła stół na trzy osoby, przygotowała sałatkę z papryki i pomidorów, przyozdobiła ją pietruszką, spryskała oliwą i zabrała się do jajecznicy, rozbiła 7 jaj, roztrzepała je widelcem i zmieszała na patelni z przyrumienionym boczkiem. Robiąc to zabawiała Rafała opowieściami o szkole, które go chyba nudziły, ją zresztą też, ale o czymś trzeba było rozmawiać, a o tym, co było naprawdę ważne, nie chciała, jeszcze się go wstydziła, chociaż był jej bratem. Za dzień, za dwa, jak się z nim oswoi, jak pozbędzie się wstydu i uczucia obcości, które wciąż snuje się między nimi, opowie mu wszystko, nie dlatego, żeby on nalegał, Rafał był raczej dyskretny, o nic nie pytał, niczego nie był ciekaw, to ona miała taką potrzebę, fantazję czy kaprys, chciała, żeby wiedział...

Rafał stał przy oknie i palił, od czasu do czasu kiwał głową, zgadzając się ze swoimi myślami albo też zdecydowanie im przeczył. Coś go dręczyło.

Rozpoznała to po oczach, które nie chciały wyjść z cienia, i po układzie ust. Opuszczone usta świadczyły o smutku i przygnębieniu. On miał właśnie takie. Weronika znała się na tym, czytała przecież namiętnie ilustrowane pisma kobiece i po maturze miała zamiar studiować psychologię.

Rafał rzeczywiście cierpiał. Dręczyły go wyrzuty sumienia, nie wiedział, co z sobą zrobić i gdzie podziać oczy. Chętnie by wyjechał na dwa trzy dni w góry. Poszedłby na Giewont albo do Pięciu Stawów. W górach zawsze odnajdywał spokój i wracał z nich mądrzejszy, tym bardziej teraz, w tak ważnym dla niego momencie, powinien był to uczynić. Cóż, kiedy kończyło mu się zwolnienie, zresztą nie miał pieniędzy na wyjazd, musiał wrócić do pracy, która przestała go nagle obchodzić i sama myśl o niej uwierała dotkliwie. Jeszcze z większą niechęcią myślał o sublokatorskim pokoju. Nie chodziło mu nawet o dwuznaczne zachowanie pani Beaty, którego mógł po prostu nie zauważać, gorzej było z nim samym, tu nic nie dało się zmienić, ten pokój już. zawsze będzie przypominać mu

zbrodnię, którą chciał popełnić i w popełnieniu której przeszkodził mu docent...

Zapalał kolejnego papierosa, gdy weszła Maria.

— Ty palisz, Rafał? Nie mógłbyś... — zatrzymała się w progu i przeprosiła go uśmiechem. Nie będzie mu robić wymówek, stawiać warunków...

— Rzucę mamę, na pewno, ale nie dziś...

— Nie musisz. Rafał, niczego nie musisz... No to bierzmy się do jedzenia...

Och! Zapomniałam wam powiedzieć, że jestem wegetarianką.

— Co za problem! — roześmiała się Weronika i w dwie minuty usmażyła jej jajka na maśle. Z dumą postawiła drugą patelnię na stole. Zaczęli jeść nie szczędząc komplementów młodej kucharce, ale ich swoboda i wesołość były wymuszone, wkrótce zabrakło podniety, okazało się, że nie mają o czym rozmawiać, nic ich nie łączy. Każde z nich siedziało w jakimś stalowym pudle, niezbyt może wygodnym i pięknym, ale za to bezpiecznym, dającym złudne poczucie trwałości.

Weronika, która poczuła się naraz odpowiedzialna nie tylko za smak sałatki i jajecznicy, lecz i za atmosferę panującą przy rodzinnym stole, postanowiła ułatwić sobie i im wychodzenie z tych pudeł. Podniosła oczy na matkę i powiedziała:

— Szkoda, że babci nie ma z nami... Byłaby szczęśliwa widząc nas razem.

Zaskoczona Maria przestała jeść i zamrugła oczami. Weronika udała, że tego nic widzi, — Musisz ją poznać — zwróciła się do Rafała. — Nasza babcia jest postacią niekonwencjonalną — tak powiedziała dzieląc słowo na sylaby — nie-kon-wen-cjo-nal-ną...

Maria uśmiechnęła się drwiąco, natomiast Rafał słuchał uważnie.

— Przed Bożym Narodzeniem — ciągnęła Weronika — nasza babcia zdawała egzamin na prawo jazdy. No i wyobraźcie sobie, pobiła wszystkich na głowę, była najstarsza w grupie i najlepsza w teorii, w przepisach i w jeździe, po prostu nie do przebicia. Na niczym nie mogli jej przyłapać. Cóż, kiedy dalej jeździ na motorynce, chociaż uskładała już na malucha, ciągle nie może się zdecydować, żeby go kupić... Boi się złodziei, wymyśla wprawdzie różne inne powody, ale strach przed złodziejami jest najważniejszy...

— Och! Dzieci — Maria uśmiechnęła się do nich agrestowymi

oczami. — Dobrze mi z wami, ale muszę iść. Włączę sekretarkę. Chcecie iść na lody czy na kawę? Macie tu na wszelki wypadek parę groszy — położyła 100 tysięcy złotych na stole — na razie — uściśnęła ich oboje, uśmiechnęła się mgliście i zniknęła za drzwiami.

Na ulicy zachowywała się jak człowiek, który wyszedł z więzienia, wszystko ją radowało. Przez te dni, kiedy zmuszona była pozostawać w domu, zaszły duże zmiany, lato przejęło miasto w swoje władanie, rozgrzany asfalt parował przyjemnie, kwitły lipy i róże, niebo oddaliło się od dachów, zbieleło, a słońce wciskało się w każdą szparę i upiększało swym blaskiem nawet dawno nie odnawiane domy.

Maria zamieniła ki ka słów z dozorczynią, która nie omieszkała ucieszyć się z jej widoku, i z prawdziwą troską wypytywała ją

o zdrowie. Maria z kolei pytała o dziewczynki-bliźniaczki, które jak zwykle nie miały dokąd pojechać na wakacje i spędzały czas grając w klasy albo jeżdżąc na wrotkach po ciasnym podwórku. Miało to swoje dobre strony.

Dziewczynki odznaczały się dużym sprytem

i bystrością umysłów, a że przy tym były wścibskie i żadne wrażenie przed ich niewinnymi na pozór oczami niewiele mogło się ukryć. Wiedziały, że jakiś młody człowiek od kilku dni obserwuje dom, a dzisiaj nagle znikł, zwróciły również uwagę na policjanta w mundurze, który też się tu kręcił, lecz o nic nie pytał. Do dozorczyńki natomiast przychodziła jakaś pani z administracji i dopytywała się, ile osób mieszka wraz z Marią i kto ją odwiedza.

Dozorczyńki obsypywana przez Marię prezentami z okazji różnych świąt i imienin, jak również bez okazji, nie puściła pary z ust, to znaczy powiedziała, że mieszka właścicielka wraz z służącą i nikt poza tym. Goście należą do rzadkości. Pani chodziło o to, że sąsiedzi rzekomo składają skargi na uciążliwe lokatorki, zakłócające ciszę nocną, co było jawnym kłamstwem.

Dziewczyny, wracając o różnych porach do domu, zachowywały się wyjątkowo cicho. Maria nie urządzała hucznych imienin i wieczorów tanecznych, spotkania towarzyskie były wyjątkowo spokojne, telewizję oglądano w środkowym pokoju, żeby nie przeszkadzać innym, zresztą żadna z dziewcząt nie miała na ogół wolnych wieczorów, a telewizor włączony przed południem raczej nikomu nie przeszkadzał, wyraźnie chodziło więc o coś innego.

Maria nie zdradzała jednak oznak niepokoju, podziękowała

dozorczynie za informacje, kupiła bliźniaczkom pęk bananów, przetarła porządnie zakurzone szyby w Cinquecento i uśmiechając się do lusterka ruszyła. Nadal czuła się szczęśliwa. Nie przerażały jej zmiany, wyzbyła się lęków i wyrzutów sumienia. Będzie musiała znaleźć Rafałowi inną pracę i porozmawiać poważnie z Weroniką... Była pewna, że wszystko się ułoży, teraz kiedy pieniądz stał się ideologią i Bogiem, wiele rzeczy za jego pomocą można było załatwić, niektórzy twierdzili, że wszystko, i pewnie mieli rację. Wisłostradą dotarła na Starówkę, zostawiła samochód na parkingu i poszła na Rynek napić się kawy. Nadal bliska euforii, rozkołysana wewnątrz i roztańczona snuła plany na przyszłość. Jeżeli nawet teraz umrze mimo higienicznego trybu życia, ma już kontynuatorów. Weronika z pewnością wykona wszystkie jej polecenia, niewykluczone, że i Rafała uda się do nich nastawić pozytywnie.

Po kawie skusiła się na porcję lodów, zapłaciła, obeszła dookoła Rynek i w znakomitym nastroju wróciła do domu.

Dziewczęta po spacerze w Łazienkach wyglądały ponętnie i świeżo, malowały paznokcie i paplały beztrudnie przed włączonym telewizorem. Jedyne Jola, pełniąca w tym tygodniu dyżur w kuchni, przygotowywała kurczaka po meksykańsku na spóźniony obiad. Weronika i Rafał poszli na kawę, wobec czego Maria uznała, że nie ma nic do roboty, zamknęła się w swoim pokoju na klucz i natychmiast zasnęła.

Po kolejnej nie przespanej nocy, wróżeniu z fusów, z listków akcji, po długich rozmowach z Jolką i Kaśką, Weronika oznajmiła matce, że będzie potrzebny lekarz.

Maria po tym oświadczeniu wypiła jednym haustem kieliszek koniaku, zamknęła się u siebie i wykonała kilka telefonów, po czym zaczęła biegać po pokojach wydając dziewczętom sprzeczne ze sobą polecenia, wreszcie olśniona jakąś myślą zabrała Weronikę do Łazienek i tam chodząc z nią wśród kwitnących róż wokół pomnika Chopina zachwycała się niemowlakami wylegającymi się w wózkach na słońcu.

— Wiesz czyj to pomnik? — spytała nieoczekiwanie patrząc z uwielbieniem na Chopina.

— Mamo! - oburzyła się Weronika — za kogo ty mnie masz? Przecież każde dziecko wie, że to Chopin.

— A gdyby tak jego mama jak ty teraz, to by nie było tego pomnika.

— To byłby inny, mamo. Nie używaj takich argumentów, mówiłaś, że nie będziesz wywierać nacisków, a co teraz robisz?

— Przepraszam. Zagalopowałam się, zrobisz jak będziesz chciała, już nic więcej nie powiem. O, popatrz! Jaki słodki dzidzius. opalony, tłuściutki — podeszła do młodej matki i cmoknęła z zachwytu, pytając, czy to chłopiec, czy dziewczynka i jak ma na imię.

— Śliczniutki, prawda? - spojrzała na Weronikę, która odwracała się z odrazą od pyzatybobasków, wystawiała twarz do słońca i bezmyślnie lizała lody. Maria zrezygnowała z popołudniowej drzemki i popijając małymi łyżkami koniak czekała na lekarza, opiekującego się dziewczętami. Wczoraj podjęła decyzję i przestała się denerwować. Natomiast Weronika przeżywała istne męki. Wyglądając przez okno przechyliła się niebezpiecznie do przodu, wydawało się, że jej wiotka sylwetka przełamie się na pół, na szczęście zostawiła w spokoju okno, podeszła do drzwi i nasłuchiwała, po chwili wróciła do pokoju i ze zdziwieniem spojrzała na spokojną twarz matki. Nie miała odwagi poprosić ją

o papierosa, jeden dymek z pewnością by ją uspokoił. Wyjęła palec z buzi i znów wychyliła się przez okno.

— Mamo! — zapiszczała cichutko, ocierając się o nią żalonym spojrzeniem - wyjdę stąd. jak będziesz rozmawiać z doktorem.

— Dlaczego? Przecież to lekarz?

— Ale ja się wstydzę...

— Tak? A robić to się nie wstydziałaś? — Maria nie była w stanie powstrzymać się od drobnej złośliwości.

— Co innego robić, a co innego opowiadać o tym obcym ludziom i do tego mężczyznom.

— Nie jesteś taka głupia — posłała córce ciepłe spojrzenie. — Będą jeszcze z ciebie ludzie. Na razie zostań i przestań się miotać! O! — ucieszyła się słysząc energiczny dzwonek do drzwi. - Doktorek jak zwykle punktualny... Już, już...

— wołała biegnąc do przed-

pokoju. — Proszę! — powitała uśmiechem dobrze odżywionego mężczyznę, który już od progu kłaniał się jej, wycierając spocone czoło.

— Uf! Nie jestem przyzwyczajony do takich wędrówek — rozglądał się za wygodnym fotelem.

— Niech pan nie narzeka, doktorku. To tylko drugie piętro, a pan jest przecież młodym mężczyzną.

— Niestety nie. droga pani Mario. Dla mnie i pierwsze piętro jest za wysokie. Powinienem gdzie wyjechać, odpocząć — dobrnął do fotela i przytknął oczy.

Był to człowiek około pięćdziesiątki, z wyraźnymi skłonnościami do tycia, z niewielką łysiną, odsłaniającą czoło, o okrągłej twarzy i takich samych okrągłych, niezwykle ruchliwych i czujnych oczach. Ledwie je przytknął, już utworzył, uśmiech okraszył mu krótkie wilgotne usta. spod których wyłaniały się lekko wystające przednie zęby.

— No? — odsapnął wyraźnie zreanimowany — cóż to za pilna sprawa, z którą pani nie mogła poczekać do jutra? — w jego głosie zabrzmiała lekka wymówka.

— Mogłam — odpowiedziała Maria — ale nie chciałam. Płacę panu za to. no nie?... Pan pozwoli, moja córka Weronika. — Mimo zmęczenia doktor poderwał się chyżo z fotela.

— Jakie śliczne dziecko! — nie mógł się powstrzymać, żeby nie uszczypnąć jej w policzek i oblizał się zadowolony.

— No. no. niech pan się nie podnieca — skarciła go Maria.

— Zostaw nas samych — powiedziała do Weroniki i usiadła naprzeciw doktora. — Napije się pan?

— Nie. dziękuję, jestem samochodem — wyjaśnił doktor spoglądając z niesmakiem na Remy Martin. — Moje pacjentki mają taki sam gust jak pani. prawie wszystkie wykosztowują się na to świństwo

— pokazał na opasłą butelkę.

— Wiem, wiem. pan preferuje nalewki swojej żony.

— Tylko wytrawne — uściślił doktor.

— Właśnie, a jak ona się czuje? — spytała bez zaciekawienia Maria.

— Dziękuję. Bez zmian. Całymi dniami gra w brydża, a poza tym nic ją nie obchodzi.

— Byłoby lepiej, gdyby wypijała te swoje nalewki?

— Lepiej może nie. ale inaczej. Na szczęście ma chorą wątrobę

- roześmiał się. - A co u pani? Nie sądziłem, że córka już tak urosła. Ile to lat. pani Mario?

— Lepiej nie mówić. Chodzi właśnie o nią.

— A więc już zaczęła? Tiypelek? — zatarł z zadowoleniem ręce.

— Niech pan nie żartuje — oburzyła się Maria. — To poważna sprawa, doktorku, Ona jest w ciąży.

— Ojoj! — chwycił się za głowę. — Niedobrze, niedobrze, taka młoda, taka śliczna, delikatna, wygląda niewinnie jak aniołek. Nie mogła jej pani pilnować albo przynajmniej zaopatrzyć, w co trzeba. Nigdy nie mieliśmy takiej różnorodności środków. No, co ja będę panią uczył. Dzieci należy uświadamiać już w przedszkolu, a nawet wcześniej, gdy zaczynają mówić, potem bywa zwykle za późno... ten świat..

— Nie interesują mnie pańskie teorie pedagogiczne. Nie mam zamiaru robić żadnej rewolucji w tej dziedzinie. Potrzebuję pomocy. Dobrze za nią zapłacę. Doktor popatrzył na nią z politowaniem i wstał.

— Nie można mieć wszystkiego za pieniądze, droga pani Mario. A poza tym, prośba została skierowana pod niewłaściwy adres, ja się tym nie zajmuję.

— A jeżeli nie pan, to kto? — spytała rzeczowo.

Doktor wzruszył ramionami, oglądając z zainteresowaniem czerwoną abstrakcję wiszącą nad kanapą.

— Skąd ja mogę wiedzieć? Zna pani przepisy? Wie pani. czym to grozi.

Skończyły się żarty. Nie ma chętnych. Nikt nie chce się narażać, nawet za grubą forszę.

— Ho, ho, zagalopował się pan, doktorku — uśmiechnęła się złośliwie Maria.

- Nikt się nie chce narażać? Nikt nie chce zarobić? I ja mam w to wierzyć? — wskazała na siebie palcem. — Doktorze! Znamy się nie od dziś i pan wie, że z mojej strony nic panu nie grozi. Ona też słówka nie piśnie...

— Droga pani Mario! — westchnął doktor, rozkładając ręce

- proszę mnie również zrozumieć. Skończyłem z tym raz na zawsze. Nie ma co mnie namawiać. Zajmuję się wyłącznie leczeniem i profilaktyką. Mam już swoje lata, przecież pani wie, a do tego zasady, pani

Mario, zasady... — ujął ją za rękę, chciał ucałować, Maria wyrwała mu ją ze złością.

— Obawiam się, że tym razem będzie musiał pan odstąpić od swoich zasad i zrobić to, o co pani Maria prosi — powiedział docent wyłaniając się z przedpokojku. — Damom się nie odmawia.,. Dzień dobry — złożył przed Marią ukłon pełen szacunku, a doktorowi ledwie skinął głową.

— Kim pan jest do cholery? — zdenerwował się doktor.

— Panowie pozwolą — Maria ruchem światowej damy wykonała kolisty ruch dłonią. — Pan docent... mski. pan doktor... owicz.

Mężczyźni podali sobie ręce. Okrągła twarz doktora przypominała rozbite jajko. Z otwartych ust nie wydobyło się ani jedno słowo. Wszystkie uwięzły w drgającej nerwowo krtani i były jednakowo nieprzyzwoite.

Natomiast docent zachowywał się jak człowiek, który przyszedł rozbawić towarzystwo, zacierał z zadowoleniem ręce i rozsiewał wdzięczne uśmiechy, co jeszcze bardziej złościło doktora.

— Nie usłyszałem pańskiego nazwiska — wychrypiał napastliwie.

— Ani ja pańskiego — odpowiedział z rozbawieniem docent. — Wcale mnie to nie martwi. Tak będzie lepiej, przede wszystkim dla pana. Po cóż obciążać sobie konto jeszcze jedną kompromitującą znajomością?

— Nie rozumiem, o czym pan mówi? Co tu się święci? — zwrócił się do Marii, żądając wyjaśnień, lecz ona z dziwnym spokojem popijała koniak i najwyraźniej nie miała ochoty włączać się do rozmowy.

— Wszystko o właściwej porze — uspokoił go docent. — Proszę włożyć okulary i rzucić okiem na to zdjęcie? — podsunął mu białą-czarną amatorską fotografię sprzed lat.

— Po co mi okulary? Widzę jeszcze zupełnie dobrze — zachnął się doktor i bez zaciekawienia przyglądał się dwom niewyraźnym postaciom, pogrążonym w rozmowie na tle ponurego gmaszyska.

— Zdjęcie jak **zdjęcie** — prychnął z wyższością — właściwie bardzo słabe,.

— Nie poznaje pan siebie? — zaniepokoił się docent.

— Czy pan uważa mnie za kretyna? — rozzłościł się doktor.

— Dlaczego miałbym siebie nie poznawać? Nie cierpię na chorobę Alzheimera.

— A może pamięta pan, kim jest ten drugi dżentelmen, który się tak słodko uśmiecha do pana? - docent zademonstrował nie mniej słodki uśmiech.

— Czy to przesłuchanie? — doktor znów zwrócił się do Marii, która zdawała się niczego nie słyszeć i nie wiedzieć, jedyną rzeczą, która ją absorbowowała bez reszty, był napełniony do połowy kieliszek koniaku.

— Proszę powiedzieć, kim jest ten dżentelmen? — nalegał z anielską cierpliwością docent, nie przestając się uśmiechać.

— Cholera go wie — krzyknął poirytowany doktor — pewnie jakiś przygodny znajomy z któregoś z kongresów.

— Tutaj również on jest, ucięty w połowie — docent podsunął usłużnie drugie takie samo nieostre i niezbyt wyraźne zdjęcie.

— A pan coś podpisuje... — słowo „podpisuje” zabrzmiało jakoś groźnie w ustach docenta.

— Pewnie dedykuję mu swój artykuł — zaczął usprawiedliwiać się doktor.

— Niewykluczone, że tak jest. można jednak na tej podstawie wysnuć inne wnioski... — zawiesił głos. a doktor patrzył na niego wyczekująco z wyraźnymi oznakami niepokoju... — Można również domniemywać, że zobowiązuje się pan do współpracy? — docent cedził słowa, jakby były ze złota.

— Co? Do jakiej współpracy? — doktor zdawał się nie rozumieć o co chodzi, jego twarz pokryła się purpurą i przypominała nadtłuczoną wielkanocną pisanekę. — Co mi pan tu chce wmówić dziecko w brzuch?

— Ależ pan nerwowy, doktorze? — zapiszczał słodziutko docent. — Ojoj, takie nerwy świadczą przeciwko panu, to znaczy, że ma pan coś do ukrycia i że ja nacisnąłem właśnie w czułe miejsce,

— O co tu chodzi, do cholery! — doktor patrząc na Marię uderzył pięścią w stół. Ona w dalszym ciągu zajmowała się wyłącznie kieliszkiem. - Wciska mi tu pan zdjęcie jakiegoś faceta, którego nie pamiętam...

— On pana pamięta. On ma bardzo dobrą pamięć, pamięć to jego największy skarb...

— Któż to jest do cholery! — od wrzasku doktora zadygotała butelka.

— Ciszej, panie doktorze! — docent uniósł ręce i balansując wypiełgnowanymi dłońmi starał się go uspokoić. — Ludzie słyszą, za ścianą są dzieci i starcy. A ten gość, którego pan nie pamięta, a który dobrze się o panu wyraża, jest pułkownikiem służb specjalnych — stuknął obcasami, jakby salutując.

— Co??? — doktorowi zabrakło nagle tchu.

— Obecnie w stanie spoczynku — pospieszył z wyjaśnieniem docent, zacierając usłużnie ręce. — Wtedy był chyba majorem?

— z pytaniem w oczach zwrócił się do doktora.

— A to skurwysyn — jęknął zrezygnowany doktor i niczym zranione zwierzę opadł na fotel.

— Raczej świetny fachowiec, profesjonalista pełną gębą, coraz mniej mamy takich, coraz mniej — rozrzewnił się docent. — Tak... a pan. o ile wiem. stara się o stanowisko dyrektora szpitala — docent zmienił tembr głosu oraz mimikę. Stał się nagle rzeczowy i logiczny.

— Jeżeli ten smród rozejdzie się po środowisku, to i ordynatorem przestanie się być — rzucił w przestrzeń na nikogo nie patrząc.

— Pan mi w tym przeszkodzi? — wychrypiał doktor, jego jajkowata twarz przypominała niemowlę w beciku.

— A o czym to ja cały czas mówię? — zdziwił się uprzejmie docent. — Jasne, że przeszkodzę,

Pisanka wielkanocna zmieniła barwę z różowej na niebieską. Oczy przestały się poruszać, uciekły pod zasłony powiek, świszczące sapanie wydobywało się z piersi doktora, wydawało się, że on śpi, ale nabrał powietrza, wstał i potrząsnął Marię za ramię:

— Kim on jest? Może mi pani wreszcie powie?

— Byłem pracownikiem służb specjalnych — odpowiedziała konfidencko Maria.

— Ubo!?

— Oczywiście — potwierdziła z wdzięcznym uśmiechem.

— Pracuje dla pani?

— Takie czasy - wzruszyła ramionami. Pytanie było niepotrzebne, odpowiedź również.

— Zadzwoń na policję i skończy się ta farsa — ożywił się doktor i z groźnym spojrzeniem ruszył do telefonu.

Nikt się jego groźbą nie przejął.

— Zadzwoić można, czemu nie, ale co to panu da? — zaczął spokojnie tłumaczyć docent. — Pan przecież wie, że tam są też nasi ludzie. To po pierwsze, a po drugie, nikt nie zna mojego nazwiska, nawet pani Maria, ale niech pan dzwoni, proszę, tylko, że zanim oni tu przylecą na tych swoich wspaniałych maszynach, ja już będę daleko... daleko — jego słowa niespodziewanie przeszły w śpiew

— daleko, daleko, gdzie koczujut tumany, gdzie utrami rosa pokry-wajet trawu... - urwał nagle jakby czekając na brawa, a ponieważ ich nie było. z surową twarzą zwrócił się do doktora: — Pan zajmie się pewną młodą damą. a ja.zwrócę panu klisze i zdjęcia... natomiast pani Maria, o ile wiem. okaże panu swoją wdzięczność w brzęczącej monecie. Nie jest pan nowicjuszem, robił to pan tyle lal...

— Pan wie, że z tym skończyłem?

— Mnie to nie obchodzi. Nie jestem prokuratorem. Mam jednak nadzieję, że nie wyszedł pan z wprawy?

Doktor zagryzał wargi, oglądał swoje dłonie i nic nie mówił.

— A może chce się pan z kimś porozumieć? — zapytał łagodnie docent.

Doklor spojrzał lękliwie na zegarek, westchnął zrezygnowany i w tym momencie jakby podjął decyzję.

— Proszę zawołać córeczkę — powiedział, omijając wzrokiem Marię, która przeprosiła go uśmiechem i poszła po córkę.

Weronika weszła, rozglądając się bojaźliwie. Oczy miała spuszczone, małe dłonie z krótkimi palcami skrzyżowane na brzuchu, skuliła się w sobie.

Widząc to Maria objęła ją czule ramieniem.

— Nie bój się — szepnęła jej do ucha — pan doktor nie zrobi ci krzywdy, chce tylko z tobą porozmawiać.

— Tak — potwierdził z roztargnieniem doktor, nic patrząc na nią. — Ubierz się ładnie, albo nie, lepiej weź ze sobą jakiś wieczorowy ciuch i pantofle na szpilkach. Obowiązkowo spódniczkę mini, błyszczące rajstopy... masz wyglądać jak młodociana kurewka. Jedziesz ze mną ne weekend.

— O nie! Co pan sobie wyobraża? To przyzwoita dziewczyna

— zaprotestowała gwałtownie Maria.

— A czyja mówię, że ona jest kurwą? Ma tylko tak wyglądać. Ma wisieć mi na ramieniu, uśmiechać się, wdzięczyć i czulić... Jeżeli

pójdziemy do knajpy, a z pewnością pójdziemy i pani za to zapłaci — zapowiedział wyraźnie usatysfakcjonowany — ma się do mnie kleić, nic w ięcej. Zresztą udzielę jej po drodze odpow iednich wskazówek, będzie na to dość czasu.

— Dokąd chce ją pan zabrać? — wystraszyła się Maria.

Do zacisznego pensjonaciku — uśmiechną! się tajemniczo.

— A czy tam są odpowiednie warunki? — zaniepokoiła się znowu.

— Znacznie lepsze niż u mnie w gabinecie. Proszę się nie obawiać. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Wchodzimy w nowy etap konspiracy...

— A pańskie honorarium?

— Nic moje. Proszę mnie w to nie mieszać — zaproponował stanowczo. — Nie mam z tym nic wspólnego, wyświadczam tylko pani przysługę i to nie z własnej woli — nie mógł się powstrzymać, żeby nie okazać wrogości docentów i. który uśmiechnął się z naiwną życzliwością, jakby nie miał nic wspólnego z tą sprawą. — A co się tyczy honorarium... — doktor z miną myśliciela stał chwilę bez ruchu, po czym sięgnął do kieszeni, wyjął podręczny notesik i długopis, zamasztył ruchem napisał jakąś liczbę, podsunął ją Marii przed oczy. ale tak. żeby nikt inny jej nie zobaczył, następnie porwał karteczkę na drobne kawałki i schował ją do kieszeni wraz notesem.

— Pan zwariował, doktorku! — oburzyła się Maria — przecież za granicą byłoby taniej.

- A czy ja mówię, że nie! — rozłożył ręce - ale trzeba znać języki.

— Ona zna - odcięła się Maria — pan w to nie wierzy? Ale ja dbałam o jej wykształcenie, od przedszkola płaciłam za angielski, samej jej przecież nie puszcza, a ja nie mogę zostawić dziewczynek, diabli wiedzą, co by się z nimi stało.

— Biznes is biznes — pokiwał ze zrozumieniem głową — no jesteś — westchnął zrezygnowany, gdy z sąsiedniego pokoju wyłoniła się Weronika w ciemnych okularach i z. podręczną torbą w ręku.

— Zdejmij to! Żadnych okularów — zdenerwował się — zanadto rzucają się w czy. Masz wyglądać zwyczajnie, jak młodociana kurewka, którą poderwał starszy pan — i doktor korzystając z okazji otarł się ustami o jej policzek.

Maria pogroziła mu palcem.

Niech się pan opanuje, doktorku! Ona nie jest z branży... Jadę z wami — zdecydowała nagle.

— W żadnym wypadku. Albo ma pani do mnie zaufanie, albo... panie docencie — zwrócił się do esbeka. — Proszę wyjaśnić pani Marii, co to znaczy konspira...

— Niech mnie pan nie rozśmiesza — furknęła z niezadowoleniem — kogo pan chce uczyć? Ja już. chwała Bogu. konspiruję dwadzieścia lat. doktorku.

— W takim razie, idziemy! Zaczynj wreszcie trenować uwodzenie starszych panów — ujął Weronikę pod rękę i prowadził do wyjścia.

— Mamo. boję się — Weronika z załzawionymi oczami odwróciła się do matki.

— Jeszcze możesz zmienić zdanie. Ja cię do niczego nie zmuszam. Pamiętaj! To tylko wyłącznie twoja decyzja, żebyś do nikogo nie miała pretensji. Jeszcze nie jest za późno.

— Jest — odpowiedziała z zaciętą twarzą i już bez żadnych wahań wyskoczyła za drzwi.

Maria pokręciła z niezadowoleniem głową i odebrała telefon, który niecierpliwym brzęczeniem wzywał ją do codziennych obowiązków.

— Tak. tak, już notuję. Mam pański adres, telefon również... proszę pana. ona zawsze jest punktualna. Tak, życzę miłej zabawy

— odłożyła słuchawkę. — Co za świat — westchnęła kręcąc głową,

— Mimo wszystko trudno mi uwierzyć, żeby nasz doktorek na kogoś donosił...

Mnie też — odpowiedział z przekonaniem docent.

— To dlaczego?

— Potrzeba jest matką wynalazków...

— Nie rozumiem,..

— I bardzo dobrze... ma pani dla mnie jakieś zlecenie?

— Nie. chyba nie...

— Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę powiadomić szefa, on wie, gdzie mnie szukać. Proszę jednak pamiętać, że sprawy rodzinne niepomnie mnie nudzą... Tak, to by było... — zatarł z zadowoleniem rękę. — Zdaje się. że zapomniała szanowna pani o honorarium? — chrząknął znacząco.

— Och. przepraszam. Strasznie się denerwuję tą małą, Gów niara nie powinna tego robić — ze zboloną twarzą zaczęła szukać torebki.

— Trzeba jej było zabronić — zauważył spokojnie docent.

— W jaki sposób? — zdziwiła się. — Odkąd mamy tę cholerną demokrację, nic nikomu nie można zabronić — znalazła wreszcie torebkę w swoim pokoju, wydostała z niej zwitek banknotów i wręczyła je docentowi.

— Moje dziewczyny na was nie wyrobiją. Takie ceny! Rany boskie! - chwyciła się za głowę.

— Tak już jest, proszę pani. wraz z powiększaniem się rodziny rosną wydatki. Musi to pani polubić — skłonił się. chcąc się pożegnać. Powstrzymał go natarczywy dzwonek do drzwi.

— Proszę! — zawołała Maria przechodząc do przedpokoju dokąd zdążył już wkroczyć Polkowski z ogromnym bukietem. Marii na jego widok żywiej zybłyły oczy, serce leż wykonało jakiś dziwny kontredans. zdenerwowanie z powodu córki ustąpiło miejsca radości, którą skrywała pod ironicznym uśmiechem.

— O! mowiałam — uniosła rękę i mrugnęła do docenta. — Oto i nasz człowiek zmiażdżony przez parowóz dziejów...

— Przestań się wyśmiewać! — skłonił się przed nią z szacunkiem i wręczył jej bukiet, za który Maria podziękowała zdawkowo... — Widzisz.ja jeden w tym kraju jeszcze w miarę prosto się trzymam. Nikomu nie muszę się kłaniać i podlizywać, w ogóle nic nie muszę. A do lego mam spore widoki na przyszłość. Właśnie rozpocząłem starania o odzyskanie młyna po tatusiu i dwupiętrowej kamienicy w miasteczku Biała-Niska...

— Tobie leż. komuniści coś zabrali? — zdziwiła się nieprzyjemnie Maria.

— Tatusiowi — odpowiedział Polkowski, nie kryjąc dumy.

— Gratuluję. Będiesz mógł teraz chodzić na mityngi właścicieli nieruchomości i wrzeszczeć na cały świat o swoich krzywdach...

— Dosyć się nawrzeszczałem. — Popatrzył na nią ze smutkiem i machnął ręką. — I co z lego mam? Głodową emeryturę... Teraz trzeba spokojnie, po cichu...

— Przepraszam — docent chciał się pożegnać i wyjść, ale Polkowski, bojąc się widocznie pozostać sam na sam z Marią, zatrzymał go.

Maria wtuliła twarz w kwiaty i zmierzała z nimi do kuchni, żeby je wstawić do wody.

Po co tyle kwiatów? — odwróciła się do Polkowskiego.

— C zyżbyś się chciał oświadczyć?

— Na to nie licz! Nie przeżyłbym, gdybyś dała mi kosza.

— Przesadzasz, jak zwykle. Nie takie rzeczy przeżyłeś.

Są jednak pewne granice, których nie wolno przekraczać, choćby z uwagi na zdrowie psychiczne.

— Kogo obchodzi tw oje zdrow ie albo moje. albo jego? — wskazała na docenta i zaśmiała się szyderczo. — Sami musimy troszczyć się o nie. Proszę, częstujcie się — pokazała na barek i zniknęła w kuchni.

Ledwie wstawiła kwiaty do wazonu, zawarczał telefon.

— Cholera! — wybiegła stamtąd, pomstując na czym świat stoi.

— Muszę zatrudnić sekretarkę. Nie jestem przyzwyczajona do pracy biurowej.

— Weź docenta! — zaproponował Polkowski.

— On się nie nadaje — machnęła ręką i podniosła słuchawkę.

— Halo. hallo! — krzyknęła, lecz nikt się nie odezwał. — Nie wróży to nic dobrego — odsunęła telefon z gniewem. - On jest za drogi

— popatrzyła z podziwem na docenta — a poza tym ma jedną wadę... za dużo wie.

Doceni skłonił się, przyjmując jej słowa za pochwałę. - Chciałem ci podziękować za Artura - Polkowski wstał i z kieliszkiem w ręku szykował się do dłuższej przemowy. — Dębski wyłączy! go ze sprawy... Dlatego też...

— Nie musisz mówić, wiem — wyszarpnęła dłoń.

Kasiński spotkał się z Robaezewską... Będiesz miała dziesięć procent na swoje dzieci.

— Wiem. Nalej mi czegoś, ja też się napiję...

Wzięła kieliszek do ręki i wpatrywała się w niego, jakby tam szukając odpowiedzi na dręczące ją pytania. Z zamyślenia wyrwał ją natarczywy dzwonek do drzwi.

— Chryste! — opuściła rękę. — Co się dzieje w tym domu? Ani chwili spokoju.

— Proszę! — powiedziała Maria.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do przedpokoju wpadł Rafał

w mundurze morro, ciągnąc za sobą plecak. Oczy miał pełne niebieskiego nieba, rozchylone krwiste usta gotowe do śmiechu, cały tryskał radością i zdrowiem.

— Cześć mamó! — ucałował ją w locie — przepraszam, nie mogłem się dodzwonić z policyjnego telefonu. Wyobrażasz sobie? Jak się czujesz?

Wyglądasz na zmęczoną. Dzień dobry! — ukłonił się zdawkowo

Polkowskiemu i docentowi — wywalili mnie z mieszkania. Właściwie 10 sam uciekłem...

— Co się siało? - zaniepokoiła się Maria wskazując mu fotel.

— Przy nich możesz mówić! Nie krępuj się!

— Wiesz.... ta rozwódka, u klórej wynajmowałem pokój...

— nabrał powietrza i czuł. że krew tryska mu z policzków, a tak bardzo chciał być pewny siebie, swobodny, zuchwały. Niestety, ciągle był, zwłaszcza przy niej, prowincjonalnym wstydlwym chłopaczkiem

— na początku była bardzo miła. troszczyła się o mnie, przygotowywała mi śniadania, kolacje, aż tu nagle wczoraj coś jej odbiło, zaczęła spacerować nago po mieszkaniu, krzyczała, że jej duszno, gorąco, że umiera...

pootwierałem wszystkie okna i uciekłem do swojego pokoju. Zamknąłem się na klucz, rano bez śniadania poszedłem do pracy, a przed chwilą, korzystając z jej nieobecności spakowałem rzeczy.... no i jestem... Czy mogę zatrzymać się u ciebie?

— Zwariowałeś? Policjant w burdelu! To się robi niesmaczne

— roześmiała się.

— Tylko na kilka dni, dopóki czegoś nie znajdę... Mogę zostawić rzeczy?

— Oczywiście. Wszystko możesz, dzieciaku — poklepała go żartobliwie w policzek.

— Och! Jesteś wspaniała! — chwycił ją w ramiona, okręcił wokół siebie i wycałował. — Muszę lecieć — wysunął się do przedpokoju, lecz nie wychodził, stanął przed lustrem i rozczesywał włosy.

— Czy to mój?... — Polkowski chwycił Marię za rękę i błagał ją oczami o odpowiedź.

Maria skinęła głową.

— Naprawdę?

— Naprawdę — potwierdziła szorstko.

Syn-anonim, o którego istnieniu zapomniał, objawił się nagle w postaci dobrze zbudowanego gliniarza, pachniał wiatrem i źle

wyprawioną skórą, miał mocne ręce, szerokie ramiona i dziecinną twarz. Możesz zatrzymać się u mnie. Mieszkam sam w trzech pokojach — powiedział wsuwając głowę do przedpokoju.

Rafał przestał się czesać, rzucił szybkie spojrzenie Polkowskiemu i przeniósł wzrok na Marię, oczekując od niej wyjaśnień i aprobaty.

Maria wahała się zaciskając nerwowo palce.

— Możesz się do niego przenieść — zdecydowała niczego nie wyjaśniając.

— Dlaczego? Wolałbym u ciebie. - Rafał nie wiedział, jak się znaleźć.

— To twój tatuś. Macie wreszcie okazję się poznać — szyderczym prychnięciem pokryła wzruszenie i odwróciła się do okna.

Rafał z grzebieniem przy skroniach nadal przenosił pytające spojrzenie z matki na Polkowskiego, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Chyba nie byłby bardziej zdziwiony, gdyby w salonie jego matki wylądowali kosmici.

— Co cię tak zamurowało — burknęła ze złością Maria — wygląda chyba lepiej niż pan Smyk?

— Mamo! — zapiszczał karcąco Rafał.

— Przepraszam! — powiedziała z miną skruszonej dziewczynki i opuściła swój posterunek przy oknie — zachow uję się jak ostatnie bydło, ale mam powody, zabrali mi ciebie.

— Oni nie są niczemu winni - stanął w obronie przybranych rodziców Rafał,

— Tak zdecydował sąd. oni są...

— Dobrze, już dobrze — przerwała mu niecierpliwie. — Przywitaj się z ojcem!

— Mamo, ale przecież... — przestępował z nogi na nogę. nie wiedząc, jak się zachować.

— Wiem. Trochę za dużo tych ojców, ale od przybytku głowa nie boli. Ten jest prawdziwy... Nie mam co do tego wątpliwości. Zaufaj mi przynajmniej w tym względzie...

Rafał zatrzepotał rękami i od razu wpadł w rozpostarte ramiona Polkowskiego. Dłuższą chwilę ściskali się bardzo wzruszeni. Polkowski wytarł ukradkiem Izę, która niczym biała pszczoła wędrowała mu po policzku.

— Ale jaja... Przepraszam... — wykrzykiwał nieprzytomnie

Rafał. — To się po prostu w pale nie mieści. Niezły z ciebie numer, mamó! Nigdy bym cię nie posądził o takie znajomości... No. no. kto by się spodziewał. No. gdzie to postawić? — wskazał na rzeczy rzucone w przejściu. — Muszę lecieć. Szykują jakąś grubszą akcję. Na razie trzymają to w tajemnicy, ale miasto roi się od gliniarzy... No to lecę. Przewiozę do pana rzeczy wieczorem — uśmiechnął się do Polkowskiego — proszę zostawić adres. Żałuję, że pana wcześniej nie poznałem, może pomógłby mi pan dostać się na studia.

— Jeszcze nie jest za późno — uspokoił go Polkowski. — Masz maturę.

— Jasne. Inaczej nie mógłbym robić za gliniarza...

— W takim razie ktoś będzie musiał pokręcić głową — mrugnął porozumiewawczo do docenta.

Rafał skrzywił się z odrazą, co nie uszło uwadze Polkowskiego.

— Znacie się? — spytał.

— Miałem tę przyjemność — Docent uklonił się sztywno. — Można nawet powiedzieć, że zdołaliśmy się zaprzyjaźnić.

Rafał łypnął na niego złym okiem, ale tego już Polkowski nie zauważył.

— To świetnie — zatarł ręce. — Co chcesz studiować, synu? — położył nacisk na ostatnim słowie.

Prawo.

— Masz to jak w banku — powiódł za nim zachwyconym spojrzeniem.

Rafał pocałował malkę i wybiegi zatrzasnął z hałasem drzwi.

— Za szybko się pan decyduje, szefie — skarcił go z ponurą twarzą docent — ten miody człowiek jest nieobliczalny, powiedziałbym nawet, że niebezpieczny, szybciej działa niż myśli.

— Ja też taki byłem - odparł z dumą Polkowski. - Utemperuje się z czasem, zmądrzeje. Wygląda wspaniale. Może zechce nosić moje nazwisko?

— Na to bym nie... - docent przerwał słysząc rumor w przedpokoju. Brzęknęła szyba, drzwi odskoczyły gwałtownie od futryny i do pokoju wleciała

Weronika, za nią walcząc z zadyszka wtoczył się doktor.

— Ach te piętra — westchnął wachlując się chustką od nosa i wypatrując miejsca do siedzenia.

Przerażona Maria chwyciła córkę za rękę.

— Już? Tak szybko? Co się stało?

— Ukochana córeczka się rozmyśliła - pośpieszył z wyjaśnieniem doktor. — I to gdzie? W połowie drogi, narażając mnie na straty.

Weronika na widok docenta i Polkowskiego dygnęła niepewnie.

— Zwrócę za benzynę, doktorku — powiedziała Maria.

— Za benzynę? — oburzył się doktor. — A mój czas to co? Mój czas. to pieniądz, droga pani Mario. A ryzyko? Ryzyko najdrożej kosztuje. A moje zdrowie? Moje zdrowie jest dla mnie bezcenne! Należy się pięćdziesiąt procent ustalonej ceny.

— Pan zwariował, doktorku! — Maria załamała rękę.

— Jeszcze nie, ale jak będę miał dłużej z panią do czynienia, na pewno wyląduję w Tworkach.

— Wymawia mi pan pracę, doktorku?

— Pani Mario? Czyja wyglądam na kogoś, kto nie dotrzymuje słowa? Za kogo mnie pani bierze? Spieszę się. pacjentki czekają, a córeczkę proszę przyprowadzić za dwa tygodnie na badania.

— Posiał Weronice uwodzicielski uśmiech.

Tym razem Maria wolała udawać, że nic nie widzi.

Dziękuję doktorku, jest pan wspaniały, ale obdziera mnie pan ze skóry — przeliczyła dokładnie pieniądze na boku i wręczyła mu.

— Dziewczyny nie wyrobiją na was przy tej drożyznie...

— Musi pani podnieść stawkę choćby dla wyrównania inflacji

— poradził życzliwie.

Maria skinęła ze zrozumieniem głową. - Nie rozumiem, co to wszystko znaczy? - spytał z niezbyt mądrą miną Polkowski. — I o co tu chodzi? — popatrzył z pretensją na Marię.

— Co tu jest do rozumienia? — powiedziała znużona. — Będiesz po prostu dziadkiem. No. co tak stoisz jak kołek? — naskoczyła niespodziewanie na córkę. — Idź! Przywitaj się z ojcem

— popchnęła ją do niego.

— Mówiłaś, że ona...? — przypomniał Polkowski.

— Mówiłam, mówiłam — prychnęła z niezadowoleniem Maria.

— I co z tego? Teraz też mówię. Przywitaj się z nim! — rozkazała Weronice.

— To twój tatuś.

— Jesteś pewna? — Polkowski nie mógł uwierzyć.

— Na sto procent - prychnęła tym samym tonem Maria

— a jeżeli mi nie wierzysz, zaprowadź ją na badania, teraz mają takie sposoby, że żaden skurwiel nie wykręci się od ojcostwa...

— Och! Tato! Tak cię cieszę! — zawołała Weronika, rzucając mu się w ramiona. Tym spontanicznym odruchem rozproszyła ostatni cień dręczących go wątpliwości. — Powiedz wreszcie, gdzie ja cię widziałam? Występowałeś w telewizji?

— Kiedyś ci opowiem. Będziemy mieli na to dość czasu, teraz, chciałbym się dowiedzieć, gdzie byłeś z doktorem?

Weronika posiała Marii rozpaczliwe spojrzenie. Dopiero co poznanemu ojcu wstydziła się wyznać prawdę. Dla niego chciała być znowu niewinnym dzieckiem, chodzić do szkoły i przykładowo odrabiać lekcje. Maria jednak przestała się nią zajmować, mówiła coś do docenta, który z niezwykłym u niego roztargnieniem kłaniając się zmierzał za doktorem do drzwi.

— Ale się porobiło! — wykrzykiwał kręcąc głową — ale się...

— nawet jego ten splot dziwnych przypadków zaskoczył i oszołomił. W tym zamieszaniu Polkowski zapomniał, czego się chciał dowiedzieć od córki, rzucił się za przyjacielem do przedpokoju, złapał go za ramię. Nagle obaj zmuszeni byli cofnąć się do środka. Jakieś dziwne rzeczy działy się w tym domu. ledwie doktor pociągnął za klamkę, a drzwi popchnięte od zewnątrz, rozwarły się z trzaskiem a do przedpokoju wtargnęli uzbrojeni po zęby policjanci. Prowadził ich miody porucznik, który siłą wyciągnął doktora zza ubrań i kazał mu wejść do pokoju.

— Stać! Nie ruszać się! — wrzasnął wkraczając do salonu

— Obstawić okna i drzwi! — rozkazał policjantom, z których dwaj od razu stanęli przy oknach z bronią gotową do strzału, korpulentny sierżant z twarzą czerwoną i gniewną zagroził sobą wyjście i lustrował obecnych niewielkimi oczkami.

— Maria Jędraszek. to pani? — porucznik wycelował w nią palec, jakby chcąc ją przebić na wylot. Maria nie cofnęła się. stała wyprostowana i mierzyła go dumnym spojrzeniem.

— Tak — potwierdziła, — To mieszkanie należy do mnie i pan nie ma prawa wkraczać tu ze swoimi ludźmi bez uprzedzenia. Niech pan popatrzy, co oni mają na nogach. Zniszczą mi podłogi.

— Mamy nakaz rewizji — obwieścił triumfalnie porucznik.
— U mnie? — wykrzyknęła ubawiona Maria. — No nie, tego jeszcze nie było. Kto go wydal? Kto wpadł na ten genialny pomysł? Proszę mi pokazać ten nakaz!
Porucznik ruchem pełnym ważności podsunął jej urzędowe pismo.
Maria obejrzała je marszcząc czoło.
— Nie widzę bez okularów — zmrużyła oczy. - Może pan przeczyta, panie docencie?
— Chętnie — docent wziął pismo z jej rąk.
— Podpisał Jacek Wawrzyniak. Młody czy stary? - zwrócił się z pytaniem do porucznika.
— A pan go zna? — zaniepokoił się porucznik.
— Owszem. Starego — potwierdził docent.
— A to podpisał młody — zauważył porucznik, nie kryjąc satysfakcji.
— To dobrze — ucieszył się docent. — Byłoby mi przykro, gdyby starego spotkały z tego powodu jakieś przykrości.
— Jakie przykrości? — nadał się porucznik. — Co pan mi tu pieprzy?
— Nadużywanie władzy nikomu jeszcze nie wyszło na zdrowie, więc niech pan uważa — w głosie docenia zabrzmiała groźba
— chciałbym panu zwrócić uwagę jeszcze na jeden istotny szczegół, ja nie pieprzę, panie poruczniku, ja mówię.
— Kim pan jest do cholery? — doskoczył do niego porucznik.
— Obywatelem wolnego, demokratycznego kraju, tak samo jak i pan — odpowiedział z godnością docent.
— Nazwisko! - nie rezygnował porucznik.
— Pan mi się nie przedstawił, to i ja nie widzę powodów
— docent powolnym ruchem wsunął dłoń do kieszeni.
— Ja mam prawo zażądać od pana dokumentów.
— Oczywiście, ma pan takie prawo — potwierdził spokojnie docent.
— Panie poruczniku, niech go pan zostawi — odezwał się milczący dotąd sierżant, — On nas nie interesuje, bierzmy się za tę cholerną rewizję...
— Zaraz, zaraz - przystopowała go Maria. — Czego wy chcecie

szukać? Broni? Nie mam — zerknęła z przestrachem na docenta, który w lot zrozumiał, o co chodzi, i żeby ją uspokoić, zgniótł kieszenie w palcach, pokazując w ten sposób, że nic tam nie ma. Maria podziękowała mu uśmiechem i pytała dalej. — Materiałów wybuchowych? Też nie. Nie trzymam również cezu i plutonu pod łóżkiem. Haszu i innych prochów też nie ma. U mnie jest dyscyplina, dziewczyny za branie wylatują z roboty. Co jeszcze może was zainteresować? Nie zajmuję się przemytem alkoholu, to chyba wiecie?

— Biercie się do roboty! — rozkazał porucznik i kciukiem przypominającym serdelek pokazał policjantom drzwi, wiodące do pozostałych pokoi.

— Stać! — krzyknęła Maria purpurowa zezłości. — Niepozwolę demolować mieszkania. Za ciężko na nie pracowałam.

Policjanci zachichotali.

— Z czego się śmiejecie? — naskoczyła na nich. — No, z czego? Myślicie, że mnie manna leci z nieba? Gdyby tak któryś z was harował przez dwadzieścia lat tak jak ja, ręczę, że nabrałby szacunku do człowieka pracy...

— Sprawdzić wszystkie pomieszczenia — wibrujący energią głos porucznika wprowadził w ruch policjantów, rozbiegli się po pokojach i powyciągali z łóżek dziewczyny, przerywając im popołudniową drzemkę.

Kaśka zdołała narzucić na siebie przezroczysty szlafroczek, natomiast Jolka była tylko w krótkiej bawełnianej koszulce. Obie bez makijażu, blade, zmęczone, widać że odsypiały pracowite noce, jedynie Agata zdążyła się ubrać w luźne spodnie i miękką jedwabną bluzkę w kolorze poziomek.

Wszystkie trzy otoczyły wianuszkami Marię i tuliły się do niej jak mokre pisklęta.

— Tylko tyle ich? — zdziwił się porucznik.

— A co pan myśli? — ofuknęła go Maria — że ja tu trzymam cały zespół baletowy? No. co żeście znaleźli — krzyknęła na policjantów. — Gdzie są dowody moich rzekomych przestępstw? Gdzie te kałasznikowy? Granaty? Jeden z policjantów, wysoki chudy młokos z jasnym zarostem wyrzucił na stół kilka opakowań kondomów.

— Jednak coś jest — zawołał radośnie porucznik.

— Niech się pan nie podnieca, poruczniku — ostudziła go Maria
— takie rzeczy znajdują się w każdym przyzwoitym domu.
— A pani zna jakieś przyzwoite domy? — zapytał z dwuznacznym uśmiechem i z zaciekawieniem oglądał kondomy.
— Proszę sobie wyobrazić, że znam.
— Współczuje tym domom — pokiwał smętnie głową. — Mam nadzieję, że wreszcie ukażą się odpowiednie przepisy i nie będzie można ot tak sobie kupować tych świństw w każdej aptece.
Maria roześmiała się dźwięcznie.
— A po ukazaniu się ich wzrośnie dobrobyt, zniknie bezrobocie i każdy dostanie po sto milionów.
— Jest pani komunistką?
— Niech się pan puknie, o tu — pokazała wymownym ruchem na czoło. — Co mi pan tu wmawia! Naprawdę żyć już nie można w tym kraju. Dla was każdy, kto ośmiela się myśleć, jest komunistą...
— prychnęła ze złością i ruszyła do przedpokoju, gdyż usłyszała niecierpliwe terkotanie dzwonka u drzwi wejściowych. Porucznik zatrzymał ją w pół drogi i kazał chudemu policjantowi otworzyć.
Do pokoju wkroczył ciężkim krokiem otyły listonosz, torując sobie drogę wypchaną torbą.
— Dzień dobry, pani Mario! — zawołał radośnie. Widok policjantów wcale go nie zdziwił, pogrzebał w torbie i podszedł do Marii.
— Pani konspiruje? — zapytał szeptem.
— Kto wie — roześmiała się Maria. — No co tam dobrego?
— Polecony! Proszę pokwitować!
Maria podpisała, wręczyła listonoszowi suty napiwek i wyciągnęła rękę po list. Porucznik był jednak szybszy i wyrwał go.
— Podam pana do sądu — zagroziła Maria — obowiązują chyba jakieś prawa w tym kraju, a więc i tajemnica korespondencji?
— W niektórych szczególnych przypadkach już nie — odparł porucznik przelatując wzrokiem po piśmie skierowanym do Marii. ..Fundacja na rzecz dzieci chorych. — Czytał głośno coraz bardziej zdumiony - Aleje...
Warszawa, Nr konta...
Droga Pani Mario!
Proszę przyjąć nasze gratulacje i wyrazy najwyższego uznania. Dzięki pani pomocy uratowaliśmy już szóste dziecko. W imieniu

naszych pacjentów i ich rodzin wyrażamy nasze podziękowanie. Jest pani wspaniałym człowiekiem o gorącym sercu. Mamy nadzieję, że zechce pani zaszczyścić swoją obecnością uroczysty koncert z udziałem znanych artystów scen polskich. Dochód z imprezy przeznaczony zostanie na ratowanie naszych dzieci. Po koncercie zapraszamy Panią na tradycyjne spotkanie z artystami przy lampce wina.

Z wyrazami najwyższego szacunku — profesor M. Staniszewski".

— Co tu jest grane, do cholery! - dopytywał się porucznik, tracąc jakby pewność siebie. — Pani ratuje chore dzieci?

— To nie jest jeszcze zabronione — odpowiedziała z godnością Maria.

— Bierzmy ją i chodźmy stąd — powiedział sierżant. — Nie podoba mi się ta sprawa.

— Kogo chcecie brać? — spytała cicho Maria. — Mnie? Co ja takiego zrobiłam? O co jestem oskarżona? Mam chyba prawo wiedzieć?

— Zaraz i do tego dojdziemy — obiecał porucznik z arogancką pewnością siebie. — Przed tym jednak chciałbym wiedzieć, co robią ci faceci w pani mieszkaniu?

— O. wypraszam sobie takie słowa. Skąd się pan wziął, panie poruczniku — pokręciła karcąco głową. — Czy pan w ogóle chodził gdzieś do szkoły?

— Nie pani sprawa — burknął nie podnosząc oczu — pytam kim są ci ludzie?

— To już lepiej poruczniku — ucieszyła się Maria — jak się pan jeszcze trochę podciągnie, odpowiem.

— A więc dobrze. Kim są ci panowie?

— No... — pochwaliła go — Pan pozwoli: doktor Kotowicz, lekarz ginekolog, znany w kraju i za granicą.

— Bardzo mi przyjemnie — ukłonił się porucznik. — Co pan tu robi doktorze?

— Pracuję, jak wszyscy... Badam dziewczęta, panie poruczniku. Czy tego też już nie wolno robić? Czy naruszam w ten sposób jakieś przepisy?

— Na razie nie, ale to tylko kwestia czasu, wezmą się i za was, doktorze, za dobrze wam się wiedzie...

— A to jest pan... — dokonywała prezentacji Maria wskazując na Polkowskiego.

— Wiem. wiem. nie potrzebuje pani mówić. Burdel to odpowiednie miejsce dla niego.

— Dla pana, jak widać, też - odciął się Polkowski — ale ja pana nie obrażam z tego powodu, natomiast...

— Ja tu jestem...

— Natomiast pan — nie pozwolił sobie przerwać Polkowski

— cały czas zachowuje się arogancko, na każdym kroku łamie pan prawo, a tu jak na razie jest wolność i demokracja i wszyscy są równi, nie ma równiejszych... Wszystkich obowiązują te same prawa... Skończyły się przywileje...

— Znalazł się obrońca praw człowieka — rozzłościł się porucznik.

— Niech pan nie wywołuje awantur, poruczniku — uspokajał go sierżant — opierdola pana albo nie daj Boże przeniosą do jakiejś psiej dziury... on ma wielu zwolenników, nawet wśród naszych ludzi

— szepnął konfidencjonalnie.

— Cholery na nich nie ma — zawył porucznik, jakby go przypieczono rozpalonym żelazem. — A co z tym? — wskazał na docenta.

Sierżant machnął ręką.

— A pana to będziemy mieli na oku — powiedział do doktora.

— Bardzo się cieszę — uśmiechnął się drwiąco doktor. — Widzę, że pańscy dzielni chłopcy nie mają nic lepszego do roboty. Bardzo im współczuję. Bezczynność jest strasznie męcząca i źle wpływa na morale... dlatego też wraz ze wzrostem bezrobocia rośnie przestępczość i...

— Pan, zdaje się, chce wylądować za kratkami?

— Marzę o tym. poruczniku — roześmiał się doktor.

— Robi się późno, a pan tu prowadzi dyskusje ideolo — zdenerwował się sierżant.

— Ma pan rację, sierżancie — zgodził się porucznik. — Bierzmy się do roboty! Proszę się ubrać! — popatrzył groźnie na Marię.

— Idzie pani z nami!

— Też coś — wzruszyła ramionami. — Nie mam na to najmniejszej ochoty.

— Co pani powiedziała? — skrzywił się porucznik i mrugnął do sierżanta.

— To co pan słyszał — odpowiedziała. Sierżant natychmiast znalazł się przy niej.

— W imieniu prawa aresztuję panią — porucznik z niebywałym patosem wygłosił formułkę znaną mu z amerykańskich filmów, sierżant wprawnym ruchem założył jej kajdanki.

— Chwileczkę - ofuknęła go ostro. — Niech mnie pan nie szarpie. Jestem mało odporna na ból. Przecież nie uciekam. Ma pan nakaz? Proszę pokazać - spokojnie aczkolwiek zdecydowanie zwróciła się do porucznika. — Muszę wiedzieć, kto go podpisał? Ten sam Wawrzyniak?

— Ten sam — potwierdził radośnie porucznik, pokazując jej nakaz aresztowania.

Maria obejrzała go i zwróciła mu.

— W porządku — orzekła. — Teraz proszę zdjąć te breloczki. Miałam się ubrać, no nie? A jak mam to zrobić? — potrząsnęła kajdankami, demonstrując w ten sposób swoją bezradność. — Przecież ci dzielni chłopcy — wskazała na policjantów pilnujących okien i drzwi — nie pozwolą mi zrobić nawet dwóch kroków. Czy mogę zabrać szczoteczkę do zębów i lekarstwa?

— Pani jest chora? — zaniepokoił się porucznik.

— Tak, jestem — potwierdziła — ale niech się pan nie przeraża. To nie ta choroba, o której pan myśli. Nerki, proszę pana, ściślej mówiąc pęcherz. Będziecie musieli umieścić mnie blisko ubikacji...

Po krótkiej naradzie z sierżantem porucznik uwolnił ją od kajdanków.

— Dziękuję poruczniku - uśmiechnęła się do niego — jednak potrafi być pan miły. Może będzie pan tak uprzejmy i powie, o co jestem oskarżona?

— To pani nie wie? — zdziwił się. — Przecież zajmując się stręczycielstwem, musiała się pani liczyć z taką ewentualnością. Czerpanie zysków z nierządu według naszego prawa jest karalne.

— To trzeba udowodnić.

— A pani myśli, że my działamy w ciemno? O nie! Teraz takich rzeczy się nie robi. Jest demokracja...

— A jakież to dowody ma pan Wawrzyniak?

— Nie do podważenia, proszę pani — mówił wolno rozkoszując się każdym słowem. — Najbardziej obciążają panią zeznania naocznego świadka.

— Naoczny świadek? — powtórzyła jak echo. — A cóż to za nowe metody?

— Stare jak świat — pospieszył z wyjaśnieniem docent — stosowane z upodobaniem przez wszystkie reżimy. Podstawili pani jakąś dziewczynę, która z nimi współpracuje. Panienka złożyła donos i będzie zeznawać przeciwko pani. Jej dadzą premię, a pani pójdzie siedzieć. Żal mi dziewczyny. Premia, sądząc po stanie ich kasy, nie będzie wysoka.

— Kurde! — chwyciła się za głowę Maria — kapuś w moim domu! To się w pale nic mieści. Tego jeszcze nie było. Owszem, zdarzały się kradzieże, pijatyki, a nawet bójkі, dziewczyny też lubią się targać po szczękach, ale żeby tu ktoś kablował? Nie! Tego nigdy nie było — przeleciała rozwścieczonym spojrzeniem po zszarzałych ze strachu twarzach pańienek, otworzyła usta, nabrała powietrza i uderzyła się po głowie.

— Grzybki w śmietanie! Jasny gwint! Od razu wydały mi się podejrzane — doskoczyła do Agaty i wymierzyła jej siarczasty policzek, następnie chwyciła ją za włosy i potrząsnęła nią kilka razy. Porucznik taktownie powstrzymał się od interwencji. — Z cebulką? Tak? — krzyczała Maria szarpiąc Agatę za włosy. — Oszustka! Kłamczucha! Patrzcie na tę sierotkę gwałconą i bitą przez własnego męża. Patrzcie na ten okaz prawdziwej kurwy, która sypie swoich przyjaciół. - Maria z obrzydzeniem, które zdeformowało jej twarz, splunęła na nią. Zanim porucznik spostrzegł, co się dzieje, dziewczyny uczyniły to samo. — Ja nie kłamałam — jęknęła wycierając ślinę Agata. — On mnie zgwałcił, gdy miałam szesnaście lat.

— Stul pysk! — krzyknęła Maria. — Jesteś gównem. I spadaj pókiś cała. Nikogo już nie nabierzesz na tę swoją martyrologię. I nie licz na żadną firmę. W tym fachu obowiązuje uczciwość.

— Mogę wziąć swoje rzeczy? — spytała wystraszona.

— Byle szybko!

Agata pobiegła do pokoju i wyniosła stamtąd oskubaną walizkę, z którą tu przybyła.

Policjanci na znak dany przez porucznika pozwolili jej wyjść.

— Ty też się zbieraj! — zwróciła się do Kaśki zmienionym głosem. — Nie masz tu nic do roboty. To ścierwo przyszło z twojego polecenia.

— Ja jestem niewinna — zawyła Kaśka i runęła Marii do nóg. — Niech mnie pani nie wyrzuca. Błagam. Ja nie mam dokąd pójść. Ja nie wiedziałam. To przez to głupie serce. Chodziłyśmy razem do szkoły, zawsze była w porządku. Skąd mogłam wiedzieć, że kabluje? Przecież pani mnie zna. ja bym nigdy, prędzej bym się zabiła... Niech się pani zlituje, ja już nigdy, nigdy nikomu nie zaufam, żeby tam nie wiem co. Dziś jestem umówiona z hrabią...

— Dobra! Nie rób przedstawienia. Zastanowię się jeszcze. Na razie możesz zostać. Chryste! Jaka ja byłam głupia! Tak się dać nabrać... Panie docencie, niech pan na mnie splunie, należy mi się.

— Nie sądzę — powiedział poważnie zmartwiony.

— Uwierzyłam w piękne słówka, tak. niech pan nie zaprzecza. Myślałam, że będzie prawdziwa wolność, a tu aż się roi od kapusiów... Tak. pójdę po to lekarstwo — westchnęła z rezygnacją i wyszła.

W kuchni do butelki po kroplach nasercowych nalała koniaku, następnie zapakowała czekoladę, krakersy, kilka soczków pomarańczowych, kosmetyki, ręcznik, dres i ciepły sweter. Z niewielką torbą w ręku. spokojna i opanowana wróciła do salonu.

— Pora odpocząć — uśmiechnęła się do Polkowskiego, który wybiegł jej na spotkanie i z ogromnym wzruszeniem pocałował ją w rękę. Wyglądał jak stary, wyliniały wyżeł po stracie swego pana.

— Mówiłem, żebyś trzymała się z dala od polityki — zamrugał oczami.

— Nie martw się! Jeszcze nie umieram. Ze mną im tak łatwo nie pójdzie. Postaraj się powiadomić Dębskiego.

— Szkoda fatygi! Odwołany! — poinformował ją usłużnie porucznik. — Dobra wiadomość, co? — zatarł ręce z uciechy.

— Panie poruczniku! Niech się pan tak nie cieszy — przywołała go do porządku Maria. — Ten się śmieje, kto się śmieje oslatni... A co sądzisz o Jacku Wawrzyniaku? — spytała Polkowskiego.

— Żal mi go — odparł w zadumie. — Biedny człowiek, nie wie co czyni.

Docent kiwnął aprobowująco głową. Maria uśmiechnęła się ze zrozumieniem.
— No, niech pan tu daje te swoje breloczki — powiedziała do sierżanta, który pogrząkał kajdankami.

Porucznik w ostatniej chwili zmienił zdanie i kazał mu je schować.

— Idziemy — powiedział do Marii.

Policjanci oderwali się wreszcie od okien i otoczyli ją szpalerem. sierżant kroczył na przodzie. porucznik z miną zwycięzcy zamykał pochód.

Tego dnia nikł Marii nie przesłuchiwał. Zamknięto ją w jednoosobowej celi z cuchnącą kabiną, w której mieściła się ubikacja. Porucznik z całą powagą potraktował chorobę Marii. Nie zrewidował jej. niczego nie zabrał, miała więc swoje krople i soki, które popijała, starając się zachować zimną krew. Wierzyła w docenta, a gdyby ją zawiódł, miała jeszcze w odwodzie adwokata. Ten wprawdzie nie był nawet w jednym calu tak lotny jak docent, ale w sytuacjach trudnych potrafił działać skutecznie. Jutro zażąda w idzenia się z nim. Prokurator będzie musiał spełnić jej prośbę. Bez konsultacji z mecenasem Radwańcem nie wydusi z niej jednego słowa. W razie czego ogłosi głódówkę, docent zawiadomi prasę, a ona wystosuje odezwę do dziewczynek, które zagrozą strajkiem generalnym. Nie sądziła jednak, żeby doszło do użycia ostatecznych środków. Do jutra docent powinien wymyśleć jakiś sposób na Jacka Wawrzyniaka.

Po wypiciu kropelek zrobiła się ciężka i senna, przebrała się w dres, przykryła swetrem i nie zważając na przekleństwa, bieganinę i krzyki dochodzące zza drzwi, wkrótce zasnęła. Musiała nabrać sił, żeby od rana odparowywać ciosy. Od początku wiedziała, co jest grane, noc w areszcie miała ją zmiękczyć i zachęcić do mówienia. Stręczycielstwo, o które została oskarżona, było tylko pretekstem, chodziło o „dom schadzek”, a konkretnie o powiązania Kasińskiego z biznesem, o firmy konsultingowe, koncesje i prowizje, czyli inaczej mówiąc o zwyczajne łapówki,

Polkowski za późno ją uprzedził, może ten ochroniarz niewiele

wiedział. Deptali jej po piętach, to jasne, lecz nie o nią im szło. przy jej pomocy chcieli zapolować na grubszą zwierzynę. Niech sobie polują. Maria nie miała ochoty nadstawiać za nich karku, ale też nie zamierzała wcale ułatwiać życia jakiemuś Wawrzyniakowi, który nasłał na nią policję. Z małego okienka przy suficie wpadało mętne światło, wskazówki ręcznego zegarka wskazywały za dziesięć szóstą. W celi panował nieznośny zaduch, śmierdziało moczem, papierosami i pleśnią. Za ścianą ktoś chrapał, pośw istując rytmicznie. Maria nie była w olimpijskiej formie, bolały ją wszystkie kości i głowa, chwilę poleżała nasłuchując i przystąpiła do porannych ćwiczeń. One trzymały ją przy życiu, były niezawodnym lekarstwem na chandry i złe nastroje, na nie przespane noce i na kłopoty. Leżąc na plecach opuszczała powoli nogi, unosiła się na rękach i wyginała brzuch, następnie wyciągała prawą rękę w przód i lewą nogę w tył, i tak na zmianę, każde ćwiczenie powtarzała dziesięć razy. Po pół godzinie ból w stawach ustąpił i pol zalewał jej oczy, na dresie wyrosły ciemne plamy. Zaczęła walić w drzwi. Zjawił się zaspany policjant z kluczami.

— Czego? — zapytał przez próg.

— Muszę wziąć prysznic — oznajmiła twardo.

— Co?

— Nie zna pan słowa prysznic? Mam okres, śmierdzę, sama z sobą nie mogę wytrzymać.

— Chwileczkę — mruknął zdezorientowany i zamknął drzwi na klucz.

Wrócił po chwili i kazał jej iść za ziewającą rozmamłaną policjantką, utlenioną na jaskrawy blond, która wskazała Marii odsłoniętą kabinę, a sama rozsiadła się przy wejściu na koślawym taborecie i drzemała. Maria na drugim takim samym taborecie ułożyła swoje rzeczy i wskoczyła pod prysznic, mydliła się i spryskiwała z rozkoszą, dziękując Bogu za tak wielki dar. jakim była woda. ona przywracała jej siły i chęć do życia. Wytała się swoim ręcznikiem, spryskała wodą kolońską, nakremowała twarz i ubrała się. Policjantka odprowadziła ją do celi. Kiedy zamykała drzwi, Maria odważyła się poprosić ją o kawę, powiedziała, że zapłaci każdą cenę. Policjantka nie odpowiedziała ani tak. ani nie, odeszła

bez słowa. Po kilku minutach do celi, grzechocząc kluczami, weszła sprzątaczką z dymiącym kubkiem prawdziwej kawy.

— Wsypałam dwie łyżeczki cukru — powiedziała na powitanie — nie wiem, czy starczy?

— Dziękuję, bardzo dziękuję — Maria miała ochotę ucałować okrągłą twarz kobiety o niskim czole, wciśniętych głęboko pod czaszkę oczach i rozrośniętych policzkach. W porę się powstrzymała, wydołała z torebki sto tysięcy złotych i dała jej. Kobieta wzięła banknot do ręki i patrzyła . kręcąc z niezadowolaniem głową.

— To za dużo - orzekła wreszcie i zaczęła grzebać w kieszeni przybrudzonego fartucha w drobną łączkę.

— Ależ nie — zaopanowała Maria. — Proszę wziąć!

— Nie. nie wypada, to grzech wykorzystywać drugiego człowieka. Proszę! — wygrzebała z kieszeni resztę i położyła na pryczy, nic sobie nie robiąc z protestów Marii. — Może chce pani coś do zjedzenia, jakąś bulkę i kawałek kiełbasy?

— Broń Boże! — przeraziła się Maria, której na samą myśl o jedzeniu żołądek wywracał się na drugą stronę. — Dziękuję, nic nie chcę, jest pani bardzo miła.

— Niech panią Bóg ma w swojej opiece. — Kobieta pożegnała ją znakiem krzyża i wyszła.

Maria poczuła się niemal szczęśliwa, pachniała czystością, piła prawdziwą kawę z cukrem, paliła goldena. — Jak niewiele człowiekowi potrzeba do szczęścia — pomyślała — tylko, że on o tym nie wie, wciąż za czymś goni, czegoś szuka, naraża się na niebezpieczeństwa

I przykrości, podczas gdy szczęście kryje się w rzeczach małych a nawet przyziemnych.

Tego dnia rano mieszkanie Marii przypominało dom pogrzebowy, a Jolka i Kaśka — dwie młode wdowy, którym sycylijska mafia wysadziła w powietrze ukochanych mężów i ojców. Nie spały przez całą noc. tylko gdzieś dzwoniły i jeździły, usiłując coś załatwić. Teraz miały podpuchnięte oczy, blade pomięte twarze i biegały jak szalone po całym mieszkaniu. Kaśka z chusteczką przy nosie wędrowała od jednego okna do drugiego, płacząc i lamentując. Jolka zasłoniła rękami twarz i pochlipywała,

Na ich tle Weronika wyglądała jak uosobienie spokoju i rozwagi. Umyta i uczesana, w krótkiej bawełnianej sukience bez rękawów przesuwiała się z odkurzaczem po pokojach i czyściła, co tylko wpadło jej pod rękę. Po wczorajszym najeździe Hunnów wszystko było nieświeże, zbrukane, brudne i zakurzone. Toteż jako córka Marii czuła na sobie brzemień odpowiedzialności i starała się przywrócić dywanom i meblom ich dawny wygląd. Przeszkadzały jej w tym dziewczyny, które nie dość, że snuły się po mieszkaniu jak dwie zawodowe płaczki i w niczym nie pomagały, to jeszcze strząsały na podłogę popiół z papierosów, chlapały koniakami na dywany i gasiły pety w kieliszkach.

— Przestańcie! Kurde! — rozzłościła się — uszy puchną od waszych jęków. Może by tak któraś poszła do kuchni i przygotowała śniadanie! 'Od wczorajszego obiadu nic nie jadłam, ssie mnie w dołku. Jolka! Zgaś tego papierosa i otwórz okno! Nie mam zamiaru urodzić przez was debila... No, weźcie się w garść! — złagodniała nieco. — To w końcu moją matkę przymknęli, no nie? To ja powinnam rozpocząć, rw ać sobie włosy z głowy i płakać, a jak widzicie, jakoś się trzymam...

— Co ty tam wiesz — wytarła głośno nos Jolka i popatrzyła na nią jak na półgłówka. - Ona była dla nas w ięcej niż matka, więcej niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi...

— Wszystkiego mnie nauczyła — włączyła się Kaśka z pochłapywaniem. — Kiedy tu przyszłam, wyglądałam jak zdzira. Ona doprowadziła mnie do porządku, posłała na kurs angielskiego. Po jednej rozmowie ze mną wiedziała, że jestem zdolna...

— Ćpałam, rozumiesz — Jolka ze złością wyłączyła odkurzacza

— wyglądałam jak kościotrup, gorzej od tych, co koczują pod kolumną... a ona... Nie znasz jej, nic o niej nie wiesz... ona jest z żelaza, rozumiesz? - przemawiała do Weroniki, wygrażając pięściami — prawdziwy człowiek z żelaza to ona, niech mi tu nikt nie pieprzy! — groziła komuś niewidocznemu pięścią, a z jej twarzy spływały wolniutko grube, nabrzmiące łzy... — Trzymała nas krótko, nie powiem, jak w klasztorze, ale też dzięki niej żadna nieczuła się jak szmata... Żyłyśmy luksusowo, bez tych cholernych lęków o pracę, o przyszłość i co? Przychodzi taki szajbnięty debil i robi z nas jaja...

— Nie martw się! — zły uśmiech pojawił się na twarzy Kaśki.

— Moja koleżanka z ławy szkolnej dostała za swoje... Niech ją szlag...

Musi być jakaś sprawiedliwość, no nie? — zmrużyła czarne okrągłe oczy i zapatrzyła się w dal.

— Co jej zrobiłaś — przeraziła się Weronika.

— Ja! Nic. Ja się nie nadaję do mokrej roboty. Od tego są spece. Ja wyłożyłam walutę...

— I co. zabili ją? — Weronika zamarła w miejscu i patrzyła na nią z rosnącym podziwem.

Kaśka spojrzała na zegarek i pokręciła głową.

— Sądzę, że pogotowie przyjechało na czas. Nie chciałabym mieć na sumieniu takiego gówna.

— Mama zmyje ci za to głowę — powiedziała Weronika z trudem dochodząc do siebie po tym, co usłyszała.

— Albo pochwali — odpowiedziała grubym głosem Kaśka i wytarła energicznie oczy. Była w nich zawziętość i złość. — Porządek musi być. Nie jesteśmy w przedszkolu, a zresztą, czy w przedszkolu jest lepiej? Wszędzie ten sam szajs. Jeżeli raz komuś popuścisz, przegrywasz na całej linii — zasłoniła twarz chusteczką i od nowa wybuchnęła płaczem.

— Cicho! Spokój. Co wy wyprawiacie do jasnej cholery! - Weronika nie wiedziała już, jak do nich przemawiać. — Po co ta rozpacz? Nikt nie umarł. Mama nie da się zrobić w konia. Ojciec też ma głowę nie od parady. Nie zostawi jej bez pomocy. Weźcie się wreszcie za siebie, doprowadźcie się do porządku. Obie wyglądacie jak stare dziry. a dziś jest normalny dzień pracy.

— I jakby na potwierdzenie jej słów bzyknął obiecująco telefon.

— No właśnie! — zawołała uradowana — ja odbiorę.

— Może to docent? — rozmarzyła się Jola. Weronika podniosła słuchawkę.

— Hallo! Tak — zawołała do telefonu. — Nie, nie ma, załatwia sprawy na mieście... Z jej córką. Owszem, jestem dorosła, zorientowana w biznesie. Agaty nie ma, wyjechała. Zna pan Jolę? No właśnie, ma wolne. Będzie o osiemnastej. Zaraz sprawdzę, czy mamy pański adres! — zajrzała do notatnika Marii — Rutkowski Jarosław, Sienna... w porządku. Nasze warunki pan znalazł. Do widzenia. — Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku odłożyła słuchawkę.

— Nie wiem. czy w tej sytuacji powinnam? — skrobiąc się po twarzy, powiedziała Jola.

— Nie ma żadnej sytuacji. Nikt nie umarł, ile razy mam to powtarzać? — podniosła głos Weronika. — Idź się umyj. umaluj, a ty wreszcie zrób coś do jedzenia — powiedziała do Kaśki i ponownie włączyła odkurzacz.

O aresztow aniu matki Rafa! dowiedział się od Polkowskiego. Tak się tym przejął, że złamał harcerskie przyrzeczenie i napił się wódki rozcieńczonej sokiem. Musiał się przecież oswoić z nową dla niego sytuacją, przełamać swoją niechęć do ojca, chociaż, prawdę mówiąc nie była to nawet niechęć, raczej obcość połączona z obojętnością. Wiedział, że skoro za jednym pociągnięciem wybaczył matce, z nim powinien postąpić podobnie.

Do tej pory nie wiązał ze sobą jego osoby, więc i żal do niego nie był głęboki. Matka zawsze była mu bliższa, kochał ją od zarania i pielęgnował w sobie to uczucie nadając mu niebotyczne kształty, potem, kiedy, jak to często bywa. ta odrzucona miłość przekształciła się w nienawiść, zaczął się dla niego dramat. Nienawiść jest uczuciem wyniszczającym, ciemnym i złym. Z niego uczyniła zabójcę. Teraz, gdy ochłonął, nie mógł znieść myśli o tym. że tak naprawdę to już zabił własną matkę. Ona tłumaczyła mu. że jest inaczej, ułaskawił ją. odkładając broń. ale jej słowa nie miały mocy oczyszczającej, czuł jeszcze w dłoni rozpaloną rękojeść pistoletu, ciągle widział jej martwą twarz. Zabiłby ją. gdyby nie docent, chociaż gdyby nie on może w ogóle nie sięgnąłby po broń?

Ona to rozumiała, prosiła, żeby zapomniał. Teraz kiedy wreszcie się odnaleźli, chciała coś dla niego zrobić, zapewnić mu lepszą przyszłość, urządzić go w jakimś przyzwoitym biznesie, o ile taki istnieje. Nie była zachwycona synem gliniarzem, ale jeżeli on pragnął nadal bawić się w szeryfa postanowiła pogodzić się z tym. Nie miała zamiaru wtrącać się w jego sprawy, mogła co najwyżej pomóc mu radą, życzliwością, a w razie potrzeby, pieniędzmi.

Pierwszy wieczór po południowym dramatycznym spotkaniu był spokojny i ciepły. Dziewczyny w robocie. Weronika przygotowywała w kuchni kolację, a oni siedzieli w jej pokoju pogrążeni w rozmowie.

Maria pytała o szkołę, czy mu ktoś dokuczał, czy nazywano go znajdą? Nie. nikt nic nie wiedział. Smykowie wymyślili wzruszającą wersję wydarzeń na użytek miejscowego kołtuństwa. Według niej, Rafał był synem ich kuzyna o tym samym nazwisku, który wraz z młodą żoną zginął w wypadku samochodowym. Smykowie usynowili go. był przecież ich krewnym. O Marii nigdy nie było mowy. Raz, gdy o nią zapytał — miał wówczas jedenaście lat — powiedzieli mu, że jego matka nie żyje, a o ojcu, że nieznanym. Nie uwierzył. Wiedział, że kłamią i nie miał im tego za złe. Od dziecka zżył się z kłamstwem, wyrósł w nim, można powiedzieć, kłamali nie tylko oni. tak samo postępowali jego koledzy i nauczyciele, a nawet dziewczynka, w której się kochał od pierwszej klasy, ona była najw iększą kłamczucha, na świecie, kłamała w żywe oczy i jeszcze się obrażała, gdy poddawał w wątpliwość jej kłamstwa.

Postanowił wyjaśnić sprawę, gdy dorośnie, dlatego wstąpił do policji, wcześniej z tą samą myślą zdawał na prawo.

Dzieciństwo upłynęło mu raczej spokojnie. Przybrani rodzice nie rozpieszczali go i nie karcili zbyt często. Miał wszystko, co potrzeba, przyzwoite ubranie, niewielkie kieszonkowe, z którego nie musiał się rozliczać, hamak w ogródku, piłkę, rower i lornetkę, przez którą obserwował ptaki, oraz zdrowie, którego nie nauczył się jeszcze cenić.

Wszystko to opowiadał matce poza jednym istotnym szczegółem, o którym przecież wiedziała, wykrzyczał jej w gniewie, co go bolało, nie było sensu się powtarzać.

Wiadomość o jej aresztowaniu wytrąciła go z równowagi. Od rana usiłował się czegoś dowiedzieć, niestety nie mógł przebić się przez liczne bariery wzniesione ze stopni, szczebli, zależności służbowych, pionów, wydziałów. Był po prostu za mały, zewsząd otaczał go mur nie do przebycia, dlatego nabazgrał kilka zdań na kartce papieru i zapukał do swojego szefa. Po usłyszeniu krótkiej komendy „wejść” przekroczył próg niewielkiego pokoju, stanął w drzwiach i stuknął obcasami.

— Słucham? — porucznik Stasiuk przetarł zaspane oczy. ziewnął. — Gadaj szybko, o co chodzi? Miałem ciężką noc. żeby ich cholera z tymi papierami — odsunął ze wstrętem notatki służbowe i raporty, rzucił okiem na Rafała. — Widzę, że doszedłeś do siebie — ucieszył się — wyglądasz normalnie.

— Ale jestem nienormalny — Rafał spuścił oczy i skubał paznokcie.
— Co ty mi tu pieprzysz! — parsknął gniewnie porucznik.
— Sperma uderza ci do głowy. Mówiłem, żebyś się wziął za tę rozwódkę! Kobitka całkiem, całkiem... Od razu by ci przeszły wszystkie wapory.
— Chciałem zabić człowieka — wyszeptał zbiełałymi wargami Rafał.
— A myślisz, że ja nie? — oczy porucznika rozbłyły jak dwie lampy. — Swojej starej nieraz bym tak dołożył, że hej, dziw. że do tej pory nie rozwalilem jej łba — wykrzywił usta w kwaśnym uśmiechu
— wkurza człowieka, że strach...
— To nie to — zaczynał się denerwować Rafał, nic wiedział jak wytłumaczyć porucznikowi to. czego nie chciał powiedzieć. — Chciałem zabić z premedytacją, długo przygotowywałem się do tego...
— Ale nie zabiłeś? — w głosie porucznika zgrzytnął skrywany niepokój.
— Ktoś mi przeszkodził, to dlatego - zwiesił głowę Rafał. Przypomnienie tamtej chwili wywołało bolesny skurcz serca, jego czoło oblało się potem, ręce zaczęły mu się trząść.
— I po co mi to mówisz? — rozzłościł się nagle porucznik. — Co ty myślisz, że ja nie mam własnych kłopotów? Potrzebne mi jeszcze twoje?
— Przyniosłem raport z prośbą o zwolnienie w trybie natychmiastowym. Po tym, co chciałem zrobić, nie mogę zostać w policji.
— Słusznie! — ucieszył się porucznik i wyciągnął rękę po starannie złożone pismo, przebiegł je oczami i skinął głową. — Pistolet! — powiedział — ja ci pokwituję.
Rafał położył pistolet na stole takim ruchem, jakby go parzył, zwrócił legitymację służbową i pudełko z nabojami. — Są wszystkie, może pan policzyć. — Obok biurka postawił wypchany plastikowy worek.
— A to co? — zdziwił się porucznik.
— Mundur, pas, buty... Porucznik machnął ręką.
— I tak będziesz musiał się z tego rozliczyć. Dostaniesz listę obiegową, z którą będziesz chodził po wydziałach. Broń ja

kwituję. Chwileczkę... — obejrzał pistolet, przeliczył naboje, poczym wypisał na kartce pokwitowanie, datę. podpisał się i przyłożył pieczętkę...

— Co masz zamiar robić? — spytał z roztargnieniem.

— Nie wiem. Zastanowię się.

— No to powodzenia. Zostaw telefon i adres, jeżeli zmienisz. Dostaniesz wezwanie z kadr... Formalnie rzecz biorąc, jesteś jeszcze funkcjonariuszem...

No to powodzenia — uścisnął mu rękę. — Aleś ty głupi! Miałeś dobrą pracę, szanse na awans, a ty... Ech! Szkoda słów — machnął ręką.

Weronika skończyła sprzątać, zjadła wraz z dziewczętami śniadanie, które przygotowała Jolka, wypila kubek kawy z mlekiem i miała zamiar włączyć pralkę, właśnie segregowała w łazience bieliznę, gdy zjawił się Polkowski.

— Cześć! — pocałował ją w czoło i bardzo serdecznie przywitał się z dziewczynami, które nie mogły ukryć swojego rozczarowania, czekały na docenia.

— Są jakieś wiadomości? — spytał z niepokojem.

— Żadnych — odpowiedziała Weronika i włączyła pralkę. — Czekamy.

Polkowski spojrział na zegarek.

— Docent powinien tu być lada chwila. Mam nadzieję, że mu się uda, a jak nie...

— Masz jakiś plan? — ucieszyła się Weronika.

— Oczywiście... No cóż, trzeba będzie temu i owemu pokłonić się w pas. a ja tego nie lubię... Jak interes?

— Kręci się — odpowiedziała Weronika — ale one histeryzują, płaczą, z wielkim trudem przywołałam je do porządku.

— A ty?

— Ja wierzę w mamę — odparła z przekonaniem.

— Ja też. Może mógłbym w czymś tutaj pomóc?

— Ty się do tego nie nadajesz.

— Dlaczego? W końcu kierowałem nieco większym burdelem niż ten.

— Mama mówi, że splajtowałeś.

— Och! Wszyscy wypominają mi te plajkę — na twarzy Polkowskiego pojawił się gorzki uśmiech, zmarszczki na czole podskoczyły do góry — a przecież źle na tym nie wyszli, jedni porobili kariery, drudzy dzięki mnie mają szmal, a oni zamiast mi dziękować, a przynajmniej modlić się za mnie dzień i noc. nie zostawiają na mnie suchej nitki.

— Tato! Na jakim świecie ty żyjesz? - popatrzyła na niego jak na niedorozwinięte dziecko. — Liczyłeś na wdzięczność z ich strony?

— Na wdzięczność może nie. ale na przyzwoitość, tak. liczyłem na przyzwoitość. Kto tam? — odwrócił się słysząc tupot w przedpokoju. — Ach! To ty? — ucieszył się. widząc Rafała wlatującego do przedpokoju jak wicher, zarumienionego, zdenerwowanego i podnieconego.

— Co z mamą? - spytał rozglądając się,

— To raczej ciebie należałoby spytać — zauważył cierpko Polkowski.

— Prokuratura położyła łapę na sprawie. Nie ma żadnych przecieków. Boją się prasy. Sprawa jest delikatna.

— Nie mogłeś wśliznąć się do nich od tyłu? Jesteś przecież w wydziale operacyjnym?

— Już nie. skończyłem z tym tato.

— Co ci odbiło? — szturchnęła go Weronika.

— Musiałem. Nie mogłem dłużej. Dzisiaj rano zdałem broń. legitymację służbową. Nie robili mi żadnych trudności, nawet się ucieszyli, uważają, że mam nierówno pod sufitem...

— Kto wie. czy nie mają racji... — zauważył uszczypliwie Polkowski. Rafał nawet nie zwrócił uwagi na jego słowa.

— Jestem wolny, wolny — krzyczał podniecony — nareszcie wolny.

— I bez pracy — usiłował sprowadzić go na ziemię Polkowski. Rafał nie słuchał.

— Jestem wolny, wolny — powtarzał w upojeniu. Biła od niego siła i energia całego kosmosu.

— I bez pracy — przypomniał bez entuzjazmu Polkowski. Rafał odpowiedział mu rzęśnistym śmiechem.

— Mama się ucieszy — orzekła Weronika, patrząc na brata z czułością. — Nie mogła pogodzić się z tym, że jesteś gliniarzem.

— Tego właśnie nie jestem pewien... — zamyślił się Polkowski.

— Wasza matka co innego myśli, a co innego mówi. Dlatego tak trudno za nią nadążyć. Pracując jako gliniarz mógłbyś jej pomóc.

— W jaki sposób? — oburzył się Rafał. — Chciałbyś, żebym szpiegował, donosił, żebym pracował na dwa fronty? Ja się do tego nie nadaję. Nie sądzę, żeby mama chciała mnie zeszmacić? Ona jest za uczciwa, za dumna na takie rzeczy. Ty tak nie uważasz? — zaniepokoił się nagle.

— Nic wiem, jaka jest teraz. Zmieniła się i to bardzo... Ja pewnie też. Widzisz, poznałem ją, gdy miała szesnaście lat.

— Gdzie? — zainteresowała się Weronika.

— Pracowała u nas jako pomoc biurowa, czyli goniec, tak to się nazywało... Była fantastyczna — westchnął z rozmarzeniem, jego twarz pojaśniała, zniknęły zmarszczki. — Masz rację, pewnie ucieszy się z twojej decyzji. Chciałbym jednak wiedzieć, co masz zamiar zrobić?

— Studiować i walczyć o prawa człowieka — wypalił jednym tchem Rafał.

— Na koszt mamusi? — spytał Polkowski.

— 1 twój - wyjaśnił Rafał.

— Nieźle to sobie wykombinowałeś — przyznał z podziwem.

— A państwo Smykowie? Jak chcesz rozwiązać ten problem?

— To starzy, schorowani ludzie na głodowych emeryturach. Będziemy musieli im pomagać — rzucił beztrąsko.

— Nie wiem, czy damy radę. Rodzina się niebezpiecznie rozrasta... — Polkowski znów popadł w zadumę.

— Ja dorobię — oznajmił Rafał.

Polkowski zbył jego deklarację machnięciem ręki. nagle jego twarz ożywiła się. oczy mu rozbłysły.

— Słuchaj! — chwycił go za rękę. — Czy ty masz zamiar do końca życia nosić nazwisko Smyk?

— A dlaczegożby nie? — odpowiedział bez wahania Rafał. — To dobre nazwisko, ci ludzie mnie wychowali...

— Ale ja jestem twoim ojcem. Nie masz chyba co do tego wątpliwości? Wówczas, kiedy, jak to się mówi, zostałeś poczęty, w życiu twojej matki nie było innego mężczyzny... Byłoby więc rzeczą naturalną, gdziebyś przybrał moje nazwisko. Nie sądzisz?

— Nie, tato! Nie mogę tego uczynić ani teraz, ani w przyszłości. Wyobrażasz sobie, jak oni by się czuli, gdybym tak nagle teraz, kiedy są starzy i chorzy pojechał do nich i powiedział: dziękuję wam. byliście szalenie mili. dobrzy, kochani, ale już dosyć. Teraz jestem kimś innym. To tak jakbym okradał emerytów albo jeszcze gorzej. Wybacz mi tato — rozłożył bezradnie ręce — ale nie zrobię tego.

— A czy ty się mnie czasem nie wstydzisz? — nieufność w głosie Polkowskiego zmieniła się w głęboki smutek, jego twarz oblekła się w szarość i ciężkie zwaliste ciało osunęło się na kanapę.

— O czym ty mówisz, tato? — oburzył się Rafał, jego głos brzmiał przekonywająco i czysto. — Dlaczego miałbym się ciebie wstydzić. Przecież nikogo nie zabiłeś?

— I co z tego? — spytał z głębokim westchnieniem.

— Nie przejmuj się tato! — podeszła do niego Weronika, objęła go i pocałowała. - Jeżeli się zgodzisz, ja zmienię nazwisko na twoje, chcesz?

— Oczywiście, że chcę — zawołał uradowany — szkoda tylko, że jesteś dziewczyną. A może urodzisz syna?

Docent przez dwie godziny stukał pracowicie w wysłużoną maszynę do pisania, chociaż obok stał nowoczesny komputer z drukarką. Przed północą skończył pracę, wykręcił kartkę z maszyny, włożył ją do koperty, zaadresował i schował do teczki. Następnie wziął prysznic i przymknął okno. gdyż męczył go hałas, dochodzący z ulicy, ułożył się na szerokim wygodnym tapczanie i słuchał muzyki. To była najprzyjemniejsza chwila po ciężkim dniu, muzyka przynosiła ukojenie i wypoczynek, zazwyczaj odprężał się po kilku minutach, a po kwadransie zasypiał. Dziś był wyjątkowo rozkojarzony i pobudzony. Mozart zamiast go ukoić, rozdrażnił, wyłączył więc magneto fon i leżał w ciemnościach, starając się przywołać w pamięci miejsca, gdzie czuł się szczęśliwy. Przeważnie były to greckie wyspy i Akropol, czasem jezioro Kałwa, po którym pływał łódką-pychówką wspólnie z Joanną. Potem, kiedy Joanna odeszła, a wspomnienie o niej wywoływało dreszcze i ból głowy, wymazał z pamięci jezioro Kałwa. Mazury i parę miejscowości, aż nagle któregoś dnia spostrzegł, że może bez klucia w sercu myśleć o Mazurach, że zaczyna marzyć o żaglach i o spokojnym wędkowaniu wśród bujnych sitowi. Zaczął więc przywoływać w pamięci jezioro zasnutę mgłą, lubił je

w deszczu pocięte zielonymi pietami ulewy i w blasku słońca, kiedy mieniło się złotą łuską. Wspomnienie Joanny dawno przestało boleć, ale sen nie przychodził. Postanowił więc przenieść się do Grecji: Akropol jarzył się w słońcu i przyciągał bielą wietrzejących marmurów i intensywnym błękitem nieba, koił nerwy, sprowadzał dobre sny i stanowił niezawodny środek na bezsenność, dlatego chętnie tam wracał. Teraz też, mając słońce przed sobą wspiął się w radosnym oczekiwaniu na wzgórze, obszedł dwa razy świątynię Nike, przystanął na dłuższą chwilę przed kariatydami, dotarł do Partenonu i poczuł zmęczenie. Upał popołudniowych godzin wdzierał się pod czaszkę i smagał po twarzy ognistymi biczami. Piekły go oczy, a sen nie przychodził. Włączył ponownie koncert skrzypcowy D-dur Mozarta, słuchał go kilka razy i dopiero o świcie, gdy za oknem rozwrzeszczały się ptaki, zasnął na krótko. O siódmej był już na nogach, ogolił się, umył i ubrał w niebieską koszulę i szary letni garnitur, dopasował do niego stonowany krawat w paski, niebieskie skarpetki, czarne miękkie mokasyny, wytarł ścierką przykurzoną nieco teczkę „biznesmena”, umieścił w niej zaklejoną i zaadresowaną kopertę oraz przewiązaną złotą wstążeczką okrągłą bombonierkę, zwilżył jeszcze ręce i skronie Old Spice'em obejrzał się w lustrze i orzekł, że jego surowy, poważny i schludny wygląd wzbudza zaufanie. O to przecież chodziło.

Starym wysłużonym maluchem dojechał do prokuratury, po namyśle zawrócił i zaparkował go na bocznej uliczce, miał jeszcze trochę czasu, kupił gazetę, przerzucił tytuły, wypalił w samochodzie papierosa i wreszcie pewnym krokiem wszedł do szarego urzędowego gmachu, złożył pełen szacunku ukłon sekretarce, która uniosła umalowane rzęsy znad słuchawki telefonicznej, nie odpowiedziała mu rzecz jasna na ukłon i nie miała zamiaru przerwać pasjonujących zwierzeń o swoich cierpieniach u dentysty. Docent, słuchając jej relacji, chwycił się odruchowo za brodę i posłał jej współczujący aczkolwiek bardzo nieśmiały uśmiech. Wiedział, że nieśmiałych mężczyzn pełne wigoru kobiety traktują życzliwiej. Sekretarka prokuratora należała niewątpliwie do kobiet dynamicznych i agresywnych. Wysoka, o długiej twarzy, spiczastej brodzie i dużych stalowych oczach, obwiedzionych gęstymi czarnymi brwiami patrzyła z góry na świat. Skroma i wyczekująca postawa docenta

wzbudziła w niej ciepłe uczucia, nie przerywając rozmowy wskazała mu krzesło. Doceni podziękował uśmiechem i usiadł, umieściwszy przezornie teczkę biznesmena na kolanach. Sekretarka odłożyła wreszcie słuchawkę, docent wstał, ukłonił się nisko.

— Pan do kogo? — spytała z zachęcającym uśmiechem.

— Chciałem tylko zostawić pismo dla pana Jacka Wawrzyniaka. To pilne. Sprawa wagi państwowej. Do rąk własnych. Proszę tu jest to pismo, a to moja wizytówka — zgięty uniżenie wręczył sekretarce najpierw wizytówkę, potem kopertę zaadresowaną na maszynie,

— Gdyby pani była tak dobra — jego błagalne spojrzenie spotkało się z pełnym zrozumienia odzewem.

— Rozumiem — powiedziała energiczna dama — ale pan prokurator jest zajęty. Przesłuchuje.

— Wiem. Nie chciałbym przeszkadzać, ale sprawa jest pilna, nie mogę nic więcej powiedzieć. Proszę mu tylko wręczyć tę kopertę, przed tym proszę sprawdzić, czy nie ma w niej czegoś podejrzanego...

Sekretarka, przyglądając mu się badawczo, obmacała kopertę, a ponieważ poza kartką papieru nic nie wyczuła, powiedziała:

— Dobrze. Niech pan zaczeka.

— Jest pani aniołem — rozpromienił się docent i z teczki biznesmena wyjął okrągłą bombonierkę.

— To zamiast kwiatka — położył na biurku.

— Ależ, proszę pana, nie trzeba,...

— Jak to nie! — oburzył się docent. — Kobiety powinno się obsypywać złotem. żałuję, że są to tylko czekoladki... zaczekam na korytarzu... — przez w pół otwarte drzwi zdołał dojrzeć urodziwą twarz Jacka Wawrzyniaka upiękzoną świeżą opalenizną i dobrze ostrzyżonymi włosami.

Nie miał już czasu do stracenia, wysunął się szybko na korytarz i zbiegł po schodach, nie oglądając się za siebie, już na ulicy skręcił w bok i klucząc po podwórzach, dotarł po kilku minutach do swojego malucha.

Zdziwił się, gdy wszedł do mieszkania Marii, że jej jeszcze nie ma, zaczął nawet powątpiewać w skuteczność swych działań, ale nie zdradził się z tym. Usiadł na kanapie, słaniając się ze zmęczenia i poprosił o kawę i koniak. Rafał usłużnie podsunął mu stolik i nalał Remy Martin. Weronika przyniosła kawę.

— Gdzie mama? — odważyła się spytać. — Widział ją pan?

— Niezbyt dokładnie.

— Wypij kawę i opowiadaj, co działałeś? Wypuszczą ją?

— spytał z drzeniem Polkowski, który wbrew zaleceniom lekarza zapalał drugiego papierosa i zaciągnąwszy się dymem spojrzął w popłochu na zegarek, pokręcił głową. Robiło się późno.

— Widzisz — docent wypił kawę i delektował się koniakiem — są dwie możliwości: albo wytoczą przeciwko niej wszystkie działa, a tych jak sądzę mają pod dostatkiem, albo ją wypuszczą i to za kilka minut — on również zerknął na zegarek.

— Rozmawiałeś z nim? — spytał znowu Polkowski, który bał się ciszy. Nie umiał w niej żyć, z ciszą kojarzył wszystkie przykre zdarzenia w swym życiu, teraz przeczuwał kataklizm.

— Za duże ryzyko — odpowiedział docent wdychając z lubością zapach Remy Martin. — Przecież ten bydlak mnie zna. Ale obejrzałem go sobie przez szparę w drzwiach, wcale się nie zmienił, wygląda młodo, uśmiech od ucha do ucha. Sympatyczny drań. kobiety lecą na niego, jakby był ze złota.

Rozmawiać nie było sensu

- mrugnął do Polkowskiego. — Napisałem do niego czuły list. Sekretarka była na tyle miła, że wręczyła mu go od razu...

— Sądziś, że go przeczyta?

— Napis na kopercie każdego by zbulwersował: ..Do rąk własnych. Pilne! Dotyczy tajemnicy państwowej"... — roześmiał się odprężony.

— Co ty mu napisałeś — zainteresował się Polkowski.

— Chcesz posłuchać? Mam kopię, pisałem na maszynie, ten łobuz zna mój charakter pisma... — docent wyjął z teczki złożoną we czworo kartkę, rozwinął ją, chrząknął, napił się koniaku i zaczął czytać:

„Miły Panie Jacku!

Jestem byłym pracownikiem trzeciego wydziału służb specjalnych. Tak się szczęśliwie złożyło, oczywiście dla mnie, bo dla pana raczej nie, że jestem w posiadaniu pańskiej teczki. Materiały w niej zawarte dotyczą okresu pańskiej pracy w Instytucie Kryminalistyki. Są w niej notatki służbowe naszych pracowników i pańskie wzruszające sprawozdania, nietrudne, mam nadzieję, do identyfikacji, ale proszę się nie niepokoić, na razie nie ma niebezpieczeństwa. Pańska

teczka znajduje się w moim prywatnym archiwum, nikt o niej nic nie wie. Ten list po przeczytaniu proszę zniszczyć, przed tym jednak niech pan nie zapomni zwolnić pani Marii Jędraszek. Gdyż dopiero wówczas, kiedy ta ogólnie szanowana dama znajdzie się w swoim mieszkaniu, ja zapomnę o pańskiej teczce. Z koleżeńskim pozdrowieniem... — podpis nieczytelny". Rozległy się brawa i Maria, która nieco wcześniej zjawiała się w pokoju przez nikogo nie zauważona, przyłączyła się do nich. Nie przestając klaskać podeszła do docenta.

— Dziękuję — uściśnęła mu dłoń. — Jest pan nieoceniony. Do końca życia nie zdołam się panu wypłacić...

— Och. mamó! — rzuciła jej się na szyję Weronika. — Martwiliśmy się o ciebie, tak się cieszę, mamó! — Rafał poszedł w ślady siostry, chwycił matkę za rękę i obsypał ją gorącymi pocałunkami.

— Mamó! Czy ty mi wybaczysz — patrzył jej w oczy zawstydzony, nieśmiały.

— Byłem wobec ciebie niesprawiedliwy...

— Nie mam ci nic do wybaczenia. Ja byłem gorsza — objęła go ramieniem i przytuliła do siebie. — Zawiniłam wobec ciebie i tego nigdy sobie nie wybaczę, ale ty musisz, musisz mi wybaczyć, jeżeli mamy żyć razem czy też obok siebie. Inaczej się pozabijamy. A tego nie chcemy, prawda synku? Chcę, żebyś był z nami, ale policjant nie może pracować na dwa fronty, nie wiem jak rozwiązać ten problem. Musimy się poradzić docenta.

— Nie martw się. mamó! — odpowiedział Rafał nie odrywając od niej oczu.

— Problem rozwiązał się sam, już nie jestem gliniarzem...

— Naprawdę? Nie mogłeś mi sprawić większej radości... — Maria z ogromną czułością przytuliła go do siebie.

— Będę studiował i walczył o prawa człowieka — poinformował ją rzeczowo.

— Tak. tak — potwierdziła z przekonaniem. — Cieszę się, że zastałam was tutaj — powiodła po zgromadzonych wzruszonym spojrzeniem. — Musimy się zastanowić, co dalej...

— Mówiłem, że trzeba zmienić branżę — przypomniał Polkowski.

— Masz rację — zgodziła się z nim — ale nie wyrzucę dziewczyn na bruk. Nie dadzą im nawet zasiłku. Oprócz nich — wskazała

na Kaśkę i Jolę — kilka mieszka na mieście. Nie mogę ich tak zostawić. To przyzwoite dziewczyny, karne, zdyscyplinowane, z dużymi kwalifikacjami... Zresztą, potrzebujemy torysy, chore dzieci czekają. Kto im pomoże!'

Słuchajcie! Mam pomysł. Otworzymy gabinet kosmetyczny, tylko dla mężczyzn, nauczę was masażu, zatrudnimy manieurzystkę i kosmetyczkę, zapłacimy podatek, nikt się nie będzie czepiał... Wszystko inne zostanie po staremu... Jeżeli natomiast przyłapię kogoś na kablowaniu, sama, własnoręcznie obetnę mu język, tymi oto rękami... Przysięgam na wszystko, co święte...

— Ja tam uważam, że należy inwestować w przemysł spożywczy

— upierał się przy swoim Polkowski.

— Nad tym też trzeba będzie się zastanowić — potwierdziła Maria.

— Tym bardziej, że mamy młyn.

— Ty masz — powiedziała z naciskiem.

— Oni też — Polkowski wskazał na Rafała i Weronikę.

— Ale się porobiło — roześmiała się z zadowoleniem. - Panie docencie! Czy przystąpi pan do naszej spółki?

— Nie mam kapitału, droga pani Mario — westchnął docent, spuszczać skromnie oczy.

— Za to ma pan głowę na karku. Co tam kapitał, pańskie materiały to prawdziwy skarb.

— Przykro mi — skłonił się z przesadną skromnością — ale materiałów' też nie mam. Zresztą wyjeżdżam.

— Dokąd? — zaniepokoiła się Maria.

— Daleko. Mam propozycję pracy w Stanach Zjednoczonych.

— Wcale im się nic dziwię — Maria z coraz większym podziwem patrzyła na docenta. — Oni zewsząd ściągają najlepszych. Drenaż mózgów, tak to się nazywa? Z pewnością ani w CIA ani FBI nie mają takich speców jak pan... Ja się na to nie zgadzam... Musi pan zostać! My tu zginiemy bez pana. Zrób coś!

— krzyknęła na Polkowskiego.

— Niech on zostanie! Powinieneś mu zabronić. Jesteś jego szefem czy nie?

- Nie jestem i nigdy nie byłem - odparł zmieszany Polkowski.

— Docent nigdy nie pracował w służbach specjalnych.

— Co? Znów jakieś kłamstwa, oszustwa i matactwa? Mam tego

dosyć! Kim on jest, do cholery! Sherlockiem Holmesem? — rozłościła się Maria.

— Też nie — odpowiedział śmiejąc się Polkowski. — Mówiłem ci. To prawdziwy docent habilitowany, któremu z powodu cięć budżetowych zamknięto instytut... Widzisz... nauczył się różnych rzeczy, badając grupy nieletnich przestępców, no i dorabiał do zasiłku. Myślę, że nie skompromitował tak bardzo polskiej nauki.

— Chryste! — Maria opadła z całym impetem na fotel i załamała ręce. — Jaka ja byłam głupia! Tak się dać nabrać! Panie docencie! — patrzyła na niego z niekłamanym podziwem — kłaniam się nisko i padam do nóg. Odwołuję wszystko, co powiedziałam złego

o polskiej nauce. Pan udowodnił, że Salomon i z pustego naleje. Wielka szkoda, że pan wyjeżdża. Razem moglibyśmy rozkręcić biznes na cały kraj. Co pan tam będzie robił, w tej Ameryce? Zanudzi się pan na śmierć...

— Będę wykladał na uniwersytecie, czyli robił to, co naprawdę umiem i lubię.

— Nie może pan tego robić u nas? — zdziwiła się. — Przecież, nawet w policyjnej akademii mogliby się wielu rzeczy nauczyć od pana?

— Widocznie nie — docent rozłożył ręce — tutaj wciąż jestem bezrobotny, proszę pani.

— Jeszcze raz panu dziękuję — uściśnęła mu dłoń. — Wypiszę panu czek. Spłukałam się i nie mam w domu gotówki...

— Nie, proszę pani — odpowiedział śmiejąc się docent — niemi się nie należy. Tym razem to była moja prywatna sprawa...

— Jak to? Przecież wyciągnął mnie pan z pudła, napisał pan do niego list z pogrózkami?

— Zgadza się. Ale tym razem to była zemsta, a ta jak wiadomo jest rozkoszą bogów. Z Jackiem Wawrzyniakiem pracowałem kiedyś w Instytucie Kryminalistyki. Facet robił ludziom świństwa, mnie też zrobił, przez niego nie wyjechałem na atrakcyjne stypendium, wielu uważało, że donosi.

Niestety, nie ma na to dowodów, a on pnie się w górę. Na wszystkich rogach krzyczy o swojej świętości, uczciwości

i szlachetności. Myślę, że dostał zimny prysznic i że się opamięta. Cieszę się, że pani jest z nami...

— Jeszcze raz panu dziękuję — Maria wstała i skłoniła przed

nim głowę. — Dziękuję też wszystkim, którzy na mnie czekali...

Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, chciałabym...

— A ja chciałbym ci przypomnieć — przerwał jej Polkowski — że masz nie tylko przyjaciół, ale i liczną rodzinę. Kiedy ślub? — zapytał obcesowo.

Maria z wrażenia zatoczyła się na ścianę i przez dłuższą chwilę nie mogła słowa wymówić, mrugała oczami i przenosiła pytające spojrzenia z Polkowskiego na docenta. Obaj milczeli uśmiechając się niepewnie, czekali w napięciu na jej decyzję.

— Zwariowałeś? — wykrzyknęła wreszcie. — To mają być oświadczyzny? Na kolana! I całuj po rękach!

— Proszę bardzo — Polkowski, spełniając jej prośbę, osunął się na podłogę i klęcząc całował ją z powagą to w jedną rękę, to w drugą.

— Spróbuj mi tylko dać kosza! — zagroził.

— Chryste! — roześmiała się zadowolona. — Jaka ja byłam głupia. Żeby całe życie kochać jednego mężczyznę! — wytarła ukradkiem zabłąkaną łzę. podniosła go z klęczek, objęła serdecznie i wycalowała.

— Moje gratulacje! — zawołał Rafał, ściskając zapamiętałe matkę i ojca z pewnym zażenowaniem. — Wszystkiego najlepszego!

Weronika biegała wokół rodziców z zaróżowioną twarzą, śmiejąc się i płacząc na przemian. — Mamo! Tato! — powtarzała nieprzytomnie. — Tak się cieszę, nigdy nie myślałam... Jestem taka szczęśliwa...

— Nic nie mów! — Maria ze wzruszeniem chwyciła się za serce, a jednocześnie z niepokojem spoglądała do góry, szukając jakby potwierdzenia w niebie, że wszystko OK. Będąc osobą przesadną i doświadczoną, lękała się stamtąd niespodziewanego ciosu, który mógł w jednej chwili zniweczyć jej zamierzenia i plany.

— Ale jaja! - nie mógł się uspokoić Rafał. — Coś takiego! Kto by pomyślał!...

Gdyby nie pan! — podszedł do docenta i skłonił przed nim głowę. —

Dziękuję. Zachował się pan jak prawdziwy przyjaciel...

— Cicho! Nic nie mów! — Maria położyła mu palec na ustach. Nastaw muzykę! Będziemy tańczyć. Dziś są moje zaręczyny... Co to?

— posmutniała nagle, wsłuchując się w miarowe brzęczenie dzwonka u drzwi.

— Idź! Otwórz! — powiedziała do syna skrywając niepokój.

— Jeżeli to... — nie dokończyła, zagryzła nerwowo usta patrząc

z żalem na szampan pieniący się w kieliszkach. Była pewna, że nie zdąży go wypić, gdyż właśnie teraz nastąpi ten niespodziewany cios. Uspokoiła się dopiero, gdy zobaczyła doktora, który używając jako wachlarza chustki do nosa, wtoczył się sapiąc do pokoju.

— Cholerne schody — ukłonił się Marii i pocałował ją w rękę.

— Wczoraj była pani wspaniała — patrzył na nią z zachwytem, nie przestając się kłaniać. — Poza tym chciałem powiedzieć, że zawsze, w każdej sprawie może pani na mnie liczyć... Mówię to przy świadkach.

— Dziękuję doktoru — rozpromieniła się Maria. -- Będę o tym pamiętać. A teraz proszę napić się z nami szampana. Dziś są moje zaręczyny...

— Gratuluję z całego serca. A można wiedzieć z kim? Maria nie kryjąc dumy wskazała Polkowskiego.

— To dobrze — zaaprobował doktor — bo już myślałem, że to...

— łypnął nieprzyjaznym okiem na witającego go ciepłym uśmiechem docenta.

— Proszę mi wybaczyć, doktorze — docent podszedł do niego kłaniając się — pańskie zdjęcie znalazłem w „Panoramie”, resztę zmontowałem. Pan wie, co teraz można zrobić z pomocą komputera?

— Pan nie jest z...? — ucieszył się doktor.

— To bezrobotny psycholog — wyjaśniła ubawiona Maria.

— Już nie jestem bezrobotny — odparł docent i panowie z zadowoleniem uścisnęli sobie dłonie.

— Cholera! — wykrzyknął doktor — ale ja byłem głupi.

— Nie tylko pan - pocieszyła go Maria. — Dobrał się nawet do strażników prawa. Okazuje się, że każdy coś ma do ukrycia, wystarczy trochę poszperać...

— Każdy, oprócz pani — potwierdził z głębokim przekonaniem doktor i z szerokim uśmiechem podszedł do Polkowskiego,

— Gratuluję panu, panie...

— Ambasadorze! — podpowiedział Polkowski — to najwytwor-niejszy z moich licznych tytułów...

W tym czasie, gdy panowie wymieniali uściski oraz grzecznościowe formułki, do salonu wkroczyła zdezorientowana Dorota z plikiem papierów w tekturowej teczce, za którą chowała się wstydliwie.

— Dzień dobry — dygnęła przed Maria jak grzeczna uczennica i na dobrą sprawę mogła za taką uchodzić. Bez makijażu, z prostymi włosami w krótkiej letniej sukience wyglądała najwyżej na siedemnaście lat. — Co to, imieniny? — powiodła zdumionym spojrzeniem po twarzach obecnych i zatrzymała się dłużej na kieliszkach z szampanem, które wszyscy trzymali w dłoniach niczym monstrancję.

— Przyniosłam rozliczenie — usprawiedliwiała się, że wtargnęła nieproszona jak intruz.

— Połóż je na półce i baw się z nami — Maria podała jej kielich z pieniącym się szampanem. — Pij! Dziś są moje zaręczyny.

— Z nim? — popatrzyła z uwielbieniem na Polkowskiego.

— O rany! Pani to ma szczęście. Winszuję, z całego serca winszuję

— wypiła i nabrała odwagi. — Pani Mario! — zwróciła się do swojej pryncypalki. — Czyja bym mogła tak jak one — pokazała na Kaśkę i Jolkę. — Znudziło mi się stanie za ladą.

— A wiesz, to się dobrze składa. Otwieram gabinet kosmetyczny i będę polrzebowła kasjerki. Ty, zdaje się, masz odpowiednie kwalifikacje?

— Tak — odpowiedziała zgaszona — ale nic uśmiecha mi się siedzenie w kasie, ja chciałabym tak, jak one. Pani wie. potrzebuję coraz więcej forsy na lekarstwa dla matki...

— Nic nie rozumiesz — roześmiała się Maria. — Będiesz tak jak one, ale oficjalnie muszę cię zatrudnić na etacie kasjerki. Jasne?

— Nie za bardzo, ale skoro pani uważa, że tak będzie lepiej, to ja się zgadzam. Mam **już** jednego klienta — szepnęła jej na ucho

— przecież pani wie.

— Jesteś kochana! Mam nadzieję, że uda nam się rozkręcić nowy biznes — przygarnęła ją po macierzyńsku do siebie i pocałowała w czoło. Polkowski podochocony otworzył kolejnego szampana, korek z hukiem wystrzelił pod sufit, ogłaszając zwycięstwo. — Zaczynamy od poniedziałku — powiedziała Maria do dziewczyn.

— Dzisiaj jest zabawa. Proszę tańczyć! Proszę się częstować!

— zachęcała otwierając orzeszki, chipsy i czekoladki. Jej oczy błyszczały jasną zielenią storczyków, a z białych zazwyczaj policzków bila wciąż łuna. Rafał włączył muzykę i porwał Weronikę w ramiona, okręcił ją dokoła siebie, pociągnął za rękę. odskoczył, a Weronika nie prze-

stając się śmiać galopowała wijąc się i skręcając w dyskotekowym szale. Widząc to doktor uklonił się Joli, która siedziała cały czas na kanapie i przyglądała się wszystkim z rzeczową objętością. Po chwili i ją odmienił szybki rytm, śmiała się oczami, a jej niewielkie piersi poruszały się swobodnie pod bawełnianą sukienką, prowokując doktora.

Docentowi również udzielił się radosny nastrój, pozbył się krępującej go sztywnej maski i lekkim krokiem ruszył przed siebie, zanucił coś półgłosem, zaklaskał w dłonie i wpadł w ramiona rozedrganej, kipiącej ogniem Kaśki. Brzęczały kieliszki, dzwoniły srebrzyście stojące na szklanym barku butelki. Dorota w pierwszej chwili poczuła się dotknięta, że zabrakło dla niej partnera, ale po wypiciu kolejnego szampana odzyskała pogodę ducha i z kieliszkiem w ręku przesuwała się wśród tańczących, powtarzając w upojeniu „nowy biznes, nowy biznes”. Widziała już siebie za kierownicą nowego mercedesa w białej ekologicznej sukni, otoczoną mgiełką ekskluzywnych perfum. Przed skromnym pudełkowatym domkiem w Palenicy, zamienionym jak w bajce o złotej rybce w luksusową willę, pojawił się basen w kształcie serduszka, a jej schorowana matka odpoczywała pod parasolem obsługiwana przez pielęgniarkę w białym czepku.

Szalone dźwięki rocka rozsadzały mieszkanie, wylatywały na ulicę, budząc zdziwienie wśród nielicznych przechodniów.

Maria wpatrzona w Polkowskiego nie ustawała w przerzutach ramion i bioder z miejsca na miejsca, wirowała ekstatycznie unosząc głowę i kołysząc się w takt muzyki. Rozpuszczone włosy spływały falami na czoło, przesłaniały twarz. Śpiewała i wybijała palcami rytm. Znów była młodą dziewczyną, spalającą się w tańcu, zakochaną po raz pierwszy i bezgranicznie szczęśliwą.